tygodnikprzegląd.pl
Przegląd
Nr 35 (1234)
28.08-3.09.2023
Cena 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

BOŻENA PRZYŁUSKA ZE STRAJKU KOBIET DO SEJMU

PROF. PAULINA KRAMARZ ŻYWNOŚĆ – PRZEMYSŁ DLA MOLOCHÓW

OPUS DEI NA WYLOCIE

JAKUB SZELA – FAKTY I LEGENDY

NIEODROBIONA LEKCJA WRZEŚNIA '39

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509-3115
9 771509 311300 35

eprasa.pl 3f03bcca17

Jesienne Targi Książki

8-10 września 2023

plac Defilad przed Kinoteką,
od strony Al. Jerozolimskich

historiaikultura.pl

organizator

FUNDACJA HISTORIA i KULTURA

patronat honorowy

Prezydent miasta stołecznego Warszawy

POLSKA IZBA KSIĄŻKI

STO LAT! PWN

SBP

KOPD

patronat medialny

RMF CLASSIC

Rynek-Ksiazki.pl

książki

wydawca.com.pl

eprasa.pl 3f03bcca17

Paweł Dybicz

Odrobiona lekcja z Września ’39?

Zbrojna napaść Rosji na Ukrainę zwiększyła zagrożenie wybuchem wojny z naszym udziałem. Ciągle słychać rozmowy Polaków zaniepokojonych rozwojem wydarzeń, a podnoszony jest w nich wątek Września 1939 r. Wraca pamięć o przegranej wojnie, jej przyczynach, sojusznikach, sanacyjnych władzach. Odniesienia do tego momentu w historii nie dziwią, bo można znaleźć wiele analogii. A raczej przestróg.

Sanacyjni decydenci lubili parady, pokazywanie się na tle wojska. Mogli wtedy deklarować swoją siłę i stanowczość w działaniu. Wygłaszać patriotyczne wezwania do zwierania szeregów. Dzisiejsi rządzący powielają przedwojenne wzorce. Ich wystąpienia nieodparcie przywodzą na myśl słowa marsz. Rydza-Śmigłego: „Nie oddamy ani guzika”. Padają deklaracje, że „jesteśmy bezpieczni”. To już niemal brzmi jak „silni, zwarci, gotowi”. Z tym bezpieczeństwem bym nie przesadzał (przypominam, że to wyborcze przesłanie PiS), bo zaraz na myśl przychodzą zagubione rakiety czy helikoptery znad Białorusi.

Zamiłowanie do defilad i wypinanie piersi, a zarazem chowanie się za plecami innych, milczenie, kiedy standardy cywilizacyjne nakazują zabranie głosu, to przejawy braku odwagi rządzących do stawiania czoła rzeczywistym problemom. Myślę tu choćby o sprawie użycia policyjnego śmigłowca na imprezie z udziałem wiceministra spraw wewnętrznych Macieja Wąsika. Zachowanie po tym incydencie, jawne tchórzostwo władz utwierdza mnie w przekonaniu, że gdyby rzeczywiście doszło do wojny, obecni władcy Polski pierwsi opuściliby III RP. Jeszcze szybciej niż sanacyjni decydenci.

Sojusze są fundamentalne. II Rzeczpospolitą łączyły one z Francją i Anglią i nie do pomyślenia były jakiekolwiek wrogie kroki przeciw nim. A jak my zachowujemy się wobec Niemiec, naszego dzisiejszego sojusznika? Dla rządzącej prawicy stały się one wrogiem numer dwa, zaraz po Rosji.

Myślenie o naszej armii rodzi pytanie o zakupy odpowiedniej broni. Czy te zakupy – pomijam już ogromne zadłużanie państwa – są właściwe? PiS przeprowadza je poza kontrolą, z pominięciem opinii znaczących wojskowych, znawców uzbrojenia, a także opozycji.

Przed Wrześniem 1939 r. zbiórki na rzecz polskiego wojska spotkały się z ogromnym odzewem społecznym. Czy gdyby dziś władze ogłosiły taki apel, reakcja Polaków byłaby podobna? Zapewne nie. Nie dlatego, że sprawa polskiej armii nie interesuje naszego społeczeństwa. Przeciwnie, interesuje coraz bardziej, tylko Polacy nie wierzą, że zebrane środki zostałyby należycie spożytkowane.

Słowem, jak to dobrze, że jesteśmy w NATO, bo hamuje ono wojenne zapędy naszych decydentów. I oby robiło to jak najsilniej.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 3f03bcca17

W NUMERZE

HISTORIA
8 **Tragiczna niepodległość**
Wrzesień 1939 r.
z perspektywy roku 2023
42 **Zagrodnik i plenipotent gromadzki**
Legenda Jakuba Szeli

WYBORY 2023
14 **Jak liczyć, żeby nie policzyć**
Czy PiS utopi 350 tys. głosów Polonii?
16 **Ze Strajku Kobiet do Sejmu**
– rozmowa z Bożeną Przyłuską

KRAJ
20 **Armia w budowie**
Ile wydamy na uzbrojenie WP
35 **Demokratyczne i świeckie państwo prawa to moje polityczne credo**
– rozmowa z Danutą Waniek
54 **(Nie)zdrowy seks**
Coraz więcej chorób wenerycznych

ZAGRANICA
22 **Głos nie taki silny**
Powyborcze dylematy Hiszpanii
26 **Klimatyczny letarg Ameryki**
Korespondencja z USA
30 **Narkocentrum świata**
Po captagon do Syrii
38 **Człowiek chcący tworzyć rzeczywistość**
Kissinger: realista, oportunista?
58 **Jest tylko jedno wejście i tylko jedno wyjście**
Śmierć w wąwozie na Krecie

KOŚCIÓŁ
32 **Koniec „Kościoła w Kościele"**
Korespondencja z Rzymu

KULTURA
46 **Chłopięcy świat**
– rozmowa z Damianem Kosowskim
48 **Qulturalia**
66 **Dorota Kuźnik (ON)A/S(HE). Malarstwo**

EKOLOGIA
50 **Gleba przede wszystkim**
– rozmowa z prof. Pauliną Kramarz

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Paweł Dybicz**
Odrobiona lekcja z Września '39?
13 **Jan Widacki**
Ostatni lot Prigożyna
25 **Andrzej Romanowski**
O koniokradach
29 **Roman Kurkiewicz**
Prigożyn – żywy czy martwy, jeden czort
49 **Stanisław Filipowicz**
Zachód z pokładu parowca płynącego po Wiśle
53 **Tomasz Jastrun**
Nie tylko w Jerozolimie
57 **Wojciech Kuczok**
Złowieszcz

30
ZAGRANICA

NARKOCENTRUM ŚWIATA
Po captagon do Syrii

46
KULTURA

CHŁOPIĘCY ŚWIAT
– rozmowa z Damianem Kosowskim

50
EKOLOGIA

GLEBA PRZEDE WSZYSTKIM
– rozmowa z prof. Pauliną Kramarz

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. NAC

eprasa.pl 3f03bcca17

Lepsi ludzie na trudne czasy

Red. Jerzy Domański pisze w felietonie (PRZEGLĄD 34/2023): „Bez partii nie ma demokracji”. Choć on jest redaktorem naczelnym poczytnego tygodnika, a ja emerytowanym górnikiem, nie mogę się zgodzić z tym poglądem. Uważam, że partie polityczne w społeczeństwie obywatelskim są potrzebne, ale tylko jako ośrodki analityczno-doradcze. U władzy przekształcają się w mafie, obywateli traktują przedmiotowo, zwłaszcza że obywatele z woli partyjniactwa są ubezwłasnowolnieni. Nie mogą w okręgu drogą referendum cofnąć mandatu wyborczego, a mandatariusz z mandatem na określony czas może w imieniu tego społeczeństwa zaciągać zobowiązania na czas nieokreślony.

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Lepsi ludzie na trudne czasy

Możliwe, że moje rozgoryczenie władzą narasta z wiekiem, ale uważam, że arogancja władzy w połowie rządów Donalda Tuska przewyższyła arogancję PZPR i dalej rośnie w przerażającym tempie. W konstytucji, zaraz na początku, w art. 4 ust. 1 jest zapis: „Władza zwierzchnia w Rzeczypospolitej Polskiej należy do Narodu”. Władza zwierzchnia, czyli nadrzędna, najważniejsza. A partyjniactwo pilnuje, byśmy jako społeczeństwo nadal drzemali i nie wyszli z mentalnego feudalizmu, bo ONI straciliby władzę.

Józef Brzozowski, Żory

Zaolzie, czyli początek katastrofy

Dobrze, że ktoś pisze o sytuacji przed Wrześniem ’39, bo nie dalej jak wczoraj słuchałem po raz kolejny o rozbiorze Polski w 1939 r. Mówiący nazwał go czwartym rozbiorem Polski, zapominając najwyraźniej o tym, że czwarty rozbiór jemu podobni myśliciele przypisali powstaniu Królestwa Polskiego. Pomijam już różnice między rozbiorem państwowości unijnej a rozbiorem jednego państwa, nierozróżniającego odrębności bytów. Polacy mają z tym problem, którego najwyraźniej nie są w stanie przepracować, czy to z przyczyn intelektualnych, czy z jakichś innych dotyczących naszych charakterów.

HISTORIA

Zaolzie, czyli początek katastrofy

Dlaczego przed wrześniem 1939 r. sanacja nie chciała sojuszu z Czechosłowacją

Paweł Dargiewicz

Trzeba chyba pogodzić się z tym, że ludzie piszący historię na nowo mają problem z policzeniem na palcach jednej ręki. Ale mimo ich niezbyt lotnych matematycznie umysłów trzeba im przypominać o rozbiorze Czech i wcześniejszym rozbiorze wyodrębniającej się Ukrainy.

Michał Błaszczak

Skąd się wzięła Solidarność?

Andrzej Celiński mówi, że Solidarność wydobyła z ludzi to, co było szlachetne i czyste. To stąd te hasła: „Zamiast liści będą wisieć komuniści”? Zapewne też tym fenomenem była obudzona zawiść oraz pęd do zdobycia jak największej ilości szmalu kosztem innych szlachetnych i czystych ludzi. Niestety, wszyscy wiemy, jak się skończyła ta historia dla ludzi i dla Polski.

Skąd się wzięła Solidarność?

Polityka staje się miejscem przyjaznym, ale – jak to mówi Kaczyński – dla gorszego sortu

Rozmawia Robert Walenciak

Michał Czarnowski

ZDJĘCIE TYGODNIA

Rybko, nie tak szybko! Skrzynka z przynętą przywabiła rekina tygrysiego. Tiger Beach, Bahamy, 23 sierpnia 2023 r.

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl 3f03bcca17

W niewiarygodnym tempie **produkuje się w Polsce** akty prawne. Tylko w pierwszym półroczu 2023 r. opublikowano **805 ustaw,** rozporządzeń i umów międzynarodowych. Trzeba było na nie aż 19 576 stron maszynopisu. To o **134%** więcej niż dwa lata wcześniej. O jakości tego prawa trudno mówić bez zgrzytania zębami.

•

Kobiety żyją w Polsce średnio **ponad 81 lat,** czyli siedem lat dłużej niż **mężczyźni,** których średnia wieku to **prawie 74 lata** (**„Rzeczpospolita”**).

•

Sierpień, mimo zachęt Kościoła katolickiego, nie wpłynął na zmianę fatalnych obyczajów **spożywania alkoholu.** Gdy w 2002 r. sprzedaż roczna wynosiła **6 litrów czystego alkoholu** na mieszkańca Polski, to w 2022 r. znacznie powyżej 10 litrów.

•

Zniszczony policyjny **helikopter Black Hawk** i zagrożone życie uczestników pikniku w **Sarnowej Górze** – tak się skończyła impreza „uatrakcyjniona” przez nadzorującego policję **wiceministra Macieja Wąsika,** który załatwił udział śmigłowca. I tak w realu wygląda program PiS na wybory „Bezpieczna przyszłość Polaków”.

•

Wicepremier Jacek Sasin i minister sportu Kamil Bortniczuk, organizatorzy kompletnie nieudanych, a bardzo kosztowych **Igrzysk Europejskich 2023,** nie rozliczyli się z ponad setką firm, które pracowały przy tej imprezie. Była specustawa rządu, ale pieniędzy nie ma.

•

89,5 tys. studentów zagranicznych ze 180 krajów uczyło się w Polsce w poprzednim roku akademickim. Prawie **40 tys.** to studenci z Ukrainy.

•

Ponad **563 mln zł (netto)** wydał **Orlen w 2022 r.** na reklamę, marketing, doradców i usługi prawne. To wzrost w ciągu roku o **127,4 mln zł.**

•

27 tys. firm budowlanych zawiesiło działalność w pierwszym półroczu 2023 r. z powodu wysokich kosztów zatrudnienia i kosztów materiałów.

•

Rekordowe zarobki mieli w 2022 r. **członkowie zarządu PZU. Małgorzata Sadurska,** była szefowa kancelarii prezydenta Dudy, zarobiła **2,36 mln zł, Beata Kozłowska-Chyła – 2,008 mln zł, a Ernest Bejda, były szef CBA – 1,937 mln zł.** Kosmiczna kasa za brak kompetencji do pełnienia tych funkcji.

•

1814 prywatnych śmigłowców i samolotów jest już zarejestrowanych w Polsce.

•

Abp Sławoj Leszek Głódź nie jest już **sołtysem we wsi Piaski** w gminie Jaświły na Podlasiu. Został członkiem rady sołeckiej.

•

W 2022 r. działało w Polsce **91,7 tys. lokali gastronomicznych,** z czego **13,5 tys.** było zadłużonych. W Warszawie długi ma 1767 lokali, na łączną kwotę **54,5 mln zł.**

•

Ponad **350 tys.** osób choruje w Polsce na chorobę **Alzheimera.**

PRZEBŁYSKI

Pod parasolem Lichockiej

Skandalistka z PiS, która gestem z palcem zapisała się w czarnej księdze polskiego parlamentaryzmu, pisuje do organu Macierewicza. Pasuje tam jak ulał. Zaciekawił nas jej tekst „Mnóstwo spraw do wyświetlenia” („Gazeta Polska”) o badaniu wpływów rosyjskich w Polsce. I artykuł Piotra Żytnickiego „Moralność rządowej dziennikarki” w „Gazecie Wyborczej” o Ewie Bąkowskiej z Polskiej Agencji Prasowej. Pracownica PAP groziła psycholożce, która tropi oszustki z branży kosmetycznej: „Ja panią załatwię”. Skąd te groźby? Ano córcia pani redaktor Bąkowskiej ma na sumieniu takie grzechy. Sprawa jest ewidentna. PAP powinna mieć o jedną pracownicę mniej. Ale Bąkowskiej nic nie grozi. Prezes Surmacz jest za krótki. Za Bąkowską stoi nie kto inny jak posłanka Lichocka.

Tak sobie myślimy, że najwyższy czas na komisję badającą wpływy Lichockiej w mediach.

Ekipa herbu Chwytne Łapy

Skąd ich biorą? Z kapelusza. Co nowa ekipa, to nowi prezesi, dyrektorzy, ważni funkcjonariusze. Coraz marniejsi. Do władzy dorwała się ekipa herbu Chwytne Łapy. Tylko to potrafią. W tym nie brakuje im pomysłowości. Młodzi mogą myśleć, że w Polsce zawsze tak było. No to ich zaskoczymy.

Po wojnie w aparacie państwowym pracowało wielu przedwojennych urzędników. Do Polski wróciła połowa ostatniego rządu sanacyjnego. Wicepremier Kwiatkowski był Delegatem Rządu ds. Wybrzeża. Prof. Wojciech Świętosławski, minister oświaty i przyjaciel Mościckiego, współtworzył Polską Akademię Nauk. Minister rolnictwa Juliusz Poniatowski doradzał w PRL w tymże resorcie. Jarema Maciszewski, syn wybitnego legionisty i wiceministra oświaty, pełnił ważne funkcje w PRL. Pełna lista miałaby objętość książki. Dziś ci ludzie nie mieliby żadnych szans na karierę.

Krucjata Kowalczyka

Sierpień, choć miał być miesiącem trzeźwości, nie wpłynął na zmianę obyczajów Polaków. Bezwstydnie gorzałkowano, za nic mając apele bp. Bronakowskiego z Apostolstwa Trzeźwości. Nie zadziałało też dosypywanie przez Morawieckiego kasy na promocję abstynencji. 30 mln nie pomogło, bo za budową Centrum Krucjaty Wyzwolenia Człowieka stoi wyjątkowy nieudacznik, ekswicepremier i eksminister rolnictwa.

Henryk Kowalczyk, kiler polskiej wsi, jest działaczem i moderatorem Ruchu Światło-Życie w diecezji płockiej. Stoi także za budową Centrum Krucjaty w Krościenku nad Dunajcem. Na razie kasy wystarczyło na uroczyste poświęcenie budowy. Oczywiście z udziałem Kowalczyka. I biskupim kropidłem. Towarzystwo mile spędziło czas w pięknej okolicy nad Dunajcem.

FOT. ARCHIWUM, YOUTUBE, GOV.PL

eprasa.pl 3f03bcca17

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czego nie uczy polska szkoła?

MACIEJ SOKÓŁ,
aktywista inicjatywy Wolna Szkoła, rodzic

Nie przygotowuje do kontaktu z rynkiem pracy. Niewiele mówi się o tym, co po szkole można robić, i w tym sensie słabo przygotowuje ona do dorosłego życia. Polska szkoła nie uczy też bycia z innymi ludźmi, wchodzenia w relacje, współpracy, komunikowania się. Ten element edukacji psychospołecznej leży. Psycholog w szkole jest wykorzystywany tylko w sytuacjach kryzysowych, nigdy w kontekście edukacyjnym. Polska szkoła nie nadąża także za współczesnością. Brakuje m.in. wiedzy o kryzysie klimatycznym i jego długofalowych skutkach, a przede wszystkim nikt nie pokazuje dzieciom, jak manipuluje się dziś informacjami dzięki mediom społecznościowym.

ANNA SZULC,
nauczycielka, autorka książki „Nowa szkoła"

Zacznę przewrotnie – szkoła uczy przede wszystkim odtwarzania. Najczęściej wiedzy, którą można dzisiaj znaleźć w każdym smartfonie. Tym, co mnie niepokoi, jest fakt, że szkoła nie uczy kreatywności, dokonywania wyborów i odpowiedzialności za nie. Problem dotyczy nas wszystkich, bo ci młodzi ludzie niedługo będą kreatorami naszej rzeczywistości. W konsekwencji wszyscy poniesiemy koszty takiego kształcenia. Szkoła nie uczy też komunikacji. Konsekwencje już widać – ludzie siedzący obok siebie nie rozmawiają ze sobą, patrzą w swoje telefony. To i cele, jakie wyznacza szkoła, czyli wynik, wysoka pozycja w rankingu i potrzeba bycia lepszym od innych, nie uczą współtworzenia i współpracy, a to jest podstawą rozwoju współczesnego społeczeństwa. Szkoła nie uczy również szacunku do drugiego człowieka, tego, że każdy jest wyjątkowy i ma unikatowe zdolności. Godność należy się każdemu, niezależnie od tego, czy jest profesorem, fryzjerem czy mechanikiem samochodowym.

JAKUB SOKOŁOWSKI,
uczeń szkoły średniej

Polska szkoła nie uczy demokracji. Stosunki w niej panujące są odbiciem stosunków na linii dyktatorska władza-obywatel. Uczniom narzuca się poglądy i wymusza posłuszeństwo. Tym samym szkoła nie uczy odpowiedzialnej postawy obywatelskiej i dbałości o dobro społeczeństwa. Wycisza się uczniów walczących o swoje prawa i udzielających się w życiu szkoły. Takie działania mogą prowadzić do manipulowania obywatelami, którzy nie będą wiedzieć, że mogą egzekwować swoje prawa. Szkoła nie uczy też akceptacji i szacunku dla innych, zwalczając wszelkie przejawy oryginalności wśród osób, które wyrażają siebie w sposób nie naruszający dobra innych ludzi. Jeśli mówimy o przedmiotach, to nie uczy się rzeczy przydatnych w życiu. Znam budowę pantofelka, ale nie wiem, jakie prawa przysługują mi jako osobie pracującej na umowę-zlecenie.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl 3f03bcca17

Tragiczna niepodległość

Wrzesień 1939 r. widziany z perspektywy roku 2023

Paweł Siergiejczyk

Rocznica Września 1939 r. to jedna z okazji, by utrwalać w umysłach rodaków mit o wyjątkowej roli Polski w najnowszych dziejach świata. Fakt, że pierwszym starciem zbrojnym II wojny światowej w Europie był najazd niemiecki na Polskę, podkreślany jest w naszej edukacji i propagandzie historycznej tak mocno, jakby stanowił powód do dumy i chwały, a nie jeden z najsmutniejszych momentów polskich dziejów. Dumni mamy być z tego, że „jako pierwsi stawiliśmy opór Hitlerowi", co oczywiście jest prawdą, jednak w praktyce uniemożliwia racjonalną dyskusję nad przyczynami upadku państwa polskiego w ciągu zaledwie kilku tygodni.

A warto prowadzić taką dyskusję, bo od kilkunastu lat, w warunkach dominacji środowisk prawicowych, dostajemy dwa rodzaje „prawdy" o Wrześniu. Jedna, w wersji soft, mówi o tym, że to nie 1 września 1939 r. rozstrzygnęły się losy II Rzeczypospolitej, lecz wtedy, gdy Stalin postanowił skonsumować ustalenia paktu Ribbentrop-Mołotow. W takiej wersji – lansowanej przez Instytut Pamięci Narodowej i obecne władze państwowe – to daty 23 sierpnia i 17 września stają się kluczowe dla uczczenia „bohaterskiej Polski jako niewinnej ofiary spisku dwóch totalitaryzmów".

Ale jest jeszcze inna narracja, w wersji hard, popularna głównie w środowiskach usytuowanych na prawo od IPN i PiS. Jej twórcą był zmarły w 2009 r. bardzo „medialny" historyk, prof. Paweł Wieczorkiewicz, który głosił, że II Rzeczpospolitą mógł uratować tylko sojusz z III Rzeszą, a wspólny, niemiecko-polski zwycięski marsz na Moskwę odmieniłby losy świata i naszego kraju: po upadku ZSRR Polska stałaby się co prawda częścią „niemieckiej Europy", ale jako ważny sojusznik Berlina, zarządzający np. Ukrainą, byłaby więc lokalnym mocarstwem. Nic dziwnego, że taka „historia alternatywna" rozbudziła wyobraźnię wielu twardych antykomunistów, rusofobów i poszukiwaczy „polskiej mocarstwowości", którzy zaczęli wydawać kolejne książki i prowadzić medialne dyskusje całkiem serio rozwijające prowokacyjną tezę Wieczorkiewicza (notabene wieloletniego aktywisty PZPR na Uniwersytecie Warszawskim, który dopiero w ostatnich latach życia stał się nieprzejednanym wrogiem komunizmu i Rosji).

Absurdalność coraz popularniejszej tezy, że rok 1945 był dla Polaków klęską, a nie zwycięstwem, nie może przesłaniać faktu, że Wrzesień 1939 r. był jedną z największych klęsk w dziejach polskiego państwa.

Mamy zatem dwie prawicowe narracje o katastrofie 1939 r.: romantyczną (Polska znów „Chrystusem narodów", odnosi „moralne zwycięstwo" jako ofiara sił zła) i cyniczną (gdybyśmy poszli z Hitlerem, byłaby nie klęska, lecz zwycięstwo nad komunizmem). Obie łączy antykomunizm i antyrosyjskość, co stanowi wyraźną nowość w patrzeniu na II wojnę światową w skali zarówno polskiej, jak i globalnej. Trzeba bowiem pamiętać, że dla zachodnich zwycięzców tej wojny – Amerykanów, Brytyjczyków, Francuzów – była to wyłącznie wojna z hitlerowskimi Niemcami i ich sojusznikami (Włochy, Japonia), komunistyczna Moskwa była zaś traktowana w Londynie, Paryżu i Waszyngtonie jako bezcenny sojusznik w walce z nazistowskim złem.

Berlin jak Moskwa

Taka też była „oczywista oczywistość" dla niemal wszystkich Polaków, którzy przeżyli II wojnę światową, i dla kolejnych pokoleń żyjących w PRL oraz w początkach III RP. Dopiero nowa fala skrajnego antykomunizmu, która zalała Polskę od pierwszych lat XXI w., po rozpoczęciu edukacyjnej, prokuratorskiej i lustracyjnej działalności IPN, zaczęła zmieniać odbiór społeczny wydarzeń lat 1939-1945 na korzyść dwóch wspomnianych narracji, które łączy uwypuklenie kluczowej roli ZSRR we wszystkich nieszczęściach, jakie spotkały Polskę w tym okresie. W ten sposób Polska coraz bardziej oddala się od Zachodu również pod względem patrzenia na historię najnowszą, dodatkowo konfliktując się z Izraelem i diasporą żydowską, które nigdy nie uznają Hitlera i Stalina za równorzędnych ludobójców. To m.in. dlatego usilne starania władz w Warszawie o obronę „dobrego imienia Polski" przed zarzutami o antysemityzm i udział Polaków w Holokauście skazane są na niepowodzenie. Z taką „polityką historyczną", która stawia stalinowską Moskwę na równi z hitlerowskim Berlinem, faktycznie znajdujemy się w międzynarodowej izolacji, tym bardziej że sojuszników możemy znaleźć jedynie w takich krajach jak Litwa czy Węgry, które II wojnę rzeczywiście przegrały – jako sojusznicy III Rzeszy. Czy takie towarzystwo bardziej nam odpowiada niż nawet skromne miejsce wśród zwycięzców tej wojny? Innymi słowy, czy antykomunizm i rusofobia są dla naszej prawicy ważniejsze niż pozycja własnego kraju w świecie?

Absurdalność coraz popularniejszej tezy, że rok 1945 był dla Polaków klęską, a nie zwycięstwem,

eprasa.pl 3f03bcca17

Minister spraw zagranicznych Rzeszy Joachim von Ribbentrop witany przez ministra Józefa Becka w Warszawie, 25 stycznia 1939 r.

nie może jednak przesłaniać faktu, że we wrześniu 1939 r. państwo polskie naprawdę poniosło klęskę, i to jedną z największych w swoich dziejach. Rozmiary tej klęski da się porównać chyba tylko z trzecim rozbiorem Rzeczypospolitej po powstaniu kościuszkowskim, tyle że odbieranie suwerenności, a potem likwidacja państwa polsko-litewskiego trwały długie dziesięciolecia, w dodatku w warunkach coraz bardziej uświadamianej sobie słabości wobec sąsiadów. W 1939 r. klęska spadła na Polaków jak grom z jasnego nieba, władze II RP usilnie bowiem wmawiały obywatelom, że jesteśmy „silni, zwarci, gotowi", a dominacja wojska w życiu publicznym ostatnich lat niepodległości (z doprowadzonym do skrajności kultem marsz. Edwarda Rydza-Śmigłego na czele) pozwalała naszym przodkom czuć się w takim państwie pewnie i bezpiecznie.

Znakomity poznański historyk prof. Jerzy Krasuski książkę o dziejach II Rzeczypospolitej zatytułował „Tragiczna niepodległość Polski". To chyba najlepsze określenie sytuacji naszego kraju nie tylko w 1939 r., ale i w całym okresie międzywojennym. Przy czym słowo tragizm należy tu rozumieć tak, jak je rozumieli twórcy teatru w starożytnej Grecji: jako sytuację, z której nie ma dobrego wyjścia, bo każdy wybór drogi nieuchronnie prowadzi do klęski.

To był właśnie przypadek Polski, która odzyskała niepodległy byt dzięki niespodziewanemu rozpadowi trzech mocarstw zaborczych w 1918 r. i pojawieniu się próżni geopolitycznej w środkowo-wschodniej Europie. Próżnię tę zaczęły wypełniać nowe państwa narodowe, z których największym (wskutek ostatecznej porażki ukraińskiego ruchu niepodległościowego) okazała się Polska. Sukces polskich elit był jednak złudny, bo wprawdzie po trzech latach walk o utrzymanie suwerenności i granice (1918-1921) Rzeczpospolita zaistniała na mapie Europy, lecz z gigantycznym bagażem jednej trzeciej mieszkańców należących do mniejszości narodowych. Odrodzona Polska nie była więc państwem narodowym, jakim chciał ją widzieć najsilniejszy wówczas obóz polityczny – Narodowa Demokracja pod wodzą Romana Dmowskiego, ale też nie stała się częścią większej całości obejmującej kilka narodów (jak Czechosłowacja czy Jugosławia), tak jak tego chciał

Polska była biednym krajem rolniczym, nie miała nowoczesnego przemysłu, zwłaszcza motoryzacji i lotnictwa. Musiała liczyć na sojuszników, a z tym przez cały okres międzywojenny był problem.

FOT. NAC (2)

eprasa.pl 3f03bcca17

Józef Piłsudski, zwolennik stworzenia związku państw na wschodzie, w granicach przedrozbiorowych, czyli obejmującego także Ukrainę, Białoruś i Litwę.

Można bez wielkiej przesady powiedzieć, że II Rzeczpospolita po traktatach wersalskim z 1919 r. i ryskim z 1921 r. była skazana na zagładę – doszłoby do niej prędzej czy później. Posiadając ziemie, do których naturalne pretensje zgłaszały zarówno Niemcy (Pomorze, Śląsk, Wielkopolska), jak i Związek Radziecki (Kresy Wschodnie), Polska pozostawała bezpieczna tylko dzięki temu, że obaj wielcy sąsiedzi w latach 20. dopiero podnosili się po wojennych klęskach i mimo antypolskiej retoryki nie byli zdolni do faktycznej agresji. Sytuacja radykalnie zmieniła się po przejęciu władzy w Niemczech przez Adolfa Hitlera, który od połowy lat 30. zaczął na nowo tworzyć potęgę militarną, a następnie wysuwać ultymatywne żądania wobec kolejnych państw: najpierw Austrii, potem Czechosłowacji, wreszcie Polski.

Do skrajności doprowadzony został kult marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego. Nz. marszałek podczas przekazania armat Bofors ws. 36 1. Pułkowi Artylerii Przeciwlotniczej ufundowanych przez prawników polskich, maj 1938 r.

II Rzeczpospolita po traktatach wersalskim z 1919 r. i ryskim z 1921 r. była skazana na zagładę. Posiadała ziemie, do których naturalne pretensje zgłaszały i Niemcy, i Związek Radziecki.

Przestrogi Sikorskiego

I trzeba jasno powiedzieć: w latach 1938-1939 nie było w Europie siły, która mogłaby w pojedynkę powstrzymać Hitlera. Państwa zachodnie nie dorównywały III Rzeszy w tempie i skali zbrojeń, Polska zaś była po prostu biednym krajem rolniczym, który praktycznie nie miał nowoczesnego przemysłu, zwłaszcza w tych dziedzinach, które miały decydować o przebiegu XX-wiecznej wojny: motoryzacji i lotnictwie. Byłoby niesprawiedliwością twierdzić, że elity II RP pozostawały nieświadome tych słabości. Jeszcze w 1934 r. ukazała się książka gen. Władysława Sikorskiego „Przyszła wojna", w której były (i przyszły) premier przewidywał wybuch konfliktu o skali globalnej, opartego na nowoczesnej technice, której Polska nie posiadała. Rok później wicepremier Eugeniusz Kwiatkowski rozpoczął wdrażanie swoich wieloletnich planów gospodarczych, z których pierwszy miał objąć budowę Centralnego Okręgu Przemysłowego, służącego głównie produkcji uzbrojenia. Było już jednak za późno, a zresztą nawet gdyby COP powstał wcześniej, to skala zacofania gospodarczego Polski wobec Niemiec była tak wielka, że nie mogło być mowy o zrównaniu potencjałów wojennych obu państw.

Polska musiała zatem liczyć na sojuszników. A z tym przez cały okres międzywojenny mieliśmy problem. Od 1921 r. II Rzeczpospolitą łączyły umowy polityczno-wojskowe z Francją i Rumunią. Z tą pierwszą mieliśmy wspólne obawy wobec Niemiec, z tą drugą – wobec ZSRR. W praktyce ani Francuzi, ani Rumuni nie mieli woli politycznej, by ustalenia dyplomatyczne z Polską przekuć w realny sojusz militarny, co zresztą było „grzechem pierworodnym" wszystkich państw powersalskiej Europy, bo krótkowzroczne egoizmy narodowe brały górę nad poczuciem odpowiedzialności za losy kontynentu.

W takich warunkach polska dyplomacja nie zachowywała się inaczej, a kierujący nią od 1932 r. minister Józef Beck stawiał wyłącznie na umowy dwustronne, nie chcąc słyszeć o udziale w żadnych szerszych porozumieniach. Z jednej strony, pozwoliło to uniknąć Polsce przystąpienia do paktu antykominternowskiego, czyli sojuszu III Rzeszy z Japonią i Włochami wymierzonego w ZSRR – do czego usilnie namawiali Becka Niemcy. Z drugiej, szef polskiego MSZ konsekwentnie odrzucał wszelkie próby zbudowania porozumienia mającego powstrzymać hitlerowskie apetyty w Europie. Próby takie podejmowali Francuzi, Brytyjczycy i Czesi, dla których było oczywiste, że nie uda się pokonać zagrożenia niemieckiego bez udziału Związku Radzieckiego, tym bardziej w sytuacji, gdy Hitler epatował antykomunizmem i nie krył planów ekspansji na wschód. Jednak myśl o jakimkolwiek porozumieniu z Moskwą (nawet u boku sojuszniczego Paryża oraz zaprzyjaźnionego

eprasa.pl 3f03bcca17

Londynu, lecz i znienawidzonej Pragi) była polskiej dyplomacji całkowicie obca, choć państwa zachodnie występowały z taką koncepcją od 1934 r. aż do sierpnia 1939 r., gdy fiaskiem zakończyły się brytyjsko-francuskie rozmowy wojskowe w ZSRR.

Oczywiście można zrozumieć obawy polskich władz przed możliwością wkroczenia Armii Czerwonej na terytorium Rzeczypospolitej, by wspólnie działać przeciwko III Rzeszy (innej drogi na zachód wojska radzieckie nie miały). Nie da się jednak zrozumieć postępowania ministra Becka wobec Czechosłowacji, w której rozbiorze Polska wzięła udział w październiku 1938 r., zajmując Zaolzie w tym samym momencie, gdy Hitler zajmował czeskie Sudety. Potrzeba prestiżowego sukcesu ekipy rządzącej wzięła tu górę nad rozsądkiem politycznym, który nakazywał przynajmniej nie sprawiać wrażenia, że jest się sojusznikiem Hitlera. Warto w tym kontekście przytoczyć opinię ówczesnego ambasadora Polski w Londynie, późniejszego prezydenta na wychodźstwie Edwarda Raczyńskiego, który w 1986 r. mówił Andrzejowi Romanowskiemu: „W ciągu 40 lat od zakończenia wojny wielokrotnie myślałem o przyczynach naszej klęski i za każdym razem dochodziłem do przekonania, że nie można było jej uniknąć, że naprawdę nie było dla nas ratunku. Ale w jednym punkcie naszej polityki tkwił przecież błąd; to był stosunek do Czechosłowacji i Małej Ententy. Rozumiem oczywiście, że błędy były po obu stronach, ale w obliczu katastrofy, jaka spotkała oba nasze narody, klęski, jaka stała się udziałem europejskiej cywilizacji, wydaje mi się, że nie próbowaliśmy porozumienia z południowym sąsiadem wystarczająco wytrwale. Zastanawiam się, co by było w 1938 r., gdybyśmy, zamiast domagać się rewizji granic i żądać Zaolzia, poszukali kontaktu. Gdybyśmy stanęli mocno przy Czechach i zachęcali ich do oporu. Gdybyśmy byli po stronie broniących, a nie »wyciskających«... Jak by to się skończyło, oczywiście nie wiadomo. (...) Ale nawet gdyby wojna wybuchła w 1938 r., to byłaby wtedy dla nas lepsza koniunktura, to przecież czas przed paktem Ribbentrop-Mołotow..." (A. Romanowski, „Ludzie tamtego czasu. Wywiady z lat 1977-1998", Kraków 2000, s. 106).

W latach 1938-1939 nie było w Europie siły, która mogłaby w pojedynkę powstrzymać Hitlera.

Nikt odpowiedzialny nie powie dziś, że wojny z Niemcami mogliśmy uniknąć. Można jedynie dyskutować, czy Polska była w stanie lepiej do tej wojny się przygotować – zarówno pod względem uzbrojenia armii czy zaplanowania działań wojennych, jak i od strony dyplomatycznej. Trudno natomiast zgodzić się z tezą (głoszoną zwłaszcza przez tych, którzy żałują niespełnionego sojuszu z III Rzeszą), że II RP weszła do wojny w najgorszym dla siebie położeniu. To prawda, sojusz z Francją, uzupełniony tuż przed najazdem niemieckim sojuszem z Wielką Brytanią, niewiele Polsce pomógł w wojnie obronnej 1939 r. Nie należy jednak ignorować faktu, że 3 września oba zachodnie mocarstwa wypowiedziały Niemcom wojnę, wywiązując się w ten sposób z politycznej części swoich zobowiązań. Była to pierwsza porażka Hitlera, któremu zależało jedynie na lokalnej wojnie w środku Europy (jeśli nie z Czechosłowacją,

Trzy książki autorów PRZEGLĄDU

GDY POLACY SIĘ KŁÓCILI, STALIN Z CHURCHILLEM ZADECYDOWALI O LOSACH POLSKI

~~46 zł~~ 36 zł

~~44 zł~~ 34 zł

OBIETNICE PARTII I ŚRODOWISK POLITYCZNYCH W OKUPOWANYM KRAJU I LONDYNIE

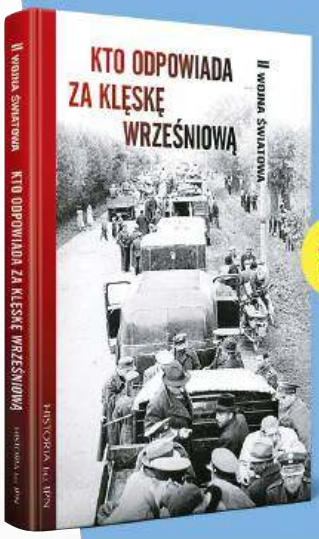

PAKIET ~~135 zł~~ 99 zł

~~45 zł~~ 35 zł

DOKUMENTY Z KRAJU I EMIGRACJI OBNAŻAJĄ NIEUDOLNOŚĆ RZĄDÓW SANACYJNEJ ELITY

JAK KLĘSKA WE WRZEŚNIU '39 WPŁYNĘŁA NA KSZTAŁT POLSKI

Zamów na **sklep.tygodnikprzeglad.pl** lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Pocztą Polską.

eprasa.pl 3f03bcca17

to z Polską), a bardzo się obawiał powtórki z I wojny światowej, gdy Niemcy przegrały z aliansem francusko-brytyjsko-amerykańskim.

Wrzesień 1939 r. był dla Polski katastrofą, jednak nie można zapominać, że stanowił równocześnie początek globalnego konfliktu, którego Niemcy i ich sojusznicy nie byli w stanie wygrać. To oznaczało, że po wojnie zostanie zbudowany nowy porządek europejski, a w tym porządku znajdzie się miejsce dla Polski jako państwa, które w momencie hitlerowskiej napaści było sojusznikiem Paryża i Londynu, 17 września 1939 r. nie wypowiedziało zaś wojny Moskwie. Choć wielu do dziś żałuje, że tak się nie stało, i ma za złe marsz. Rydzowi-Śmigłemu, że gdy opuszczał Polskę, rozkazał, by „z bolszewikami nie walczyć". Przy okazji zacytujmy słowa z ostatniego rozkazu naczelnego wodza, wydanego już w Rumunii 20 września 1939 r.: „Trzeba zacisnąć zęby i przetrwać. Położenie się zmieni, wojna jeszcze trwa. Będziecie jeszcze bić się za Polskę i wrócicie do Polski przynosząc Jej zwycięstwo". Słowa prorocze, bo to zwycięstwo przyszło w 1945 r., chociaż sam Rydz-Śmigły go nie dożył...

Tezy Kaczyńskiego

Trudno porównywać położenie Polski 84 lata temu i obecnie. Oczywiście są tacy, którzy serio traktują tezę Jarosława Kaczyńskiego o III Rzeczypospolitej jako „kondominium niemiecko-rosyjskim", które może powrócić, jeśli tylko PiS straciłoby władzę. Ale zarówno w tym kuriozalnym określeniu, jak i w wielu innych wypowiedziach polskich polityków widać przekonanie o tym, że główną przyczyną nieszczęść Polski w 1939 r. – jak i w każdym innym momencie naszych dziejów – były układy Niemiec z Rosją, zawsze skierowane przeciwko Polsce. Pomijając już fakt, że porozumienia Moskwy (kiedyś Petersburga) z Berlinem były raczej epizodami niż regułą w dziejach obu państw, trzeba podkreślić sprawę podstawową: dzisiejsze Niemcy nie stanowią żadnego zagrożenia dla Polski ani dla kogokolwiek innego, bo należą do NATO i Unii Europejskiej, są więc (razem z nami) częścią europejsko-atlantyckiego układu, w którym narodowe egoizmy nie mają szans wziąć góry nad zdrowym rozsądkiem, jak to się stało w okresie międzywojennym. Dlatego analogie z paktem Ribbentrop-Mołotow mają dziś znaczenie wyłącznie propagandowe, w dodatku kompletnie niezrozumiałe w świecie zachodnim, gdzie jest oczywiste, że II wojnę światową wywołał sam Hitler i zrobiłby to bez względu na to, czy miałby układ ze Stalinem, czy nie. Za to pamięta się, że bez udziału Stalina nie byłoby tak szybkiego i totalnego zwycięstwa nad III Rzeszą, a więc również powstrzymania hitlerowskiego ludobójstwa.

Wbita do głów naszych elit klisza „diabelskiego paktu Ribbentrop-Mołotow" (który w rzeczywistości był jedynie odłożeniem w czasie nieuchronnego konfliktu niemiecko-radzieckiego) jest jedną z ważniejszych przyczyn absurdalnej polityki zagranicznej prowadzonej od ośmiu lat przez polską prawicę. Absurdalnej – bo kwestionującej wiarygodność demokratycznych i antyfaszystowskich Niemiec (traktowanych o wiele gorzej niż nazistowskie Niemcy przez ministra Becka!), podważającej fundamenty współpracy w ramach Unii Europejskiej, łatwo wchodzącej w ambicjonalne konflikty z Czechami, Francją, Izraelem, a nawet Stanami Zjednoczonymi, skoro rządzi tam obecnie ekipa, która odsunęła prawicę od władzy. A wszystko to dzieje się w sytuacji, gdy świat zachodni politycznie i militarnie zjednoczył się w sprawie wojny rosyjsko-ukraińskiej i tylko Węgry dają czasem do zrozumienia, że ta sytuacja im nie odpowiada. Ale właśnie z Węgrami polska prawica trzyma się w antyeuropejskim i antyliberalnym sojuszu, tak samo jak w latach 30. sanacja marzyła o wspólnej granicy polsko-węgierskiej, co oznaczało kwestionowanie porządku europejskiego narzuconego przez liberalne demokracje po I wojnie światowej.

„Ludzie niedorośli do rządzenia" – tak określił Stanisław Cat-Mackiewicz ekipę, która kierowała Polską po śmierci Piłsudskiego i którą polskie społeczeństwo mniej czy bardziej słusznie obciążało odpowiedzialnością za klęskę wrześniową. Tak samo należałoby nazwać ludzi rządzących dziś naszym krajem, choć proste porównanie ich do sanacji byłoby z pewnością obraźliwe dla tej ostatniej. To nie ten poziom intelektualny i moralny, a przede wszystkim zupełnie inna formacja ideowa. Piłsudczycy wywodzili się bowiem głównie z ruchu socjalistycznego i tym, co ich najmocniej odróżniało od prawicowych rywali (endecji), była niechęć do nacjonalizmu i klerykalizmu. Niewątpliwie dlatego – mimo wszystkich błędów ministra Becka – sanacja nie uległa namowom Hitlera i jako jedyna dyktatura w ówczesnej Europie pozostała w obozie antyfaszystowskim. Przynajmniej to jedno było naszym „szczęściem w nieszczęściu" i stanowiło punkt wyjścia do odbudowy Polski po wojnie na znacznie solidniejszych podstawach niż po 1918 r.

Paweł Siergiejczyk

Na Zachodzie pamięta się, że bez udziału Stalina nie byłoby tak szybkiego i totalnego zwycięstwa nad III Rzeszą, a więc również powstrzymania hitlerowskiego ludobójstwa.

Wbita do głów naszych elit klisza „diabelskiego paktu Ribbentrop-Mołotow" jest jedną z ważniejszych przyczyn absurdalnej polityki zagranicznej.

eprasa.pl 3f03bcca17

Z Galicji

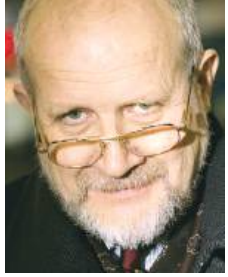

Jan Widacki

Ostatni lot Prigożyna

Świat obiegła wiadomość: na trasie między Moskwą a Petersburgiem, gdzieś w rejonie Tweru, rozbił się prywatny pasażerski samolot odrzutowy Embraer Legacy. Zginęli wszyscy, którzy byli na pokładzie samolotu: siedmiu pasażerów i troje członków załogi. Nie byłoby w tym może nic nadzwyczajnego, katastrofy lotnicze zdarzają się wszędzie na świecie, gdyby nie to, że wśród pasażerów znajdował się Jewgienij Prigożyn, szef najemników-bandytów nazywanych grupą Wagnera, i nieznany tak powszechnie jego zastępca, Dmitrij Utkin. Ten były oficer GRU uchodzi za twórcę osławionego oddziału.

W zasadzie nikt nie powinien mieć wątpliwości. Putin dorwał i ukarał Prigożyna, który swoim puczem nie puczem, przerwanym marszem na Moskwę, przed miesiącem ośmieszył dyktatora. Wszystko wydaje się jasne. Miał Putin powód do zemsty? Miał. Miał możliwość się zemścić? Miał. Wszystko mieściło się w ramach KGB-owskiej metody postępowania.

Ale kilka kwestii wydaje się mimo to niejasnych. Ukatrupić Prigożyna i jego kamrata można było bez rozgłosu, cichcem, bez powodowania katastrofy samolotu. Mógł się zatruć grzybkami, udławić ością sandacza, wyskoczyć z okna, zamykając je zresztą za sobą. Umrzeć na atak wrażliwego serca. Przypadkiem napromieniować się czymś szkodliwym albo zamiast aspiryny uraczyć się nowiczokiem. Wszystkie te metody znane są z praktyki i KGB, i jego poprzednika – NKWD. Dlaczego tym razem wybrano taką osobliwą formę? A poza tym co Prigożyn robił w Moskwie? Skąd się tam wziął? Rzekomo był w Afryce, skąd rozgłaszał, że walczy o interesy Rosji mimo 50-stopniowego upału. Ale już raz po tym puczu nie puczu miał być na Białorusi, gdzie pobyt (bezpieczny pobyt?) miał mu wynegocjować sam Łukaszenka. Okazało się później, że Prigożyn był nie na Białorusi, ale w Moskwie, i rozmawiał z Putinem. To może rzeczywiście na liście pasażerów embraera było tylko jego nazwisko, a on sam był gdzie indziej? Mistyfikacja? Czyja? Putinowskich służb specjalnych czy samego Prigożyna? Tak niektórzy podejrzewają. Chyba nadmiar spiskowego myślenia.

A może była to zemsta nie Putina, tylko jego generałów, osobistych wrogów Prigożyna, w których wymierzony był jego pucz nie pucz? Czy możliwe, aby na coś takiego poważyli się bez wiedzy i akceptacji Putina? Mało prawdopodobne. Upozorowali katastrofę, wprowadzając w błąd światową opinię publiczną i samego dyktatora? Zrobili to, na co nie zdecydował się sam Putin, w dodatku w tajemnicy przed nim?

A może Prigożyn dogadał się z Putinem przeciw generałom i odlatywał – jak sądził – bezpiecznie do Petersburga? Jakieś walki wewnętrzne w rosyjskim kierownictwie trwają, jakieś frakcje się zwalczają, niewiele o tym wiemy. Zobaczymy, co przyniesie śledztwo. Niewykluczone, iż zakończy się szybko ustaleniem, że przyczyną katastrofy była awaria maszyny, zachodniego produktu przecież, z definicji mniej niezawodnego niż samoloty produkcji radzieckiej bądź rosyjskiej, lub że pilot oszalał i popełnił takie rozszerzone samobójstwo. Ale też możliwe, że dochodzenie ustali, iż była to dywersja NATO lub ukraińska. Możliwy również jest wniosek, że za zamachem stoją rosyjscy generałowie, spiskujący przeciw Rosji i jej carowi. To ostatnie rozwiązanie mogłoby być dla Putina idealne. Pozbyłby się za jednym zamachem Prigożyna i kilku generałów, których chciałby się pozbyć, i to byłby znakomity pretekst. Poczekajmy zatem na wyniki owego śledztwa. Pokażą one to, co mają pokazać, ale mimowolnie ujawnią także intencje dyktatora.

Ukatrupić Prigożyna i jego kamrata można było cichcem, bez powodowania katastrofy samolotu. Dlaczego wybrano taką osobliwą formę?

Na razie możemy sobie pospekulować. W spekulowaniu na temat przyczyn katastrof lotniczych mamy wprawę. Szkoda, że aktualny stan stosunków polsko-rosyjskich wyklucza możliwość poproszenia przez Rosjan o pomoc polskich fachowców od ustalania przyczyn katastrof z podkomisji Antoniego Macierewicza. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

Przegląd
Dołącz do naszej społeczności
Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku, Twitterze, Instagramie, YouTubie i LinkedIn
eprasa.pl 3f03bcca17

Jak liczyć, żeby nie policzyć

Czy PiS utopi 350 tys. głosów Polonii?

Robert Walenciak

Co z głosowaniem Polaków mieszkających za granicą? PiS robi wszystko, by 15 października ich głos liczył się jak najmniej. I pewnie mu się uda, choć walka jeszcze trwa. Po prostu Polonia jest dziś wrogiem PiS, a w jego logice wroga należy zwalczać lub przynajmniej ograniczać jego wpływy.

Robert Tyszkiewicz, przewodniczący sejmowej Komisji Łączności z Polakami za Granicą, nie ma wątpliwości, o co toczy się gra. „Toczymy walkę o radykalne zwiększenie liczby obwodowych komisji wyborczych za granicą – mówi. – Tylko to daje szanse, by uniknąć skandalu". Ale czy go unikniemy?

•

Kluczowy był rok 2020 i wybory prezydenckie. Druga tura, starcie Duda-Trzaskowski. Wówczas, zgodnie z danymi Państwowej Komisji Wyborczej, w głosowaniu za granicą ważny głos oddało prawie 416 tys. osób. Rafała Trzaskowskiego poparło 308 tys., czyli ponad 74% wyborców zagranicznych, Andrzej Duda otrzymał niespełna 108 tys. głosów. Tak oto ostatecznie zawalił się mit Polonii głosującej na PiS, a wcześniej na Akcję Wyborczą Solidarność, na Jana Olszewskiego, Ruch dla Rzeczypospolitej itp. Mit górali z Chicago.

Zresztą wcześniej, w roku 2019, większość Polaków za granicą poparła partie opozycyjne. Tendencja jest więc oczywista, wybory prezydenckie tylko ją uwypukliły. A skąd się wzięła? Powód jest prosty – coraz więcej Polaków pracuje, studiuje i mieszka za granicą. Trudno nawet nazywać ich Polonią, bo utrzymują stały kontakt z krajem, przyjeżdżają tu często, pracę w Niemczech czy w Wielkiej Brytanii traktują tak jak wyjazd do innego miasta. Nie ma strzeżonych granic, jest łatwe połączenie, z Warszawy do Frankfurtu czy Amsterdamu można się dostać szybciej niż do Krosna.

Nic dziwnego, że liczba Polaków głosujących za granicą rośnie. W 2011 r. w wyborach do Sejmu za granicą głosowało 139 tys. Polaków, w wyborach w 2015 r. ta liczba wzrosła do 199 tys., a w roku 2019 do 349 tys. osób. Rekordzistą jest Wielka Brytania – tu głosowało 182 tys. rodaków.

Dodajmy jeszcze jedno – ci pracujący za granicą to przeważnie osoby z kwalifikacjami, wykształcone, myślące zachodnimi kategoriami. Nieprzypadkowo rozkład głosów Polonii jest niemal taki sam jak wśród mieszkańców Warszawy.

•

O tym wszystkim w PiS doskonale wiedzą, toteż układając Kodeks wyborczy, partia władzy zrobiła wszystko, co tylko możliwe, by głosy tej grupy odesłać w niebyt. Korzystając z różnych trików. Pisaliśmy już o tym w PRZEGLĄDZIE i – jak się okazuje – wszystkie pesymistyczne przewidywania się potwierdzają.

Jedynym rozwiązaniem jest radykalne zwiększenie liczby obwodowych komisji wyborczych za granicą. Ale MSZ w tej sprawie kluczy.

Pierwszy trik, który zastosowano, to likwidacja głosowania korespondencyjnego. Dodajmy, że takie głosowanie było wśród Polonii bardzo popularne, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych czy w Kanadzie, gdzie aby dostać się do punktu wyborczego, trzeba przebyć kilkaset kilometrów.

Oto mamy więc nielogiczną (z pozoru) sytuację – PiS pod hasłami ułatwienia głosowania zarządziło darmową dowózkę do lokali wyborczych w regionach wiejskich, a jednocześnie zlikwidowało możliwość głosowania korespondencyjnego za granicą, choć z tej możliwości w roku 2020 skorzystało kilkaset tysięcy Polaków. Tymczasem logika jest banalnie prosta – w rachubach PiS mieszkańcy wsi to wyborcy tej partii, trzeba zatem zrobić wszystko, by głosowało ich jak najwięcej, natomiast Polacy za granicą to wyborcy opozycji i dobre jest to, co służy zmniejszeniu siły ich głosów.

Drugi trik tłumaczony jest z kolei tym, że Polacy nie mogą bez końca czekać na ogłoszenie wyników wyborów. Wprowadzono wobec tego zasadę, że komisje muszą przeliczyć głosy w ciągu 24 godzin. Jeśli to im się nie uda – wszystkie głosy oddane w danej komisji zostaną uznane za nieważne. Kto pamięta kolejki przed lokalami wyborczymi w Wielkiej Brytanii, Francji czy USA, wie, jak to może się skończyć. To nie są bezpodstawne obawy.

Wreszcie trzeci trik to zasada, że głosy powinna liczyć cała komisja. Ma to wyglądać tak, że jeden z jej członków podnosi kartę, wszyscy ją widzą i dopiero wtedy jest uznana za policzoną. W praktyce ten sposób, spowalniający liczenie, nie daje szans, by duże komisje uporały się ze swoją pracą w 24 godziny. W Londynie, jeszcze w marcu, działacze organizacji Polonia Głosuje dokonali próby takiego liczenia. Udało im się w ciągu godziny przeliczyć 98 głosów. Czyli, zakładając, że będą pracować 24 godziny bez przerwy, policzą trochę ponad 2 tys. kart. Dodajmy, że w ciągu tych 24 godzin komisje muszą nie tylko policzyć głosy, ale też spisać protokół i wysłać go elektronicznie do konsulatu. Na sprawy biurokracji trzeba zatem poświęcić dwie godziny.

A będzie jeszcze trudniej! Bo komisje będą musiały przeliczyć głosy

eprasa.pl 3f03bcca17

Kolejka do lokalu wyborczego w Wydziale Konsularnym Ambasady RP w Paryżu w czasie wyborów do Parlamentu Europejskiego, 26 maja 2019 r.

oddane nie tylko w wyborach do Sejmu i Senatu, ale też w referendum. Jak sobie z tym poradzić? Robert Tyszkiewicz podpowiada, że Kodeks wyborczy wyznacza granicę 24 godzin w wyborach do Sejmu i Senatu. O referendum nic nie mówi. Będzie więc postulował, by PKW napisała instrukcję, w jakiej kolejności głosy powinny być liczone, że te referendalne powinno się liczyć na końcu. Czy to pomoże? Zobaczymy.

•

W każdym razie jedynym możliwym rozwiązaniem w takiej sytuacji jest radykalne zwiększenie liczby obwodowych komisji. To rozwiązanie nasuwa się samo – w Polsce obwodowa komisja obsługuje średnio 1,1 tys. mieszkańców, Kodeks wyborczy wymaga, by tworzono je we wsiach zamieszkanych przez 200 osób. Tymczasem w wielu komisjach obwodowych za granicą głosowało po kilka tysięcy wyborców. Na świecie takich wielotysięcznych komisji było 51. A w rekordowych, w Londynie czy Manchesterze, głosowało w każdej ponad 20 tys. Polaków! Nie miejmy złudzeń – jeżeli nic w tej sprawie nie zmieni się na lepsze, nie zostaną powołane nowe komisje, te głosy zostaną uznane za nieważne.

Kłopot w tym, że w sprawie zwiększenia ich liczby MSZ wciąż kluczy. Wiceminister Piotr Wawrzyk, owszem, przychodzi na posiedzenia sejmowej Komisji Łączności z Polakami za Granicą, ale bardzo się pilnuje, by nic konkretnego na ten temat nie powiedzieć. W czerwcu poinformował, że obwodowych komisji będzie ok. 400. Ale nie może dokładnie ich liczby określić, bo prezydent jeszcze nie ogłosił daty wyborów. Tak jakby kwestia, czy wybory będą dwa tygodnie później, czy wcześniej, miała wpłynąć na liczbę głosujących za granicą Polaków.

W sierpniu przed tym samym gremium mówił już, że komisji obwodowych może być mniej niż 400, raczej ok. 360. Czyli ich liczba zbytnio nie wzrośnie w porównaniu z wyborami 2019 r. – bo wówczas było ich 320.

Nie miejmy złudzeń, ta niewielka liczba nowych komisji, którą MSZ proponuje, to zapowiedź unieważniania głosów. Jeżeli bowiem w 51 obwodach głosowało powyżej 2 tys. Polaków, to trzeba utworzyć przynajmniej 51 nowych komisji, by sprawnie policzyć głosy. A w Londynie czy Manchesterze – kilkanaście.

Rzecz w tym, że w tej sprawie MSZ nabrało wody w usta i wiceminister unikał deklaracji, kiedy ogłoszona zostanie nowa siatka komisji.

•

W wystąpieniu Wawrzyka nie zabrakło urzędniczej arogancji – bo mówił, że „przy planowaniu rozmieszczenia i liczby (komisji) będą brane pod uwagę takie czynniki jak: szacowana frekwencja wyborcza (w oparciu o dane dotyczące liczby zamieszkujących i przebywających uprawnionych do głosowania), zdolności organizacyjne i osobowe placówek, dostępność infrastruktury polonijnej w państwie przyjmującym". Co znaczy zwrot „zdolności organizacyjne i osobowe placówek"? To one muszą przecież na te kilkadziesiąt godzin dostosować się do liczby Polaków chcących zagłosować, a nie odwrotnie.

Jak władza chce zablokować głosy z zagranicy

- Pierwszy trik to likwidacja głosowania korespondencyjnego.
- Drugi trik to zasada, że komisje muszą przeliczyć głosy w ciągu 24 godzin. Jeśli to im się nie uda – wszystkie głosy oddane w danej komisji zostaną uznane za nieważne.
- Trzeci trik to zasada, że głosy powinna liczyć cała komisja.

FOT. MARTA DAROWSKA/REPORTER

eprasa.pl 3f03bcca17

Brak informacji, ile będzie komisji obwodowych i gdzie będą one rozlokowane, jest oczywistym szykowaniem katastrofy. Na stronach internetowych konsulatów możemy wyczytać, że zostanie to ogłoszone 25 września. Czyli 20 dni przed wyborami. MSZ zostawia więc raptem kilkanaście dni na ewentualne poprawki związane z liczbą i zasięgiem komisji, na wynajem lokali, na poinformowanie miejscowych władz i policji o wyborach (z prośbą o ochronę), na wybór członków komisji. Ten wybór też trzeba wcześniej przeprowadzić, ogłosić nabór wśród Polaków mieszkających w danym kraju, liczyć się z odwołaniami, dyskusjami itd. To może być gorący temat, bo wiele lokalnych komitetów zamierza zgłaszać swoich kandydatów do komisji wyborczych. Pytanie tylko – jaką odpowiedź otrzymają z konsulatów. Z kolei jeśli chodzi o kraj, to w MSZ urzędnicy już mogą się zgłaszać, by wyjechać do pracy w komisji, ale skoro nie wiadomo, ile ich będzie, nie wiadomo, jak prowadzić nabór. Trudno również szacować koszt wyborów.

Wygląda to wszystko na potworną amatorszczyznę. Przedstawiciele MSZ mówią, że liczą na pomoc przedstawicieli Polonii w kwestii wynajmu lokali wyborczych. A jak ci nie pomogą? Rozpatrywany jest też wariant, by komisje lokować w parafiach. Trudno uznać to za dobry pomysł.

Do tego dodajmy rzecz banalną – jeżeli ogłoszenie liczby i zasięgu komisji wyborczych tak się odwleka, bardzo trudno będzie poinformować obywateli RP przebywających za granicą, gdzie, pod jakim adresem mogą głosować. A także o tym, że wcześniej, do 6 października, muszą się wpisać na listę wyborców – albo osobiście w konsulacie, albo poprzez platformę e-wybory. Choć do tej pory tę sprawę można było załatwić telefonicznie lub faksem. Zwłaszcza dla osób starszych może to być wielkie utrudnienie.

I może o to chodzi? Żeby był bałagan i frekwencja za granicą była jak najniższa? W tym kierunku to zmierza.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Rozmawia Paweł Dybicz

W poprzednich wyborach do Sejmu kandydowała pani z Warszawy. Dziś – z Warmii i Mazur. To wygląda na zesłanie.

– W tym moim kandydowaniu z okręgu nr 35 nikt, ani prokurator, ani nikt z Lewicy, nie maczał palców. Sama przyszłam i zaproponowałam, żeby umieścić mnie na liście warmińsko-mazurskiej, dlatego że na tym terenie od kilku miesięcy mieszkam. Przez dwa lata remontowałam dom i teraz chcę spędzić tam dużą część swojego życia. Muszę też być w Warszawie, ale ona od miesięcy jest dla mnie i mojej rodziny domem numer dwa.

Zmieniła pani miejsce zamieszkania, ale chyba nie zapatrywania?

– Nie! Jestem zupełnie nieobrotowa. Zainteresowania – to znaczy prawa kobiet, świeckie państwo – pozostają jako naczelne i niezmienne.

Aż tak PiS zalazło pani za skórę, że została pani jedną z organizatorek Strajku Kobiet?

– To, co się dzieje od ponad czterech lat, to jazda walcem po prawach człowieka. I nie dotyczy to wyłącznie kobiet, bo również społeczności LGBT. Coś mogę na ten temat powiedzieć, bo jestem mamą dwójki dzieci, w tym transpłciowej córki. Jestem głęboko oburzona, wręcz zbulwersowana tym, w jaki sposób traktuje się społeczność LGBT, będącą obiektem szczucia. Jeśli chodzi o moje zaangażowanie w walkę o prawa kobiet, to zaczęło się ono na poważnie w 2016 r., ale dużo wcześniej miałam świadomość, że w 1993 r., w wyniku tzw. kompromisu aborcyjnego, kobiety straciły prawo do dysponowania własnym zdrowiem i życiem. Od samego początku rozumiałam, że nasze prawa zostały sprzedane Kościołowi w zamian za poparcie 10 tys. ambon, z których księża grzmieli, na kogo należy głosować.

Ale to w ciągu ostatnich ośmiu lat władza zaostrzyła walkę z kobietami, wykorzystując do niej policję.

– Posunęła się nawet do rzeczy haniebnej – do bicia kobiet. Jest to wysoce bulwersujące i niegodziwe. Mam nadzieję, że po tych wyborach to wreszcie się skończy, choć słabo wygląda porozumienie na opozycji. Liczę na to, że wkrótce dojdzie do jakiegoś paktu sejmowego, w którym będzie jasno powiedziane, co zostanie zmienione w przyszłej kadencji. Jeśli tego nie będzie, takiego jasnego sygnału, to boję się, że wielu potencjalnych wyborców opozycji nie będzie głosować.

Znam dużo osób, które mówią, że nie dojdzie do takiego porozumienia i współdziałania, bo obecna Platforma Obywatelska niewiele się różni od tamtej sprzed kilku lat. Nie mówiąc już o PSL.

– Myślę, że jednak nie jest to ta sama Platforma. Czas, który minął od 2015 r., w dużym stopniu ją zmienił, wręcz „zlewaczył". Spowodował, że PO jednoznacznie opowiedziała się w kwestii aborcji i związków partnerskich, co nie jest rewolucyjną propozycją, ale zawsze jakimś krokiem do przodu. Natomiast niepokoi mnie dobór osób na listach PO, brak pewności, czy te osoby, które jeszcze do niedawna sprzeciwiały się zmianie prawa do aborcji, teraz zagłosują „za". Nie mam pewności, że tak będzie, ale zobaczymy. Może być tak, że walka o prawa kobiet będzie trwała jeszcze jakiś czas, ale mam nadzieję, że ruch, który reprezentuję – Strajk Kobiet – a przede wszystkim poglądy społeczeństwa, wymuszą takie zmiany.

Chce pani powiedzieć, że poglądy społeczeństwa na sprawy kobiet i równości obywateli szybciej się zmieniają niż poglądy polityków?

– Wszystkie badania na to wskazują, że politycy zwykle są w tyle, nie nadają tonu, tylko są lustrem środka. Czy może bardziej prawej strony, ze względu na obawę przed tym, że proboszcz

> Na wsiach księża często odgrywają bardzo pożyteczną rolę. Ja naprawdę nie jestem wrogiem duchownych, bo wiem, że wielu robi dobrą robotę i są za to szanowani.

eprasa.pl 3f03bcca17

Ze Strajku Kobiet do Sejmu

Kto nie zna prawdziwej historii Warmii i Mazur, ten nie rozumie ich mieszkańców

lub biskup będzie nawoływał do bojkotowania tego czy innego polityka. Tak zawsze było po 1989 r., nadal jest i pewnie jeszcze długo będzie. Dopóki nie przeprowadzimy ostrego rozdziału Kościoła od państwa i nie wyznaczymy jasnych granic, których nie może on przekraczać.

I tu dochodzimy do drugiego pola pani aktywności – na rzecz świeckości państwa, jego laicyzacji.

– U nas sojusz ołtarza z tronem jest coraz silniejszy. Jestem działaczką na rzecz rozdziału Kościoła od państwa, a nie na rzecz laicyzacji. Laicyzacja jest procesem, który dzieje się oddolnie. Stowarzyszenie Kongres Świeckości, któremu przewodzę, prowadzi działania wpływające na to, by ludzie mieli odwagę sprzeciwiać się postępującej klerykalizacji. W tym sensie jesteśmy środowiskiem działającym na rzecz laicyzacji. Rola Kościoła w życiu społecznym słabnie, skazana jest na marginalizację. Wskazują na to wszystkie światowe trendy. U nas to się dzieje w postępie geometrycznym: wśród ludzi do lat 40 jesteśmy najszybciej laicyzującym się społeczeństwem na świecie, co pokazują choćby badania Pew Research Center z 2018 r. Wynika z nich, że spośród 108 przebadanych krajów Polska jest liderem w spadku religijności. Nachalne przeistaczanie Polski w państwo wyznaniowe będzie tylko wzmagać proces laicyzacji, a w konsekwencji przyśpieszy rozdział Kościoła od państwa. Będzie rodzić opór ludzi, którzy są głęboko oburzeni tym, jak wygląda w tej chwili relacja władzy z Kościołem, i tym, w jak instrumentalny sposób traktowany jest Kościół, w którym proboszczowie pełnią funkcję agitatorów politycznych.

Co pani uzna za przejaw tego, że bliżej nam do państwa świeckiego niż – jak dziś – wyznaniowego?

– To, że Kościół katolicki będzie postrzegany i traktowany jako jedna z organizacji społecznych, niewyjęta spod ogólnie obowiązującego prawa. Że będzie się wywiązywał, tak jak organizacje pozarządowe, z obowiązku sprawozdawczości finansowej, prowadzenia transparentnych ksiąg finansowych. I że wszystkie Kościoły będą podlegały przepisom prawa państwowego. Wiem, że daleka do tego droga, tym bardziej że pozycja Kościoła katolickiego została zabetonowana w art. 25 konstytucji, w części ustrojowej. Jakby podprogowo Kościoły zostały uznane przez twórców konstytucji za element naszego ustroju, co jest już błędem samym w sobie, ale zostawmy to jako element jakiejś tradycji czy historii. Nie oznacza to jednak, że należy tworzyć specjalne przywileje dla Kościołów. One mają swoje prawodawstwo, prawo kanoniczne. W wielu

BOŻENA PRZYŁUSKA
– kandydatka Lewicy do Sejmu, okręg nr 35, pozycja 3 (miasta i powiaty: Olsztyn, Ełk, Nidzica, Giżycko, Gołdap, Kętrzyn, Mrągowo, Olecko, Pisz, Szczytno i Węgorzewo)

eprasa.pl 3f03bcca17

miejscach stoi ono w sprzeczności z polskim prawem albo różni się od świeckiego, państwowego.

Ojciec dyrektor otwarcie mówi, że „prawo boskie jest ważniejsze niż państwowe".

– Nadrzędność prawa państwowego nad kanonicznym w demokratycznym kraju jest oczywista. To, że w Polsce w wielu wypadkach odmiennie traktuje się i karze księży pedofilów niż np. nauczycieli pedofilów, jest nie do zaakceptowania. I takie myślenie staje się coraz powszechniejsze.

Sprawy kobiet i rozdział Kościoła od państwa to tematy ogólne. Pani ubiega się o mandat z Warmii i Mazur. Mieszkańcy tego regionu mają inne problemy niż mieszkańcy Warszawy.

– Nie mogę z panem się zgodzić. Od siedmiu lat bardzo dużo jeżdżę po Polsce jako działaczka Strajku Kobiet, jako organizatorka różnych akcji związanych ze Stowarzyszeniem Kongres Świeckości. Poznałam naprawdę setki osób, które są zaangażowane w akcje obywatelskie. Mówią mi wprost, że na ich terenach ludzie obserwują to samo, rozmawiają o tym samym, co w stolicy. Czy w Olsztynie lub Ełku prawa kobiet są łamane w mniejszym stopniu niż w Warszawie? Czy Kościół ma mniejszy wpływ na tamtejsze społeczności? Oczywiście Warmia i Mazury to nie tylko większe miasta, ale i obszary wiejskie. Proszę mi wierzyć, że żyją tam ludzie, wśród których także zachodzą, choć może nieco wolniej, procesy społeczne będące przedmiotem mojego zainteresowania.

Bożena Przyłuska jest mocno zaangażowana w kampanię społeczną „Świeckie państwo". A teraz w organizowaną przez Stowarzyszenie Kongres Świeckości akcję zbierania podpisów pod apelem do Sejmu w sprawie rozdziału Kościoła od państwa. Apel można podpisać na stronie internetowej: naszademokracja.pl.

Wielu ludzi z Warmii i Mazur mówi, że jestem im ogromnie potrzebna. Oni chcą rozmawiać na temat rozdziału Kościoła od państwa czy praw kobiet.

Na wsiach Kościół ma większe wpływy niż w miastach.

– Co jest również konsekwencją tego, że społeczności wiejskie są zamknięte i Kościół jest w nich jedyną przestrzenią wspólną. W sytuacji, gdy państwo zupełnie skapitulowało w kwestii kultury, oferty kulturalnej na terenach niezurbanizowanych, zamykając domy kultury i biblioteki, kościoły często stanowią jedyną przestrzeń, gdzie można cokolwiek zrobić wspólnie. Nieraz mówię, że na wsiach księża często odgrywają bardzo pożyteczną rolę, co w moich ustach może się wydawać dziwne, ale ja naprawdę nie jestem wrogiem duchownych, bo wiem, że wielu z nich robi dobrą robotę i są za to szanowani.

Tym trudniej będzie pani przekonać do siebie elektorat małomiasteczkowy, wiejski.

– W mniejszych miejscowościach, takich jak Węgorzewo czy Kętrzyn, a i na wsi, poziom zastraszenia społeczeństwa przez ostatnie osiem lat ogromnie się zwiększył. Odczuwalna jest tam polityka prowadzona przez prawicę, polegająca na tępieniu wszelkiej różnorodności. Rozjeżdżaniu każdego, kto nie jest wyznawcą katolicko-narodowej retoryki. Zaszczuwaniu tych, którzy w jakikolwiek sposób odstają od wzorca społecznego uznawanego i narzucanego przez władzę. I dlatego tak wielu ludzi z Warmii i Mazur mówi, że jestem im ogromnie potrzebna. Oni chcą rozmawiać na temat rozdziału Kościoła od państwa czy praw kobiet. Nie przechodzą obojętnie obok mojego obwoźnego, mobilnego namiotu, który jest swoistym transparentem głoszącym postulaty świeckiego państwa, pełni praw kobiet, pełni praw LGBT+, zakończenia wikłania polityków we wzmacnianie pozycji Kościoła.

Opozycja zarzuca rządzącym, że w referendum zadają pytania, które niespecjalnie zajmują Polaków, bo tych interesuje drożyzna, inflacja, zdrowie itp. Nie obawia się pani podobnego zarzutu, że mówi pani o czymś, o czym oni na bieżąco, na co dzień nie dyskutują?

– Nie! Ostatnio byłam w Olsztynie, gdzie przez osiem godzin zebrałam aż 440 podpisów pod apelem o świeckie państwo. Może w mniejszych miastach jest mniejsze zainteresowanie tą tematyką, ale jest. Naprawdę prawa kobiet i świeckie państwo budzą zainteresowanie. Wielu politykom się wydaje, że te kwestie ludzi nie obchodzą, a liczy się jedynie cena masła. Polacy naprawdę nie są tak głupi, by nie wiedzieć, skąd ona się bierze i że ma to związek z tym, co robi rząd do spółki

eprasa.pl 3f03bcca17

z prezesem Glapińskim. Że nieuzasadnione podnoszenie, a w zasadzie zawyżanie cen paliw przez Orlen Obajtka zwiększyło inflację. Z badań społecznych wcale nie wynika, że poziom laicyzacji w małych miastach jest niższy niż w metropoliach. Owszem, Polacy w małych miastach i na wsi liczniej uczestniczą w życiu Kościoła, ale często wynika to z tradycji albo z chęci niezrobienia przykrości rodzinie. Ale jak widzą, co wielu księży robi, jak często to, co głoszą, rozmija się z tym, jak postępują na co dzień, jaki nieformalny wpływ mają na władze lokalne i podejmowane przez nie decyzje, to też oczekują świeckiego państwa.

Dzisiejsza lewica jest bardziej obyczajowa, światopoglądowa, ale przecież u niej na pierwszym miejscu powinna być bardziej tematyka propracownicza, prospołeczna.

– Ależ to nie ulega wątpliwości! Sprawy propracownicze i prospołeczne uważam za jedne z najważniejszych, a właściwie najważniejsze dla lewicy. Weźmy regulacje prawne dotyczące zatrudnienia. Umowy o pracę, podlegające Kodeksowi pracy, coraz częściej są zastępowane umowami cywilnoprawnymi, które w jawny sposób łamią ów kodeks. A właściwie są sposobem, jak go omijać. GUS prowadzi statystykę umów o pracę, ale już nie analizuje takich przypadków jak ten, o którym powiedział mi młody człowiek w Giżycku, który dołączył do naszej akcji „Świeckie państwo". Jest absolwentem gastronomicznej szkoły zawodowej i pracuje w barze. Zamiast normalnej umowy musiał podpisać... umowę o warsztat, z której zapisów wynika, że ma obowiązek pracować sześć dni w tygodniu co najmniej osiem godzin dziennie. Co najmniej osiem! Jak słucha się takich rzeczy, to nóż w kieszeni się otwiera. Takie draństwo spowoduje, że młodzi ludzie w wieku moich dzieci, a te mają 21 i 23 lata, w bardzo dużej części wyjadą z Polski i nie będą chcieli tutaj zostać. My, Polacy, zapłaciliśmy za edukację tych młodych ludzi, patrząc na to nieco cynicznie, zainwestowaliśmy pieniądze w ich edukację. A robimy wszystko, żeby nie chcieli tu zostać.

Co spowodowało, że zaangażowała się pani w działalność polityczną, choć nie należy do żadnej partii?

– Jestem osobą bezpartyjną, ale zapisałabym się do lewicy. Natychmiast. Gdyby była jedna partia lewicowa, a nie trzy. Początki mojej działalności publicznej są związane z zaangażowaniem się w świecką szkołę ze względu na moje dzieci, które były dyskryminowane. Wcześniej, w przedszkolu, podczas zajęć z religii siedziały w tej samej sali w kącie, były traktowane jak jakiś obcy element. Nie było żadnej propozycji dla dzieci, które nie uczestniczą w zajęciach z katechetą. Zawsze miałam lewicowe poglądy, nigdy nie było mi obojętne to, co się dzieje w moim kraju. Teraz, gdy widzę, co PiS do spółki z Ziobrą robią z moją ojczyzną, jak mogę siedzieć cicho? Może nie zdobędę mandatu posłanki, ale walczę i będę walczyć o sprawy mi bliskie.

Gdy wpisuje się pani nazwisko w internecie, to w rubryce zawód pojawia się: przedsiębiorczyni. Może pani to rozszyfrować?

– W 2011 r. założyłam firmę, która zajmowała się produkcją gadżetów inspirowanych Warszawą. Sama je projektowałam, robiłam i – tu się pochwalę – dostawałam za nie nagrody w różnych konkursach. Odkąd zaangażowałam się w działalność na rzecz kobiet i świeckości państwa, moja aktywność na polu przedsiębiorczości słabła. W zeszłym roku zawiesiłam firmę, tak że utrzymanie rodziny spadło na męża. W tej chwili mam do wyboru dwie drogi. Albo na całego zaangażuję się politycznie, co nie jest wykluczone, tym bardziej gdybym została posłanką, albo wrócę do biznesu, ale już nie do tego, co robiłam, tylko do czegoś, co będzie dotyczyło Warmii.

A skąd się wzięła ta Warmia w pani życiu?

– Warmię pokochałam już dawno, jest takim miejscem, które mnie nieustająco zachwyca, ze względu na przyrodę, na widoki, ukształtowanie terenu i architekturę, która jej nie niszczy. Nawet nowe rzeczy, które tam powstają, z reguły trzymają styl i nie psują krajobrazu. A to nie jest takie oczywiste, gdy porówna się z tym, co się dzieje w innych rejonach Polski.

Warmia i Mazury to nie tylko przyroda, ale i ludzie. Spotyka ich pani coraz częściej, coraz lepiej ich poznaje.

– I ich historię. Tych, których przodkowie trwali w polskości, i tych, którzy byli osadnikami po wojnie. Gdy się słucha tych ludzi, ich opowieści o czasach odległych i o zdarzeniach sprzed kilkunastu czy kilku lat, lepiej można ich zrozumieć, docenić ich wkład w rozwój tych ziem. Dlatego nie ma mojej zgody, by o tym, jaka ma być historia tych rejonów, tutejszych mieszkańców, jakie mogą stać tutaj pomniki, arbitralnie decydował Instytut Pamięci Narodowej. O tym mają prawo decydować jedynie mieszkańcy tych terenów, bo to oni najlepiej wiedzą, jak było w przeszłości. I że nie wolno, posługując się nią, dzielić Polaków.

A co będzie, jeśli nie dostanie się pani do Sejmu?

– Może tak być, choć robię, co mogę, by zostać posłanką. W tym dziele pomaga mi coraz więcej Warmiaków i Mazurów. Jedno jest pewne: nie zrezygnuję z publicznej działalności, nie zaprzestanę walki o prawa kobiet i świeckie państwo. Będę walczyć o świecką szkołę, występować przeciwko edukacji w wydaniu Czarnka, bo na tych sprawach znam się najlepiej. Nie przestanę walczyć o kulturę, ale nie taką na modłę ministra Glińskiego, tylko taką, w której decydujące słowo należy do twórców, nie urzędników. Słowem, będę walczyć, by Polska była dla wszystkich Polek i Polaków, a nie dla pisowskiej wierchuszki, której się wydaje, że najlepiej wie, w jakim kraju chcą żyć moje rodaczki i moi rodacy.

Nasze prawa zostały sprzedane Kościołowi w zamian za poparcie 10 tys. ambon, z których księża grzmieli, na kogo głosować.

Paweł Dybicz
p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 3f03bcca17

Armia w budowie

Do roku 2035 na uzbrojenie Wojska Polskiego wydamy co najmniej 524 mld zł. Zarobią na tym głównie amerykańskie i koreańskie firmy

Marek Czarkowski

Dostawy pierwszych egzemplarzy bojowych wozów piechoty Borsuk mają się rozpocząć w przyszłym roku.

Pod koniec października ub.r. w podwarszawskiej Jachrance fetowano zakończenie testów lekkiego opancerzonego transportera rozpoznawczego Bóbr-3. Zbudowało go konsorcjum, którego liderem była spółka AMZ-Kutno, za partnerów mająca Wojskowy Instytut Chemii i Radiometrii, Wojskowy Instytut Łączności i Wojskowy Instytut Techniczny Uzbrojenia.

Bóbr-3 nie był drogi. Narodowe Centrum Badań i Rozwoju wsparło jego budowę kwotą 33,4 mln zł, tak że konsorcjanci musieli wyłożyć jedynie 3 mln zł. Transporter miał zastąpić produkowane od 1963 r. radzieckie opancerzone samochody rozpoznawcze BRDM-2.

Prace nad pojazdem rozpoczęły się w roku 2013 i zakładano, że gotowy do seryjnej produkcji prototyp Wojsko Polskie otrzyma w grudniu 2016 r. Tak się nie stało. Kolejny termin minął w październiku 2019 r., po czym następny wyznaczono na kwiecień 2021 r. Pierwotne plany zakładały, że wojsko zakupi ponad 200 bobrów. Po wybuchu wojny w Ukrainie i ogłoszeniu przez rząd PiS planów budowy 300-tysięcznej armii stało się jasne, że potrzeby są znacznie większe. Dla spółki AMZ-Kutno była to dobra wiadomość, choć na razie umowy na dostawy tego pojazdu nie podpisano. Na pytania dotyczące przyszłości transportera Bóbr-3 spółka nie odpowiedziała. I nie wiadomo, czy wojsko go kupi.

Polskie się nie liczy

Żaden rząd od 1990 r. tak pięknie nie mówił o możliwościach polskiego przemysłu zbrojeniowego jak gabinet Mateusza Morawieckiego. I chyba żaden nie zrobił tak niewiele, by ten przemysł zyskał tyle, ile mógłby.

Pierwotnie Plan Modernizacji Technicznej Sił Zbrojnych RP na lata 2017-2026 przewidywał wydanie 185 mld zł na nowe rodzaje broni. W roku ubiegłym wydatki zwiększono do 524 mld zł, z założeniem, że i ta kwota może wzrosnąć.

Jeszcze w styczniu 2020 r. zamówiono w USA 32 samoloty wielozadaniowe F-35 Joint Strike Fighter wraz z zapasem części zamiennych i eksploatacyjnych, informatycznym systemem zarządzania, sprzętem na potrzeby obsługi naziemnej samolotów oraz programem szkoleniowym. Zapłacimy za to 4,6 mld dol.

W roku ubiegłym za 3 mld dol. kupiliśmy w Korei Południowej 48 lekkich myśliwców FA-50, które wraz z samolotami F-16 i F-35 stworzą fundament naszych sił powietrznych.

W kwietniu 2022 r. minister obrony Mariusz Błaszczak podpisał umowę na dostawę 250 najnowocześniejszych czołgów Abrams M1A2 SEP v.3 za kwotę 23 mld zł, a w styczniu br. zatwierdził kolejną umowę na dostawę 116 abramsów wartą 1,4 mld dol.

W lipcu 2022 r. kupiliśmy w Korei Południowej 1000 czołgów K2 Czarna Pantera, z których 180 mamy otrzymać do roku 2025, a dostawy pozostałych 820 mają się rozpocząć w roku 2026. Są też plany uruchomienia ich produkcji w Polsce.

Prawdziwym ciosem zadanym rodzimemu przemysłowi zbrojeniowemu była umowa na dostawę 672 koreańskich haubic samobieżnych K9A1 wraz z częściami zamiennymi i pakietem szkoleniowym. Huta Stalowa Wola produkuje sprawdzone w walkach w Ukrainie armatohaubice Krab. Prasa koreańska ujawniła, że realizacja naszych zamówień będzie kosztowała równowartość 77 mld zł. Innymi słowy, rząd Morawieckiego walnie przyczynił się do rozbudowy tamtejszego przemysłu zbrojeniowego, o rodzimym jakby zapominając.

W lutym br. Departament Stanu USA zaaprobował potencjalną sprzedaż Polsce prawie 500 zestawów artylerii HIMARS. Będziemy mieli

eprasa.pl 3f03bcca17

więcej tych systemów niż armia amerykańska. Do tego za 3,55 mld dol. kupiliśmy od Koreańczyków 218 wyrzutni rakietowych K239 Chunmoo, będących odpowiednikiem himarsów. Pierwszych 18 tych systemów zostanie zamontowanych na pojazdach Jelcz. Tak wygląda polski komponent tej nowoczesnej broni.

Warto sobie uświadomić, że na początku lat 60. XX w. Korea Południowa była jednym z najbiedniejszych państw świata. A dziś zakupy ministra Błaszczaka ilustrują, w jakim jesteśmy miejscu pod względem rozwoju przemysłu i nauki. I jakie są rzeczywiste możliwości obronne Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Borsuk, Tytan i inne

Za sukces polskiego przemysłu należy uznać zatwierdzenie pod koniec lutego br. przez ministra Błaszczaka umowy ramowej pomiędzy Agencją Uzbrojenia a konsorcjum firm Polska Grupa Zbrojeniowa SA i Huta Stalowa Wola SA na dostawę 1,4 tys. bojowych wozów piechoty Borsuk. Koszt trwających dziesięć lat prac projektowych wyniósł ok. 262 mln zł, przy czym dofinansowanie ze strony Narodowego Centrum Badań i Rozwoju sięgnęło 242 mln zł. Dostawy pierwszych egzemplarzy mają się rozpocząć w przyszłym roku, a zakończenie produkcji borsuków planowane jest na rok 2036.

O wiele gorzej wygląda sprawa rozpoczętego w roku 2007 programu Zaawansowanego Indywidualnego Systemu Walki (ZISW) Tytan, którego celem było, jak głosiła propaganda, stworzenie „żołnierza XXI w.". W roku 2014 koszt realizacji Tytana szacowano na 4 mld zł. W ramach programu miało powstać nowoczesne oporządzenie taktyczne, do tego mundury bojowe z czujnikami monitorującymi stan organizmu żołnierza. Podjęto też prace nad nowym kamuflażem i Modułowym Systemem Broni Strzeleckiej, który dziś jest znany jako MSBS Grot. W 2017 r. Wojsko Polskie planowało zakupić 14 tys. zestawów Tytan i rozpocząć wyposażanie jednostek w nowy sprzęt.

We wrześniu 2021 r. prezes Polskiej Grupy Zbrojeniowej Sebastian Chwałek mówił, że większość elementów ZISW Tytan jest gotowa i przetestowana. A we wrześniu 2022 r. wiceminister obrony narodowej Wojciech Skurkiewicz, odpowiadając na interpelację posłanek PO Zofii Czernow, Joanny Frydrych i Mirosławy Nykiel wyjaśnił, że „zostały opracowane i przeszły wymagane badania następujące elementy systemu TYTAN: 9 mm pistolet samopowtarzalny, 5,56 mm karabinek standardowy (MSBS), 40 mm granatnik podwieszany, nóż-bagnet, amunicja 5,56x45 mm z pociskiem przeciwpancernym, bateria B-C4I, wskaźnik laserowy, wyświetlacz nahełmowy, latarka osobista, celownik termowizyjny strzelecki, monookular uniwersalny, celownik kolimatorowy, celownik kolimatorowy granatnika, ręczny granat odłamkowy uniwersalny, ręczny granat termobaryczny, ręczny granat dymny sygnalizacyjny czerwony, ręczny granat dymny sygnalizacyjny żółty, ręczny granat dymny sygnalizacyjny niebieski".

Ciosem zadanym rodzimemu przemysłowi zbrojeniowemu była umowa na dostawę 672 koreańskich haubic samobieżnych, podczas gdy Huta Stalowa Wola produkuje armatohaubice Krab.

To niezbyt imponujący zestaw wobec pierwotnych planów stworzenia „żołnierza XXI w.", który byłby niewidzialny dla systemów noktowizyjnych przeciwnika, dysponowałby niezawodną łącznością z dowódcą i kolegami i wyposażony byłby w kamizelkę kuloodporną i inne chroniące go przed pociskami i odłamkami elementy. Na ukończenie Tytana przyjdzie nam jeszcze poczekać.

W ramach prac badawczo-rozwojowych na potrzeby programu Tytan w gdyńskim Radmorze powstał projekt radiostacji, lecz nie zyskał on uznania w oczach wojskowych. Krążyły plotki, że pułkownicy chcą kupić amerykańskie radiostacje, po 50 tys. dol. za sztukę (polskie urządzenia tego typu są cztery razy tańsze). Potem pojawił się projekt radiostacji o nazwie Comp@n, lecz co się z nim stało, nie wiadomo. Z pewnością resort obrony nim się nie chwalił, tak jak całym projektem ZISW Tytan.

Najogólniej rzecz biorąc, te elementy Planu Modernizacji Technicznej Sił Zbrojnych RP, do realizacji których wzięliśmy się sami, nie wychodzą nam. W najlepszym wypadku realizowane są z wieloletnim opóźnieniem, w najgorszym zapada wokół nich głucha cisza. Tak się stało z wartym 3 mld zł programem Cyber.mil, w ramach którego miały zostać pozyskane krajowe narzędzia i oprogramowanie, pozwalające przeprowadzać skuteczne operacje w cyberprzestrzeni i stworzyć najnowocześniejsze polskie technologie kryptograficzne.

Na marginesie

Realizacja Planu Modernizacji Technicznej Sił Zbrojnych RP jest najlepszym dowodem zacofania naszego przemysłu i nauki. Generałowie lubią powtarzać, że wojny wygrywa się w fabrykach i instytutach naukowo-badawczych. Tymczasem na tegorocznej Liście Szanghajskiej, czyli w rankingu 1000 najwyżej ocenianych szkół wyższych świata, uwzględnionych zostało jedynie dziewięć polskich uczelni. Uniwersytety Jagielloński i Warszawski znalazły się na miejscach od 401 do 500, Akademia Górniczo-Hutnicza – między 801 a 900. Politechniki Gdańska i Warszawska – między 901 a 1000. W unijnych rankingach dotyczących badań i rozwoju nasz kraj ściga się z Bułgarią i Rumunią o pierwsze miejsce... od końca. Nic dziwnego, że broń kupujemy za granicą.

Modernizacja naszych sił zbrojnych oznacza, że kilkaset miliardów złotych, które można by przeznaczyć na poprawę jakości kształcenia młodych Polaków i podniesienie poziomu opieki zdrowotnej, wydamy na broń. Cóż, jak zauważył gen. Carl von Clausewitz – wojna jest kontynuacją polityki innymi środkami. A jaką mamy politykę, każdy widzi.

m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 3f03bcca17

Faworytem do fotela premiera ponownie staje się Pedro Sánchez.

Głos nie taki silny

Skrajna prawica w Hiszpanii tym razem nie stworzy rządu. Ale jej śmierci też nie można jeszcze ogłaszać

Mateusz Mazzini

Przez pierwsze 48 godzin było sensacyjnie. Wprawdzie na czele znalazła się zgodnie z przewidywaniami prawicowa Partia Ludowa (Partido Popular – PP), a zdobyte przez nią 33,1% poparcia też pokrywało się mniej więcej z sondażowymi szacunkami z ostatnich kilku tygodni, dalej jednak zrobiło się nerwowo, bo choć zgadzały się miejsca, to procenty i liczby mandatów wydawały się wyjęte z wyborów przeprowadzonych w innych czasach. A na pewno nie w rozpalonym roku 2023, w którym cały Stary Kontynent brunatnieje.

Zaraz za ludowcami uplasowali się współrządzący Hiszpanią od 2019 r. socjaliści z Partido Socialista Obrero Español (PSOE), ale ich wynik przebił sondażowy sufit. 31,7% poparcia, o 6-7 pkt proc. więcej, niż przewidywały badania opinii, i aż 121 mandatów w 350-osobowej Izbie Deputowanych. To rezultaty lepsze niż w poprzednich wyborach, w których przecież sięgnęli po władzę.

Trzecie miejsce i następna sensacja – zajęła je skrajnie prawicowa formacja Vox, z zaledwie 12,4% głosów, o muśnięcie (0,1%) wyprzedzając lewicową koalicję Sumar. Radykałowie stracili więc wobec przewidywań jakieś 4 pkt proc., ich stan posiadania w Kortezach zmniejsza się aż o 19 mandatów. Europa bierze głęboki oddech, ale Hiszpania szarpie się w konwulsjach, bo potrzebnej do rządzenia większości 176 głosów nie ma nikt. Zaczyna się liczenie szabel i liczenie na cud.

Mariaże nierealne

Tyle nakreślenia sytuacji z 23 lipca, niezbędnego, żeby zrozumieć, w którym miejscu znajduje się w tej chwili hiszpańska polityka. Od tego czasu trwają gorączkowe negocjacje. Zarówno lider PSOE premier Pedro Sánchez, jak i nowy szef ludowców Alberto Núñez Feijóo próbują się zorientować, czy ich formacje mają szanse na stworzenie nowego rządu. Pierwszeństwo w rozmowach z królem Filipem VI, decydującym formalnie o powierzeniu misji stworzenia gabinetu, ma Feijóo, ale jego możliwości są marginalne, bo w koalicję może wejść tylko z Vox. W sumie prawica skrajna i mniej skrajna miałaby 170 deputowanych – ciągle za mało. Z czysto matematycznego punktu widzenia wystarczyłoby przekonać do mariażu którąkolwiek z okruszkowych partii regionalnych, które w lipcu weszły do parlamentu: Republikańską Lewicę Katalonii (Esquerra Republicana de Catalunya – ERC) lub tamtejszych

eprasa.pl 3f03bcca17

separatystów z Junts, bo obie formacje mają po siedmiu deputowanych. Albo Basków z EH Bildu, których w Kortezach reprezentować będzie sześć osób.

Na papierze by się zgadzało, ale w praktyce to małżeństwa kompletnie nierealne. ERC, Junts i EH Bildu to ugrupowania otwarcie separatystyczne, ci ostatni przez dekady byli politycznym skrzydłem ETA, baskijskiej organizacji terrorystycznej walczącej właściwie z każdą prawicową władzą w Madrycie. EH Bildu nigdy za konszachty z ETA nie przeprosiło, mało tego – w przeprowadzonych 28 maja wyborach samorządowych wystawiło początkowo na swoich listach 44 kandydatów mających na koncie wyroki skazujące za działalność terrorystyczną, w tym siedmiu za morderstwo. Ruch ten wywołał szok w całej Hiszpanii, pod naporem oburzenia rodzin ofiar siódemkę morderców wycofano, ale niesmak pozostał. Zadyma wokół EH Bildu nakręciła kampanię, a potem samorządowy sukces Vox. Lider partii Santiago Abascal sam jest Baskiem, jego ojciec i dziadek, lokalni politycy PP, kilkakrotnie byli brani na cel przez bojowników z ETA. Jeśli dodać do tego fakt, że terytorialna jedność Hiszpanii i osłabienie separatyzmów jest drugim najsilniejszym argumentem wpływającym na decyzje wyborcze elektoratu Vox (pierwszy czynnik to niechęć do feminizmu), widać, że koalicji z prawicą i regionalistami być nie mogło.

Dlatego pomimo porażki w tej chwili faworytem do fotela premiera ponownie staje się Pedro Sánchez. Głosy jego partii w połączeniu z mandatami Sumar – nowego wcielenia Podemos, lewicowej koalicji ponad 20 mniejszych partii, ruchów miejskich i kampanii społecznej – dają razem 152 reprezentantów w parlamencie. Organicznej pracy u podstaw jest tu więc do zrobienia znacznie więcej, bo nawet wsparcie od Junts, ERC i EH Bildu nie da większości. Trzeba by przekonać jeszcze mającą pięć głosów Baskijską Partię Nacjonalistyczną (Partido Nacionalista Vasco – PNV).

Co poszło nie tak?

Przed zejściem na niższy poziom hiszpańskiej polityki i dalszymi spekulacjami o możliwości paktu pomiędzy Sánchezem a partiami z Navarry, Wysp Kanaryjskich i Galicii trzeba jeszcze raz spojrzeć w górę tabeli. I zastanowić się, dlaczego mimo niemal pewnego sukcesu i miejsca w rządzie jako młodszy brat PP skrajni prawicowcy z Vox znów znajdą się w opozycji. Wszystko przecież wskazywało, że tym razem lewica się nie obroni, zagrożenie z prawej strony jest zbyt silne, a ta część elektoratu bardzo zwarta. Próba generalna w majowych wyborach samorządowych wyszła doskonale, Vox współrządzi z PP w czterech regionalnych parlamentach, a w dwóch pozostałych stabilizuje władzę ludowców, głosując z nimi bez formalnej umowy koalicyjnej. Łącznie ludzie Abascala zgarnęli 7,2% wszystkich miejsc w samorządach, dostali się do władz 25 miast o liczbie mieszkańców przekraczającej 30 tys., a perłą w koronie stało się wejście do rządu w Walencji – jednym z najbogatszych regionów, w którym mieszka co dziesiąty Hiszpan. Wydawało się, że fala rośnie i zaraz przykryje całą Hiszpanię.

Co więc poszło nie tak? Hipotez jest kilka, tę najbardziej prawdopodobną poznamy pewnie za parę miesięcy, kiedy pojawią się już dokładne badania elektoratów i pogłębione analizy politologiczne. Można jednak przedstawić co najmniej trzy czynniki, które mogły wpłynąć na mniejszą liczbę mandatów dla Vox.

Pierwszym, lansowanym zwłaszcza przez zachodnioeuropejskie media, jest pamięć zbiorowa. Szeroko rozpisywał się o tym chociażby brytyjski tygodnik „The Economist", tezę tę głosił również południowoeuropejski korespondent „New York Timesa" Jason Horowitz. Chodzi o społeczny strach przed nacjonalizmem, zwłaszcza wśród starszych głosujących, pamiętających czasy upadłej dopiero w 1975 r. dyktatury gen. Francisca Franco oraz pierwsze lata demokracji, naznaczone próbami zamachu stanu i sprzężeniem zwrotnym w postaci terroru separatystów. Abascal i jego ekipa przesadzili z wymachiwaniem hiszpańskimi flagami i krzyczeniem o jednym narodzie, jednym języku i jednej religii. To jednak teza trochę problematyczna, bo przynajmniej na razie trudno ją udowodnić, poprzeć danymi.

Argument o lęku starszych Hiszpanów niewiele ma też wspólnego z samym głosowaniem na Vox, partię popularną zwłaszcza w młodszym elektoracie, głównie wśród mężczyzn. Dla nich temat dyktatury jest odległym mirażem, żyją tym, co zdominowało dzisiejszą debatę publiczną, a są to Unia Europejska, podatki, migranci, seksualność i tożsamość płciowa. Co najwyżej widmo frankizmu mogło się przełożyć na mobilizację po stronie socjalistów i więcej głosów na PSOE, co owszem, Vox osłabiło, ale pośrednio.

Drugi powód dotyczy kwestii katalońskiej i tutaj akurat jest czym się podeprzeć. Formacja Vox wyrosła bowiem na antagonizmie wobec katalońskich separatystów, którzy w 2017 r. przeprowadzili niezgodne z hiszpańską konstytucją referendum niepodległościowe, wskutek czego w Barcelonie wybuchły potężne zamieszki, a kraj rozchwiał się politycznie jak nigdy wcześniej. Do jego rozpadu oczywiście nie doszło, ale następstwa buntu były nie bez znaczenia. Sánchezowi zarzucano, że był zbyt miękki wobec separatystów, a prawica atakowała go za stwarzanie zagrożenia dla bezpieczeństwa narodowego.

Czym przyciągnąć wyborców

Krytyka wezbrała, gdy w 2020 r. wyszło na jaw, że w katalońskie referendum zamieszani byli Rosjanie, którzy działali w Barcelonie propagandowo i oferowali wsparcie

> Z partii hiszpańskiej jedności narodowej Vox stała się partią hiszpańskiej męskości.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 3f03bcca17

wojskowe (10 tys. żołnierzy, prawdopodobnie z jednej z podległych Kremlowi grup najemników) oraz finansowe (500 mld dol. pomocy dla suwerennej Katalonii). Santiago Abascal obiecywał wtedy, że jeśli on i Vox dojdą do władzy, separatystów wszelkiej maści stłamszą przy użyciu „wszystkich niezbędnych narzędzi". I rzeczywiście wtedy to działało.

Analizy elektoratów pokazywały, że jedność terytorialna i zachowanie dominującego statusu języka kastylijskiego są magnesem dla nowych wyborców i członków, a tych ostatnich od 2018 r. przybyło 40 tys. Lub, patrząc inaczej – przez ostatnie pięć lat liczba zarejestrowanych w Vox działaczy wzrosła trzykrotnie.

Dlatego wyciszenie problemów z Katalonią przełożyło się w naturalny sposób na obniżenie temperatury sporu politycznego i mniejsze zainteresowanie ekipą Abascala. Badania z ostatnich lat, zwłaszcza artykuł zespołu pod przewodnictwem politologa Rodriga Ramisa Moyana z Uniwersytetu w Kordobie, pokazały, że pierwszeństwo w przyciąganiu wyborców do Vox przejęły kwestie tożsamości płciowej. Najsilniejsza jest współzależność pomiędzy głosowaniem na Abascala a zgadzaniem się z tezą, że feminizm i prawa kobiet poszły w Hiszpanii za daleko. Wynik dla korelacji tych dwóch zmiennych wynosi ponad 0,9, co w badaniach politologicznych praktycznie się nie zdarza.

Wszystko wskazywało, że tym razem lewica się nie obroni.

Partia hiszpańskiej jedności narodowej stała się więc partią hiszpańskiej męskości. I tu najprawdopodobniej prawica przeszarżowała. Nie doceniła tempa liberalizowania się Hiszpanii, a próby zmiany lokalnych legislacji (m.in. w Walencji) dotyczącej przemocy domowej na taką, która mniej jednoznacznie mówi o kobiecej krzywdzie, wzbudziły retorsje ze strony feministycznej lewicy. Pokrzykiwanie o „kobietach zbyt brzydkich, by zostały zgwałcone" – to było za dużo nawet dla tych, dla których Hiszpania wolna od separatyzmów jest sprawą najważniejszą.

Z tym wiąże się trzeci czynnik, który mógł uratować socjalistów i osłabić Vox, czyli znalezienie kozła ofiarnego na lewicy. Jednym z najbardziej kontrowersyjnych momentów poprzedniej kadencji było bowiem zaprezentowanie w lutym ub.r. przez szefową ministerstwa ds. równości Irene Montero, działaczkę Podemos, czyli koalicjanta PSOE, ustawy nowelizującej Kodeks karny, znanej później pod hasłem „tylko tak oznacza tak". Po jej uchwaleniu każdy stosunek seksualny bez wyraźnie zakomunikowanej zgody partnerów był uznawany za równy gwałtowi, z takimi samymi konsekwencjami prawnymi.

Na pierwszy rzut oka wygląda to na rozwiązanie postępowe, które ruchy feministyczne powinny przyjąć z entuzjazmem. Szybko jednak okazało się, że w akcie prawnym, z którego Montero i całe Podemos byli niesłychanie dumni, ukryta jest bomba. Ponieważ w Hiszpanii nowelizacje prawa działają wstecz, ustawa de facto stworzyła jedną ramę prawną w miejsce dwóch istniejących. Wcześniej ci, którzy zostali skazani za przemoc seksualną zakończoną penetracją, mogli iść do więzienia na 6-12 lat, a skazani za molestowanie zakończone penetracją – na 4-10 lat. Teraz wszystko wrzucono do jednego worka, wskutek czego więźniowie w całej Hiszpanii masowo pisali do sędziów o ponowny proces i złagodzenie wyroków. Prawie 500 otrzymało skrócenie kary, co wywołało falę krytyki pod adresem rządu ze strony organizacji feministycznych.

Na lewicy zaczął się typowy dla europejskich partii lewicowych wyścig o to, kto jest moralnie czystszy, ma szlachetniejsze intencje i jest bardziej progresywny w swoich działaniach. Ustawa była potem jeszcze zmieniana, ale mleko się rozlało, kryzys był gigantyczny, nie tylko wizerunkowy – koalicja PSOE-Podemos trzeszczała. Ostatecznie zwycięsko z tej wojenki wyszedł Sánchez, pomyje wylały się na głowę Montero, Podemos przeszło rebranding i już pod szyldem Sumar postawiło na wicepremier Yolandę Díaz jako lokomotywę wyborczą. Dzięki temu ruchowi, co w podcaście „Financial Timesa" „The Rachman Review" wyjaśniał madrycki politolog Pablo Simón, PSOE zachowało rząd dusz na lewicy i przede wszystkim wizerunek partii, która jest antytezą toksycznej męskości spod znaku Vox.

Przed socjalistami jeszcze długa droga, żeby dogadać się z mniejszymi partiami. Trudne do przetrawienia może być zwłaszcza żądanie amnestii dla twórców referendum z 2017 r., wysunięte jako warunek brzegowy przez Junts. Jeśli Sánchezowi też się nie uda, Hiszpanię czekają kolejne wybory, pod koniec grudnia. Tę sytuację warto obserwować, bo z jednej strony nadspodziewanie dobry wynik PSOE daje nadzieję na odparcie skrajnie prawicowej ofensywy, z drugiej – spór z Podemos pokazuje, że lewica musi się nauczyć wewnętrznej spójności i dyscypliny, której partie takie jak Vox mają nieporównywalnie więcej. Przewagę ma zatem Sánchez, ale piłka wciąż jest w grze.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3f03bcca17

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

O koniokradach

Jakiś czas temu pewien publicysta (bardzo przeze mnie ceniony) ogłosił w pewnym organie prasowym (bardzo przeze mnie cenionym) opowieść o zasłużonej rodzinie, której przodkiem był – niestety – komunista. Publicysta tłumaczył: „W kapitalizmie wielkie rodziny miały za przodków koniokradów i innych łobuzów". Zatem w tych felietonach trzeba się wziąć i za koniokradów.

Zdawałoby się, że samo powstanie III Rzeczypospolitej uwolni nasz dyskurs od tendencji, którą była nasycona zarówno oficjalna mowa w PRL, jak i mowa solidarnościowa, wzięta w kleszcze politycznej poprawności. Zdawałoby się – co więcej – że ośmiolecie rządów PiS uodporni nas na wszystkie ideologiczne dyskursy. Tymczasem nic z tych rzeczy: fenomenem komunizmu nikt sobie nie zaprząta głowy, a słowo „komunista" nadal funkcjonuje wyłącznie jako wyzwisko. Oczywiście jestem stronniczy, bo z przyzwoitego artykułu wyciągam dwa niefortunne słowa. Ale jeżeli całość jest przyzwoita, to przecież jeszcze gorzej. Bo znaczy to, że wywód najbardziej nawet sensowny potrafi być zatruty. Że wraz z przyzwoitością łykamy także zatrute ziarna. Że wracamy do zatrutej humanistyki, za którą tylu z nas atakowało PRL.

Truciznę pochłaniamy z językiem. Mamy w nim gotowe zwroty i zbitki pojęciowe, kołaczące się w pamięci od lat 80., a dziś usankcjonowane przez Instytut Pamięci Narodowej. Przywołam jeden przykład. Oto według oficjalnego przekazu rtm. Witold Pilecki został w roku 1948 „zamordowany", i to strzałem w tył głowy. W rzeczywistości na mocy wyroku sądowego został on rozstrzelany przez pluton egzekucyjny. Natomiast o dyktatorze powstania styczniowego, gen. Romualdzie Traugutcie, powiemy, że na mocy wyroku sądowego został w roku 1864 „stracony" – i to przez powieszenie. W tym przypadku nigdy nie powie się o morderstwie – dlaczego? Wszak szubienica dla wojskowego to kara hańbiąca, przypadek jest więc jeszcze bardziej drastyczny. Ale, jak widać, „mordować" mogą tylko komuniści. Ukuto przecież nawet specjalny termin prawniczy „zbrodnia komunistyczna". A taką zbrodnią może być nawet uderzenie pałką milicyjną... Nasz język nie służy do dyskursu. On służy do ćwiczenia w nienawiści.

Ale co to ma wspólnego z koniokradami? Otóż ma, i to bardzo dużo. Bo w takim ideologicznym języku kryje się zawsze to samo ideologiczne równanie: komunista = łobuz. Czyli łajdak. Na przykład koniokrad. Zbrodniarz. Oprawca stanu wojennego. Autor artykułu zapewne by się oburzył, lecz przecież jego „koniokrady" i „łobuzy" są echem wykrzyku Joachima Brudzińskiego „komuniści i złodzieje!". A przecież, używając takich słów, w istocie bagatelizujemy komunizm. Bo czy o zbrodniarzach stalinowskich (rzeczony komunista był stalinowcem) powiemy: „łobuzy"? Czy modelem komunistycznych represji jest stan wojenny Jaruzelskiego, czy wielka czystka Stalina? I czy to w ogóle ma prawo być łączone? A czy autorowi przyszłoby do głowy, że akces do komunizmu mógł też wynikać z pobudek ideowych? I czy byłby w stanie wykrztusić, że dla polskiej państwowości komunizm miał wymierne zasługi, bo ocalił ją od nieistnienia? No ale czy o jakichkolwiek zasługach można mówić w przypadku koniokrada?

**Nasz język nie służy do dyskursu.
On służy do ćwiczenia w nienawiści.**

A przy tym sprawa jest jeszcze bardziej skomplikowana, bo człowiek, o którym pisze nasz publicysta, z komunizmem po latach zerwał. Czyli komunista stał się antykomunistą! Co z tego jednak? Gdy raz się było komunistą, jest się nim już do śmierci. Komunista zawsze komunistą, Żyd Żydem, ubek ubekiem. Tymczasem syn owego komunisty powiedział kiedyś, że jego ojciec był bardzo dzielny. Czy komunista może być dzielny? Dzielny koniokrad?

„Myśl w obcęgach", pisał niegdyś o „psychologii społeczeństwa sowietów" Stanisław Cat-Mackiewicz. Wiem, że wszelka przesada jest wrogiem rzetelnego dyskursu, bo co tu porównywać najbardziej nawet opresyjne państwo PiS z państwem totalnym, jakim był stalinowski ZSRR. A jednak skojarzenie wydaje się zasadne, bo problem istnieje. Nadal przecież trwa u nas etap nadawania słowom nowych znaczeń bądź akceptacji dla słów wypranych ze znaczeń. Etap żonglowania znaczeniami, etap pochwały bezmyślności. Jednoznaczne czerń i biel odbierają ludzkim wyborom ich dramatyzm, a my znajdujemy się na równi pochyłej, u końca której czai się zawsze jakieś wcielenie Orwella. Gdy zatem choć cień takiej skłonności obserwujemy u naszych przyjaciół, nie trzeba się zastanawiać, czy nie popadamy w przesadę. Trzeba mówić STOP i łapać przyjaciół za rękę.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3f03bcca17

Pożar na hawajskiej wyspie Maui, najtragiczniejszy w historii USA od stu lat, uśmiercił ponad sto osób.

Klimatyczny letarg Ameryki

Skala anomalii pogodowych świadczy o tym, że zmiany są o wiele szybsze, niż myśleliśmy, ale połowa kraju wciąż lekceważy problem

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Sierpniowy pożar na hawajskiej wyspie Maui, najtragiczniejszy w historii USA od stu lat, uśmiercił ponad sto osób i spopielił zabytkową stolicę wyspy Lahainę. Podwyższył tym samym rachunek za tegoroczne klęski żywiołowe do 45 mld dol. Rekordowy pod względem klęsk, z których każda spowodowała straty powyżej 1 mld dol., pozostaje rok 2020 – było ich wtedy 22. Ale w roku bieżącym już padł rekord, jeśli chodzi o liczbę tak kosztownych tragedii w okresie poprzedzającym sezon na huragany. Za wszystkimi stoją anomalie pogodowe związane ze zmianami klimatycznymi. Ameryka budzi się z klimatycznego letargu, ale wolno, a połowa kraju wciąż problem lekceważy.

Odkąd sięgam pamięcią, sierpień w moim górzystym stanie Kolorado upływał pod znakiem upałów. Trzeba było się przygotować na „uderzenia gorąca", gdy temperatury w ciągu dnia potrafiły podskoczyć nawet do 35 st. C, a w nocy spaść jedynie o kilka stopni. Nikogo to nie dziwiło ani nie martwiło, taki już urok górskiej pogody. Najpóźniej na początku września noce na powrót zaczynały się robić chłodne i kto nie zapomniał pootwierać na noc okien, był w stanie schłodzić pomieszczenia na tyle, że w ciągu dnia nie trzeba było nawet włączać klimatyzacji. W starszych budynkach szkół do dziś nie ma klimatyzacji, bo nie była potrzebna.

Problem zrobił się dopiero kilkanaście lat temu, gdy zdecydowano o przesunięciu początku roku szkolnego z pierwszych dni września na połowę sierpnia, by data pokrywała się z rozpoczęciem roku akademickiego na Stanowym Uniwersytecie Kolorado. Ta niefortunna decyzja zbiegła się z pojawieniem anomalii pogodowych, kiedy to sierpniowe upały potrafiły się ciągnąć do połowy września, fundując uczniom kilka tygodni nauki w klasach nagrzewających się do 30 st. C. Gdy któregoś wyjątkowo bezlitosnego sierpnia obie moje córki wróciły ze szkoły z udarem cieplnym, zorganizowałam rodziców i wspólnymi siłami wywarliśmy nacisk na władze, by pierwszy dzień szkoły przypadał nie wcześniej niż 20 sierpnia. Oddzielna batalia o wyposażenie szkół w klimatyzację nie była już taka prosta, bo szkolne budżety, uzależnione w USA od wpływów z podatków od lokalnych nieruchomości, od lat pozostają napięte. Z kolei wyłaniani w wyborach powszechnych członkowie Board of Education, odpowiednika polskiego kuratorium na dany okręg szkolny, jak wszędzie rekrutują się po połowie z sympatyków obu partii. Brakuje większości, by argument o zmianach klimatycznych, które będą nam przecież coraz bardziej doskwierać, przemeblował listę priorytetów.

2023 z nadmiarami

Tymczasem tegoroczne lato w Kolorado nabiło karabiny klimatycznych sceptyków dodatkową amunicją. Po chłodnej i bardzo deszczowej wiośnie przyszło równie chłodne i jeszcze bardziej deszczowe lato. W skali stanu czerwiec był najbardziej mokry w historii z łącznym miesięcznym opadem 130 mm na metr kwadratowy (ostatni rekord z 1882 r. wynosił 125 mm) i temperaturami średnio o 3-5 st. C niższymi niż normalnie o tej porze roku. Dodatkowo padł miesięczny rekord nawałnic z gradzinami o średnicy powyżej 2,5 cm – Kolorado miało ich w czerwcu grubo ponad 300. 21 czerwca przeszedł zaś do historii

eprasa.pl 3f03bcca17

jako dzień, gdy 15-centymetrowe gradziny raniły ponad setkę fanów bawiących się pod gołym niebem na koncercie w amfiteatrze Red Rocks. Dla mojej rodziny fatalna okazała się data 27 lipca. Podczas niebywale gwałtownej i trwającej prawie trzy godziny nawałnicy piorun uderzył w nasz dom. Naprawy szkód wciąż trwają.

Wyjątkowość tegorocznego czerwca potwierdzają też dane o zużyciu wody, normalnie dość obficie wylewanej już o tej porze roku na trawniki i w ogródkach, bo klimat Kolorado klasyfikowany jest oficjalnie jako podzwrotnikowy kontynentalny i półpustynny. Jej zużycie spadło w całym stanie o prawie 40% wobec ostatnich 50 lat, a co najbardziej ucieszyło ekologów – stan wydobył się z chronicznej suszy trwającej tu niemal nieprzerwanie od początku tego milenium. Wyjątkiem, gdy susza na kilka miesięcy „zniknęła", była wiosna 2019 r., podobnie jak tegoroczna deszczowa i chłodna, i poprzedzona nadzwyczaj obfitymi opadami śniegu w sezonie 2018/2019. Jak donosił zaś w marcu br. meteorolog stacji telewizyjnej Denver7 Mike Nelson, ubiegłej zimy niektóre obszary górzyste w południowo-zachodniej części stanu pokryte były warstwą śniegu o 200% grubszą niż przeciętnie o tej porze roku.

2023 jako przestroga

A jednak wyznawców teorii o tym, że susze od lat trawiące zachodnio-południowe rejony USA (przypomnijmy, że pięć największych pożarów w historii Kalifornii – spopielonych ponad 7,7 tys. km kw. – wydarzyło się w latach 2018-2020) to normalna kolej rzeczy w naturze, która właśnie dokonała autokorekty, czeka przykry powrót do rzeczywistości. W połowie sierpnia deszczowy front zniknął i przyszły upały. Prognozy na pierwszy tydzień szkoły to susza i temperatury powyżej 30-35 st. C każdego dnia.

Russ Schumacher, stanowy meteorolog z Colorado Climate Center, nie omieszkał przypomnieć: – Zjawisko suszy znane jest w Kolorado od zawsze. Zmiana polega na tym, że w związku z rosnącymi średnimi temperaturami i skąpszymi opadami powracające okresy suszy są bardziej intensywne, przez co o wiele szybciej drenują nasze rzeki i zbiorniki retencyjne. Ocieplanie się klimatu przynosi większe ekstrema na obu frontach, wyższe opady w porze opadów, ale i bardziej dokuczliwe upały w porze upałów.

Jeszcze zanim poznaliśmy wszystkie pogodowe rekordy czerwca, w magazynie „Nature" ukazał się wspólny raport naukowców z Lawrence Berkeley National Laboratory w Berkeley w Kalifornii i Uniwersytetu Michigan w Ann Arbor, którzy jako pierwsi przedstawili prognozy wpływu zmian klimatycznych na pogodę w górzystych rejonach świata półkuli północnej: od Himalajów, przez europejskie Alpy, po Góry Skaliste w USA. Wzrost temperatury o 1 st. C na terenach położonych powyżej 1950 m n.p.m. będzie tam oznaczać wzrost opadów deszczu nawet o 15%, gdyż nastąpi wymiana opadów śniegu na opady deszczu, przy czym deszcze będą ulewniejsze i bardziej długotrwałe. Będziemy mieli do czynienia z częstszymi powodziami i lawinami błotnymi oraz szybszą erozją gleby. – Pamiętajmy, że w tych rejonach mieszka co czwarty mieszkaniec naszej planety, skutki tych zmian dotkną miliardy ludzi. Powinniśmy już teraz zacząć mobilizować siły i środki, by zapobiec katastrofom na wielu frontach – przestrzegł główny autor raportu Mohammed Ombadi.

2023 jako zwiastun

Ulga, jaką odczuwaliśmy, siedząc sobie tego lata w mokrych i chłodniejszych, ale wciąż letnich okolicznościach pogody, podczas gdy w wielu częściach świata padały rekordy ciepła, jest więc nie tylko na wyrost, ale i nie na miejscu. Tym bardziej że ani Kolorado, ani cała Ameryka nie są przygotowane na efektywne radzenie sobie ze zmianami klimatu. Zmianami, dodajmy, które zachodzą o wiele szybciej, niż myśleliśmy, a skala i natężenie anomalii pogodowych w tym roku stały się smutnym potwierdzeniem tego faktu.

Lipiec 2023 r. był najgorętszym miesiącem, odkąd zaczęliśmy śledzić temperatury 143 lata temu, przy czym naukowcy nie wykluczają, że i najgorętszym od ostatniego okresu międzylodowcowego 125 tys. lat temu. Ameryka do końca lipca doświadczyła aż 15 ataków żywiołów, które spowodowały szkody na ponad 1 mld dol. Tymczasem sezon na tornada i huragany wciąż przed nami, i to pod patronatem El Niño, które wykluło się na Pacyfiku pod koniec pierwszego kwartału tego roku. Eksperci z Centrum Klimatycznego Kolorado ostrzegają, że w USA może do końca tego roku uderzyć nawet dziewięć megahuraganów. Gdy pisałam te słowa, południowo-zachodnie regiony USA były niszczone i podtapiane przez Hilary – tropikalną burzę powstałą po uderzeniu w zachodnie wybrzeże huraganu. Na Los Angeles w ciągu niecałych dwóch dni spadło 150 mm deszczu (150 l na m kw.), co stanowi historyczny rekord opadów dla miasta i okolic. Do tego Hilary zahaczyła aż o Newadę, co również nigdy dotąd się nie zdarzyło. Huragany na Oceanie Spokojnym z reguły uderzają w południowo-wschodnią Azję. Ostatni raz Kalifornia mierzyła się z tego typu żywiołem 84 lata temu. Spośród reszty tegorocznych „anomalii" i katastrof, które nawiedziły Amerykę, warto przypomnieć:

1. Rekordy ciepła w Arizonie

Stan przez cały lipiec (31 dni z rzędu) piekł się w upałach z temperaturami nieschodzącymi poniżej 43 st. C. Po tygodniu odpoczynku, kiedy to powietrze „schłodziło się" do 35-40 st., upały powróciły i nie odpuszczają. Z przegrzania zmarło już 90 osób, są podejrzenia, że kolejne 350 zgonów też miało związek z temperaturą. Alarm o zagrożeniu upałami dotyczy 114 mln Amerykanów.

2. Rekord temperatury wody w oceanie

26 lipca ciepłota wód w Manatee Bay u wybrzeży Florydy przekroczyła 38 st. C – nowy światowy rekord, który wcześniej wynosił 37,6 i padł w Zatoce Perskiej w 2020 r.

3. Trujące dymy z kanadyjskich pożarów

Od pierwszych dni czerwca nad północnymi i wschodnimi rejonami USA wisi koc toksycznych dymów wywołanych przez gigantyczne pożary w Kanadzie. W najgorszych momentach zalecenie pozostania w domu ze względu na złą jakość powietrza dotyczyło 70 mln ludzi łącznie

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl 3f03bcca17

z Kanadyjczykami. W czerwcu Nowy Jork przez kilka dni był najbardziej zatrutym miastem świata. Pożary nie ustępują – pali się w chwili obecnej już w ponad 1,1 tys. miejsc – ale choć do walki z żywiołem zostało zaangażowane wojsko, jest pewne, że przeciągną się do jesieni. Stoi za nimi równie bezprecedensowa w historii północy kontynentu susza.

4. Historyczne powodzie w stanie Vermont

10 i 11 lipca na Vermont spadło 220 mm wody – normalnie tyle spada w tym stanie w ciągu dwóch miesięcy. Powodzie podtopiły dziesiątki miejscowości, zerwały ponad 1,2 tys. mostów oraz uszkodziły ponad 100 stanowych i międzystanowych autostrad. Wciąż nieznane jest ostateczne wyliczenie strat, ale wiadomo, że były większe niż w 2011 r., gdy w Vermont uderzył huragan Irene.

5. Śnieżyce i mróz na północno-wschodnich rubieżach USA w lutym i marcu

Spowodowało to straty szacowane na 3 mld dol., a w obserwatorium Mount Washington w stanie New Hampshire padł wówczas rekord najniższej temperatury – minus 77 st. C.

2023 jako ostatni dzwonek

16 sierpnia br. minęła pierwsza rocznica uchwalenia największej jak dotąd, opiewającej na 370 mld dol., amerykańskiej inicjatywy na rzecz walki z globalnym ociepleniem, zawartej w ustawie Inflation Reduction Act. Ustawa narobiła swego czasu wiele szumu, również za granicą, głównie dlatego, że stawia sobie za cel zredukowanie w USA do roku 2030 emisji gazów cieplarnianych do poziomu z 2005 r. Zapewnią to inwestycje w energię odnawialną i termomodernizację domów, a także ulgi podatkowe związane z zakupem samochodów elektrycznych produkowanych w USA. Niestety, nie ma w niej jasnego rozdzielania funduszy na realizację projektów związanych z taką modernizacją infrastruktury, by stawiła ona czoła ekstremalnej pogodzie. Na to Ameryka chce przeznaczyć tylko 50 mld dol. gwarantowanych przez zupełnie inną ustawę – o infrastrukturze z listopada 2021 r.

A to niejedyny dowód, że rząd wciąż nie do końca wierzył w tempo i rozmiar zmian. Eksperci biją na alarm, że rządowa agencja National Oceanic and Atmospheric Administration polega na przestarzałym modelu prognozowania ryzyka powodziowego, systemie o nazwie Atlas 14, który nie uwzględnia zmian na skutek ocieplenia klimatu.

– Prowadzi to m.in. do błędnej alokacji funduszy w sytuacji, gdy dany projekt, czy to osiedle, czy nowa autostrada, powinien być realizowany wedle zupełnie innych standardów, a niektóre tereny należy oznaczyć jako nienadające się pod zabudowę. Obecnie na takich terenach, na podstawie wytycznych z Atlasu 14, wciąż wre budowa – wyjaśnia Matthew Eby, szef klimatycznego think tanku First Street Foundation z Nowego Jorku.

W czerwcowym raporcie think tank przestrzega, że aż 51% Amerykanów mieszka w rejonach obecnie dwa razy bardziej narażonych na powódź stulecia, niż wynika to z modelu Atlas 14, a co piąty Amerykanin będzie doświadczał wielkiej powodzi co 25 lat. Zabezpieczenia, w które Ameryka inwestowała przez ostatnich kilkadziesiąt lat najwięcej, czyli te w pasie stanów nad Zatoką Meksykańską (choćby odbudowa Luizjany po huraganie Katrina), są zdaniem think tanku przestarzałe i niewystarczające.

2023, czyli business as usual

Nie istnieją na razie w USA żadne programy, które refundowałyby niezamożnym Amerykanom pomoc w przetrwaniu zmian klimatycznych – choćby zainstalowanie w domu klimatyzacji. I to nawet w stanach, gdzie letnie rekordy ciepła padają już od co najmniej dekady. Klimatyzacja to luksus, którego zdaniem oficjeli wciąż nie trzeba montować w lokalach komunalnych. Pomoc federalna w ramach FEMA (Federal Emergency Management Agency) dotyczy rekompensat za szkody już zaistniałe. Nie istnieją też żadne uniwersalne schematy zapobiegania zmianom klimatu ani walki z ich efektami. Wszystko zależy od decyzji na szczeblu lokalnym, a te bardziej niż kiedykolwiek są dziś uzależnione od politycznych barw decydentów.

Przykładem jest postawa Rona DeSantisa, republikańskiego kandydata na prezydenta i gubernatora Florydy, stanu, którego spore połacie już niedługo mogą się znaleźć pod wodą. DeSantis woli jednak wydawać pieniądze na walkę ze zbyt liberalnym Disneylandem i teorią ewolucji w szkołach, niż na regulację przepisów budowlanych, by ograniczyć budownictwo na terenach już podmokłych i niebezpiecznych, jak również w portowych metropoliach.

Republikańscy kandydaci na prezydenta prezentują zwarty front w kwestiach klimatycznych i nie zmieniły go nawet wydarzenia tego lata. Albo w ogóle je pomijają, albo jak DeSantis lekceważą, kwitując: „Przecież nie jestem w stanie kontrolować klimatu". Jako partia GOP zapowiada, że gdy tylko przejmie w 2024 r. władzę, odwoła obie wspomniane w tym artykule ustawy Bidena. Najnowszy sondaż PBS NewsHour/NPR/Marist wykazał, że o ile 53% wszystkich Amerykanów uważa, iż przeznaczanie środków na walkę z globalnym ociepleniem powinno być priorytetem nawet za cenę wyhamowania gospodarczego, o tyle pogląd ten podziela tylko 28% wyborców republikanów. Mniej więcej tyle samo uważa, że zagrożenie jest minimalne lub nie istnieje w ogóle. Jednocześnie trzy czwarte twierdzi, że rozwój gospodarczy jest ważniejszy od zmian klimatycznych. To aż o 13% więcej niż w 2018 r.

Jeśli mieliśmy nadzieję, że ten dramatyczny rok pod znakiem ekstremalnych zjawisk pogodowych był dla Ameryki przełomowy, myliliśmy się. Chyba że w iście pyrrusowym stylu zwycięstwo rozsądkowi dadzą huragany.

Eliza Sarnacka-Mahoney

Lipiec 2023 r. był najgorętszym miesiącem, odkąd zaczęliśmy śledzić temperatury 143 lata temu.

eprasa.pl 3f03bcca17

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Prigożyn – żywy czy martwy, jeden czort

Historia rzekomej czy prawdziwej śmierci Jewgienija Prigożyna spada nam z nieba (dosłownie) w doskonałym momencie. Zmęczeni już jesteśmy polskimi drogami do lub od demokracji, nie wiedząc wciąż, kto dostał łaskę kandydowania z list PiS do parlamentu, bo Zbawca Narodu Jarosław Kaczyński nie rozstaje się ze swoim kajecikiem ani na chwilę, ale też nikomu go nie pokazuje, bo mu się niezałapani na listy mogą zbiesić w ostatniej chwili i czmychnąć do innej partyi, która ich doceni. A tu dostajemy historię równie tajemniczą, co od dawna wyczekiwaną („Prigożyn musi umrzeć. Putin wie, że naród nie szanuje cara, który nie ma dość śmiałości, by ukarać zdrajcę"), historię bombową, ale i okrytą mgłą niewiedzy, domysłów i plotek domorosłych kremlo- i putinologów.

Zginął, nie zginął? Zamordowan, niezamordowan? Zestrzelon, niezestrzelon? Przez kogo zestrzelon, a przez kogo nie? A może żyw gdzie indziej? A może zażywa życia zażywny 61-latek, kucharz Putina, dyrygent lucyfer, miliarder utuczony na armii swoich rosyjskich psów wojny, a to w Czeczenii, a to w Syrii, a to gdzieś w Afryce (piszą: złoto i diamenty zbierał)? Psy wojny niejedno mają imię i nie jest to tylko dziki zwyczaj wschodniego, znienawidzonego sąsiada – wspomnij na Legię Cudzoziemską czy takie Blackwater, dzisiaj Academi (nazwaną tak „na wzór Akademii Platona" (?!) – imaginujesz sobie waćpan?), prywatną armię zbirów, ale „naszych", z USA.

Prigożyn, jak każdy z nas, śmierć miał (ma?) wpisaną w swoje życie. Pierwszej doby mielą się potwierdzenia, dowody, poszlaki, domniemania, tańcują uczucia ulgi, satysfakcji, nadinterpretacji: „Ale jeśli naprawdę nie żyje (Utkin też!), to jest niesamowita wiadomość dla całej ludzkości". Doprawdy? Prigożynem ludzkość sobie zawraca głowę? I koszulki drukują: „Płakałem po Prigożynie" ili niet? Hollywood z Mosfilmem walczą już o prawa do scenariusza? Zachar Prilepin, bez nogi, napisze czy Szczepan Twardoch z mercedesa? Ale inni nie tracą nadziei. Dziennikarka Meduzy Lilia Japparowa, od lat pisząca o grupie Wagnera, skomentowała: „Wagnerowcy modlą się teraz na swoich czatach o Prigożyna". Na czatach się modlą o swego czorta. A z zemsty zestrzelili rosyjski księżycowy łazik...

Głośno też, że powstaną eposy nowe i pieśni o gierojach nieśmiertelnych. To akurat głos z Polski: „Jedno z ostatnich we współczesnym świecie awanturniczych serc. Będzie żył. W mitach, miejskich legendach, frontowych opowieściach i relacjach z dalekich podróży. Czasem ktoś zobaczy go na pustyniach Sahelu i afrykańskich sawannach. Innym razem ktoś powie, że może przysiąc, iż przechodził obok niego w Petersburgu, albo widział go gdzieś w lesie pod Mińskiem. Żołnierz na Donbasie będzie się zaklinał, że jego twarz mignęła mu w sąsiednim okopie, a Syryjczyk będzie przekonywał, że widział go w jego czapce gdzieś na pustyni. Przetrwa jeszcze długie lata w bohaterskich eposach, mrocznych thrillerach, kryminałach i bajkach, w których będą nim straszyć. Jewgienij Prigożyn, którego widmo krążyć będzie po najbardziej niespokojnych miejscach tego świata". Awanturnicze serce... Janosik, Guevara, Pilecki, Don Kichot, Robin Hood. Sraczka popkultury w pełnej krasie. Lud rosyjski go prawdziwie podziwiał – piszą. Ośmieszył Putina swoim półpuczem, przysłużył się Putinowi fortelem puczystowskim, wykurzył zdradzieckie szczury z generalicji – napiszą inni albo i ci sami, ale kolejnego dnia.

Polaków straszą (i nie przestaną) najwyżsi urzędnicy polskiego państwa – Mateusz Morawiecki, zwany potocznie premierem, Andrzej Duda, najśmieszniejszy polski prezydent w historii, czy w końcu pan trzymający ich na swoich kukiełkowych sznurkach, Jarosław Kaczyński. Ale przecież mamy tu katastrofę (raczej zamach), nie sposób nie zastygnąć z przerażenia. Putin znów zestrzelił, zamgliwszy wcześniej, samolot groźnego wroga, byłego przyjaciela? Jak wtedy pod Smoleńskiem? No, hola, hola, śmierci Prigożyna śmierci prezydenta Lecha Kaczyńskiego stawiać nie sposób obok czy nawet w pobliżu... Ale mógłby wszak Putin zrzucić teraz winę za Smoleńsk na Prigożyna, nie odpyskuje już (chyba że...?). Ale zabiłby ćwieka naszym geniuszom od samolotowych katastrof pod wezwaniem Antoniego Macierewicza od Milionów w Błoto. A może Polska powinna zaproponować, że przeprowadzi komisyjnie niezależne śledztwo na temat upadku embraera z Prigożynem lub bez? Antoni by udźwignął, nie? I wreszcie legalnie by pojechał do Moskwy. I został.

Rozejdzie się po kościach, nawet jeśli niewiele zostało. Każdy coś na tym ugra, Putin, Kaczyński, Szojgu, nawet ja – felietonik.

Jedni piszą, że Putin „chce uatrakcyjnić wojnę, dodać jej seksapilu", chociaż i bez tego większość go wspiera. Trudno dogodzić dziennikarzom. Z drugiej strony taka historia to samograj na miesiące i lata, *show must go on*. Będą się pojawiać nowe filmy, zeznania świadków, tropy i eksperymenty (znamy, znamy – pękające parówki i zgniecione puszki po coli).

Co ma ta Polska zrobić z tym zgonem nie zgonem? Może nic? Przygotować popcorn i colę i rozsiąść się w fotelu? Jam nie Polska, ale jakoś tak właśnie zrobię.

Ta historia, nawet jeśli się skończyła, ma nieskończony potencjał zmartwychwstawania.

■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3f03bcca17

Narkocentrum świata

Captagon jest bardzo popularnym narkotykiem w krajach Zatoki Perskiej

Jakub Katulski

W połowie miesiąca jordańska agencja prasowa Petra po raz kolejny w tym roku doniosła o zestrzeleniu przez pograniczników drona, który miał wlecieć na terytorium kraju z Syrii. Gdy słyszymy teraz o dronach, na myśl przychodzi zwykle wykorzystanie bezzałogowych maszyn do ataków na cele militarne lub cywilne. W przypadku jordańsko-syryjskiej granicy sprawa wygląda jednak inaczej, gdyż tutaj z dronów najchętniej korzystają przemytnicy broni i narkotyków. Tak było i tym razem, a pogranicznicy podali, że dron transportował metamfetaminę w krysztale, stymulujący narkotyk spopularyzowany przez amerykański serial „Breaking Bad".

Choć narkotyki przemycane są tą trasą od lat, a przemyt nabrał tempa wraz z wybuchem syryjskiej wojny domowej, kryształowa metamfetamina jest w tym regionie rzadkością. O wiele popularniejszy wśród przemytników i klientów jest inny produkt – captagon.

Najpopularniejszy narkotyk regionu

Captagon to nazwa handlowa fenetyliny, syntetyzowanej przez niemieckie przedsiębiorstwo farmaceutyczne Degussa AG od 1961 r., a sprzedawanej w Europie przez ćwierć wieku jako lek na ADHD i narkolepsję, początkowo nawet bez recepty (również pod nazwami Biocapton i Fitton). Choć uważano, że jej stosowanie wywołuje mniej efektów ubocznych niż przyjmowanie przez pacjentów amfetaminy, ostatecznie według rekomendacji Światowej Organizacji Zdrowia fenetylina stała się nielegalna w większości krajów od 1986 r. Zapasy substancji, które do tego czasu zgromadzono w Europie, zaczęły być niszczone, ale część przez Bułgarię i kraje bałkańskie przemycano do Turcji, która stała się hubem zaopatrzeniowym Bliskiego Wschodu.

Jak podaje raport Europejskiego Centrum Monitorowania Narkotyków i Narkomanii z 2018 r., po likwidacji europejskich zapasów centra nielegalnej produkcji captagonu i innych substancji podobnych do amfetaminy, zaopatrujące w narkotyki Bliski Wschód, przeniosły się w latach 90. przede wszystkim do Bułgarii, choć substancje syntetyzowano także w Słowenii, Serbii i Turcji.

Służby aktywnie zwalczały tę produkcję i w połowie pierwszej dekady obecnego wieku udało się ją ograniczyć w Bułgarii i Turcji, choć nigdy całkowicie jej nie wyeliminowano. Okazję dla przemytników i producentów stworzył wybuch wojny domowej w Syrii w 2011 r. Przyczyniły się do tego zapewne ogólny chaos w kraju, skupienie służb porządkowych na innych sprawach niż ściganie za produkcję narkotyków, jak również zapotrzebowanie bojowników na stymulanty i dążenie różnych stron zaangażowanych w konflikt do zapewnienia sobie stałego dopływu gotówki. Nie bez znaczenia była jednak też istniejąca w Syrii infrastruktura, na której rozwój wpłynęła przedwojenna polityka rządu Baszara al-Asada.

Zanim Baszar został dyktatorem Syrii, ukończył medycynę na Uniwersytecie Damasceńskim i podyplomową specjalizację z zakresu okulistyki w Londynie. Być może dlatego, że jest z wykształcenia lekarzem, postanowił zająć się stanem przemysłu farmaceutycznego w Syrii, który jeszcze w latach 90. zaspokajał ledwie kilka procent własnego zapotrzebowania. Rozwój tej gałęzi gospodarki nastąpił niemal skokowo, gdyż do roku 2010 na terenie kraju znalazły się już 63 fabryki, które zatrudniały 17 tys. pracowników i zaspokajały 90% krajowego zapotrzebowania. Damaszek także eksportował produkty farmaceutyczne do kilkudziesięciu krajów.

Istniejąca na miejscu infrastruktura umożliwiła produkcję captagonu na pełną skalę, tym bardziej że zapotrzebowanie w regionie nie zmalało, wręcz przeciwnie. Captagon jest dzisiaj nie tylko bardzo popularnym narkotykiem w klubach i na imprezach domowych w krajach Zatoki Perskiej, gdzie przyjmuje go znudzona młodzież z bogatych domów. Ze względu na niską cenę brany jest chętnie przez pomoce domowe i pracowników fizycznych, chcących przetrwać dzień i pokonać zmęczenie w trudnych warunkach, takich jak ostre słońce i wysokie temperatury.

Otoczenie Asada zamieszane w narkobiznes

W całym regionie Bliskiego Wschodu jedynie w ubiegłym roku udało się przechwycić ponad 370 mln tabletek captagonu, a doniesienia wskazują, że produkcja narkotyku odbywa się dzisiaj przede wszystkim na obszarach Syrii kontrolowanych przez rząd Asada, co sprzyja oskarżeniom kierowanym przeciwko dyktatorowi i jego najbliższej rodzinie. Władze w Damaszku oficjalnie twierdzą, że zwalczają produkcję i przemyt, a na początku maja, na fali spotkań dotyczących normalizacji sytuacji Syrii na arabskiej arenie politycznej, minister spraw zagranicznych Fajsal Mekdad obiecywał swoim kolegom z innych stolic, że Syryjczycy aktywnie będą walczyć z obecnością captagonu na czarnym rynku.

Na razie wygląda na to, że syryjskie władze nie uznały captagonu za problem do rozwiązania. Według tegorocznego raportu think tanku New Lines Institute syryjskie służby chwalą się co roku rosnącą liczbą przechwytów, lecz w przeciwieństwie do służb

eprasa.pl 3f03bcca17

W lipcu 2020 r. policja w Salerno zatrzymała przemyt narkotyków, w tym 84 mln tabletek captagonu wyprodukowanych w Syrii.

w krajach Zatoki Perskiej głównie udaje im się zajmować żywicę konopi indyjskich, a w całym 2022 r. przejęto nieco ponad 100 tys. tabletek captagonu. To bardzo mało w porównaniu z wielkościami podawanymi przez Jordańczyków, którzy w 2021 r. zajęli 16 mln tabletek, by pobić ten rekord o całe 4 mln w pierwszych pięciu miesiącach roku 2022. Ogółem w ciągu kilku ostatnich lat Jordańczykom udało się udaremnić przemyt 65 mln tabletek, skierowanych zarówno na ich rynek, jak i do sąsiadów na Półwyspie Arabskim.

Jordański wywiad w poprzednich latach donosił, że duża część produkcji i przemytu captagonu zarządzana jest centralnie i odbywa się przez bazy 4. Dywizji Pancernej, którą dowodzi młodszy brat syryjskiego dyktatora, Mahir al-Asad, druga najpotężniejsza osoba w państwie. Ale także opozycyjne grupy są oskarżane o udział w tym procederze. Na listach osób objętych sankcjami, opracowywanych przez Biuro ds. Kontroli Aktywów Zagranicznych Departamentu Skarbu USA, można znaleźć w związku z handlem captagonem zarówno członków rodu Asadów, syryjskich biznesmenów, jak i dowódców libańskiego Hezbollahu oraz byłych przywódców rebelianckich ugrupowań. Wszyscy są zainteresowani udziałem w rynku, który według oświadczeń brytyjskiego i amerykańskiego rządu wart jest trzykrotnie więcej niż łączny przychód meksykańskich karteli narkotykowych i – jak się szacuje – może sięgać nawet 57 mld dol.

Skoro jest to tak dochodowy proceder i z roku na rok przybywa klientów, trudno się dziwić, że Jordania chwyta się wszelkich metod, by przemyt powstrzymać. Na granicy jordańsko-syryjskiej nie tylko zestrzeliwane są bezzałogowce. Dochodzi tam nieraz do regularnych bitew z przemytnikami. Najgłośniejszym przypadkiem było zabicie 26 stycznia 2022 r. przez jordańskich żołnierzy aż 27 przemytników, którzy postanowili wykorzystać śnieżycę i przedostać się do Jordanii, na północny-wschód od miasta Mafrak. I tak nie udało się w tej operacji powstrzymać wszystkich, gdyż w przemycie miało brać udział 80 osób. Ci, którzy się wymknęli, zbiegli w kierunku Syrii. Ta duża akcja przemytników miała miejsce niecałe dwa tygodnie po tym, jak na granicy zginął kpt. Muhammad Chdeirat, a trzech innych żołnierzy zostało rannych, gdy przemytnicy otworzyli ogień w kierunku funkcjonariuszy pilnujących granicy. Armia podała wówczas, że po przeszukaniu obszaru udało się znaleźć ukryte narkotyki.

Nie zawsze jednak szczegóły walk trafiają do mediów. W opublikowanym 19 sierpnia oświadczeniu jordańska armia poinformowała, że w strzelaninie udało się ranić pewną liczbę przemytników, udaremniając próbę przemycenia 63 tys. tabletek captagonu i ponad 500 krzewów konopi indyjskich. Więcej, w tym liczby ofiar operacji, nie ujawniono.

Problem nie dotyczy samej granicy, policja zatrzymuje także uzbrojonych handlarzy w jordańskich miastach. Na początku sierpnia udało się złapać handlarza działającego w okolicy przejścia granicznego Nassib i skonfiskować 15 tys. tabletek captagonu oraz 3 kg metamfetaminy w formie kryształu. Innego aresztowania w podobnym czasie dokonały służby specjalne w mieście Mafrak – zatrzymały mężczyznę, który według informacji podanej przez anglojęzyczny portal The National z Abu Zabi miał „podżegać do strzelania do służb antynarkotykowych". Mężczyzna został schwytany wraz z bratem – obaj byli uzbrojeni w broń automatyczną z zapasem amunicji.

Nie tylko jordańskie służby szczycą się aresztowaniami dilerów. W drugim kwartale 2023 r. policja w Dubaju miała zatrzymać niemal połowę poszukiwanych przemytników oraz skonfiskować 3,3 mln tabletek z narkotykami i niemal 500 kg różnych substancji, od kokainy i heroiny, przez metamfetaminę i opium, po marihuanę i haszysz. Podobny sukces ogłoszono w pierwszym kwartale, kiedy przechwycono 6 mln tabletek i 231 kg innych narkotyków. Podobne wyniki ma policja w Abu Zabi, która w jednej tylko akcji z maja przechwyciła ponad 2,2 mln tabletek ukrytych w trzech mieszkaniach.

Rekordami chwali się też saudyjska policja – w sierpniu ub.r. dokonała nalotu na magazyn, w którym wraz z transportem mąki przechowywano aż 46 mln tabletek captagonu. Saudyjczycy aresztowali wówczas sześciu Syryjczyków i dwóch Pakistańczyków. Policja w regionie regularnie wydaje oświadczenia o kolejnych zatrzymaniach i konfiskatach narkotyków.

Karta przetargowa

Choć służby wywiadowcze krajów arabskich sugerują, że w produkcję i przemyt captagonu i innych

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl 3f03bcca17

narkotyków zamieszane są osoby z otoczenia prezydenta Asada, a przemysł finansuje również syryjski reżim, i tak w tym roku nastąpiło znaczące ocieplenie w relacjach z Damaszkiem. Gospodarka izolowanej na arenie międzynarodowej Syrii doznała potężnego ciosu, nie tylko z powodu wojny domowej, ale także pod wpływem nałożonych na reżim sankcji, które utrudniają pozyskiwanie legalnych przychodów koniecznych do odbudowy zniszczonego kraju.

Przemysł narkotykowy może jednak okazać się czymś więcej niż metodą uzyskiwania środków finansowych. Kiedy syryjskie władze zapowiadają, że gotowe są zacieśnić współpracę z innymi krajami w zwalczaniu przemytu i produkcji, zyskują kartę przetargową, dzięki której mogą zdobyć zaufanie innych rządów. Jeśli rzeczywiście podejmą działania prowadzące do ograniczenia przestępczego procederu.

Odbudowa zaufania i silnych relacji międzynarodowych jest teraz priorytetem dla Baszara al-Asada. Lecz fakt, że Syria w ostatniej dekadzie stała się jednym ze światowych centrów produkcji narkotyków, może sprawić, że nawet zwiększone wysiłki na rzecz zwalczania miejscowych grup przestępczych nie dadzą szybkich rezultatów. Tym bardziej że producenci i przemytnicy na tyle urośli w siłę, że potrafią się dostosowywać do dynamicznie zmieniającej się sytuacji. W lipcu Saad Maan, rzecznik irackiego resortu spraw wewnętrznych, ogłosił, że w prowincji Al-Musanna, graniczącej z Arabią Saudyjską, wykryto pierwszą w kraju fabrykę captagonu, choć dotychczas przez Irak przebiegały jedynie szlaki przerzutowe tego narkotyku. W zeszłym roku w listopadzie także w Iraku ogłoszono, że udało się zatrzymać mężczyznę produkującego znaczne ilości metamfetaminy. To oznacza, że arabskie służby muszą się nastawiać na długą walkę z przestępcami, a liczby podawane przez policjantów i celników chwalących się efektami pracy wcale nie świadczą o tym, że owej pracy będzie im ubywało. Regularność tych oświadczeń wskazuje raczej, że handel narkotykami nabiera tempa, a klientów przybywa.

Jakub Katulski

Koniec „Kościoła w Kościele”

Franciszek zdetronizował Opus Dei

Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Rzymu

Papież Franciszek wybrał sezon ogórkowy, aby dyskretnie rozwiązać problem Opus Dei, wyniesionego do rangi prałatury personalnej w 1982 r. przez Jana Pawła II. List apostolski w formie *motu proprio* (łac. z własnej inicjatywy), ogłoszony przez Franciszka 8 sierpnia br., zrównuje prałatury personalne z publicznymi stowarzyszeniami kleryckimi na prawie papieskim, nowelizując kanony 295. i 296. Kodeksu prawa kanonicznego. Dotychczas była tylko jedna taka struktura – Prałatura Świętego Krzyża i Opus Dei, zwana w skrócie Opus Dei (łac. Dzieło Boże), ale przepisy kościelne przewidywały możliwość tworzenia podobnych jednostek terytorialnych i kanonicznych. Jak twierdzi portal misyjne.pl, „Najnowszy dokument papieski oznacza w istocie zakończenie istnienia Dzieła Bożego (...) w jego dotychczasowym kształcie jako odrębnej jednostki kościelnej na prawach diecezji z własnym biskupem i duchowieństwem oraz licznym gronem świeckich”. Według misyjne.pl w nowym ujęciu do tej organizacji mogą być włączani tylko duchowni, a zatem Opus Dei zostało pozbawione świeckich, którzy dotychczas stanowili jego siłę. Sami zainteresowani twierdzą, że zmiany nie są aż tak radykalne, i nie chcą wchodzić w polemikę z biskupem Rzymu.

Sierpniowy list papieża jest kontynuacją innych reform Franciszka – przede wszystkim konstytucji apostolskiej *Praedicate Evangelium* (łac. Głoście Ewangelię) z 19 marca 2022 r. oraz listu apostolskiego *Ad charisma tuendum* (łac. Dla ochrony charyzmatu) z 14 lipca 2022 r.

Podczas upalnych wakacji papieskie postanowienie dotyczące Opus Dei nie wzbudziło szczególnego zainteresowania mediów również dlatego, że temat jest trudny i niejednoznaczny. Niektórzy są jednak zdania, że sprawa zasługuje na więcej uwagi, zarówno w odniesieniu do historii Dzieła, jak i w kontekście obecnego pontyfikatu. De facto jest to koniec „Kościoła w Kościele”.

Czym jest Opus Dei?

Opus Dei powstało 2 października 1928 r. w Madrycie z inicjatywy Josemaríi Escrivy de Balaguera. Jest obecne w 68 krajach. W 2022 r. należało do niego ponad 93 tys. osób świeckich, z których 60% to kobiety, a 20% to numerariusze lub numerarie (osoby żyjące w celibacie). Z szeregów Opus Dei wywodzi się ok. 20 biskupów i liczy ono ok. 2 tys. kapłanów.

Celem Opus Dei jest propagowanie świadomości powszechnego powołania do świętości i uświęcającej wartości codziennej pracy poprzez wypełnianie obowiązków zawodowych, rodzinnych i społecznych, a misją jest chrześcijańskie kształtowanie członków organizacji i innych osób pragnących otrzymać taką formację.

Josemaría Escrivá de Balaguer (1902-1975), hiszpański duchowny katolicki i prawnik, już w wieku 26 lat otrzymał charyzmat, czyli dar Ducha Świętego służący budowaniu

eprasa.pl 3f03bcca17

Papież Franciszek 28 listopada 2022 r. przyjął prałata Opus Dei ks. Fernanda Ocáriza Brañę (nz. z lewej).

Kościoła katolickiego. Jego istotą była „realizacja świętości bez opuszczania swojego miejsca w świecie". Według niego również osoby świeckie mogą stać się świętymi poprzez własną pracę i bez konieczności wstępowania do stanu duchownego. Dzieło powstało jako zwykłe stowarzyszenie wiernych w diecezji madryckiej, a w 1950 r. Pius XII zatwierdził je jako instytut świecki. De Balaguer nie chciał, by Opus Dei stało się zakonem, szukał więc dla niego nowej formuły w prawie kanonicznym i w latach 60. zaproponował utworzenie prałatury terytorialnej. W trakcie Soboru Watykańskiego II, podczas którego dyskutowano m.in. o udziale świeckich w Kościele i kapłaństwie kobiet, pojawiła się możliwość tworzenia „prałatur personalnych". Po zakończeniu soboru de Balaguer pracował nad tym rozwiązaniem i przedstawił propozycję w Watykanie. Zmarł jednak w Rzymie, nie doczekawszy się ukoronowania swoich marzeń.

Dopiero Jan Paweł II 28 listopada 1982 r. ustanowił prałaturę personalną Opus Dei. Rok później wszedł w życie nowy Kodeks prawa kanonicznego, którego kanon 295. stwierdza: „Prałatura personalna rządzi się statutami nadanymi przez Stolicę Apostolską, a na jej czele stoi prałat jako własny ordynariusz, który ma prawo erygować krajowe lub międzynarodowe seminarium, a także inkardynować alumnów i promować ich do święceń tytułem służby prałaturze". Kanon 296. dotyczący świeckich mówi z kolei: „Na podstawie umowy zawartej z prałaturą świeccy mogą się poświęcić dziełom apostolskim prałatury personalnej; sposób zaś tej organicznej współpracy, a także główne obowiązki i prawa z nią złączone, winny być odpowiednio określone w statutach".

Jan Paweł II beatyfikował Josemaríę Escrivę de Balaguera 17 maja 1992 r., a 6 października 2002 r. wyniósł go na ołtarze. Na placu św. Piotra w Rzymie zgromadziło się wtedy 300 tys. wiernych z 84 krajów świata.

W 2022 r. do Opus Dei należało ponad 93 tys. osób świeckich, z których 60% to kobiety, a 20% to osoby żyjące w celibacie.

Kontrowersje

Opus Dei nigdy nie miało dobrej prasy. „Biała mafia", „szpiedzy Watykanu", „watykańska masoneria", „Kościół w Kościele" – tak przez dziesięciolecia określano Dzieło. Do jego „demonizacji" przyczynił się Dan Brown, pisząc we wstępie do „Kodu Leonarda da Vinci", że „Opus Dei to żarliwie religijne stowarzyszenie katolików. Doniesienia prasowe mówią o indoktrynacji, stosowaniu przymusu oraz niebezpiecznych praktyk umartwiania ciała". Funkcjonowanie Dzieła od samego początku budziło kontrowersje w różnych środowiskach, także w samym Kościele. Krytyka nasiliła się w latach 40. zeszłego wieku, do czego przyczynił się jezuita o. Angel Carrillo de Albornoz (który później zrezygnował ze stanu zakonnego i kapłańskiego – przyp. aut.). Jak napisał Jaume Aurell w eseju „La formación de un gran relato sobre el Opus Dei" (Powstawanie wielkiej opowieści o Opus Dei), opublikowanym w „Studia et Documenta" (t. 6-2012), za sprawą de Albornoza upowszechniła się plotka, że „Opus Dei było tajnym, heretyckim

eprasa.pl 3f03bcca17

stowarzyszeniem w stylu masońskim". Powodem nagonki na Dzieło miało być nieuznawanie przez niektórych kapłanów tego, że także świeccy mogą zostać świętymi przez uświęcanie zwykłej pracy.

Organizacji zarzucano, że ujawnia jedynie fragmentaryczne i ogólne informacje dotyczące swojej działalności. Jej status prawny został unormowany i udostępniony dopiero po ogłoszeniu jej prałaturą personalną. W 1986 r. parlament włoski zakończył dochodzenie w sprawie rzekomej tajności Opus Dei. W raporcie końcowym przygotowanym przez ówczesnego ministra spraw wewnętrznych i późniejszego prezydenta Republiki Włoskiej, Oscara Luigiego Scalfara, stwierdzono, że „Opus Dei nie jest tajne ani w świetle prawa, ani w rzeczywistości"; „obowiązek posłuszeństwa członków Opus Dei dotyczy tylko spraw duchowych".

Od lat 80. przypisuje się Opus Dei powiązania z lożą masońską P2 Licia Gellego i ukryty wpływ na politykę. Po zabójstwie prezesa Banco Ambrosiano Roberta Calviego w czerwcu 1982 r., znalezionego pod mostem Blackfriars w Londynie, syn Calviego Carlo opublikował w amerykańskich gazetach kilka oświadczeń, w których twierdził, że jego ojciec pojechał do Londynu, aby otrzymać znaczną pomoc finansową od członków Opus Dei, co uchroniłoby Banco Ambrosiano przed bankructwem. Członkowie rodziny Calviego wielokrotnie mówili o powiązaniach zamordowanego z Opus Dei i z masonerią. Wszystkie te informacje zostały przez Opus Dei zdementowane na włoskojęzycznej stronie organizacji opusdei.org/it.

Niektórzy byli członkowie organizacji zrzeszeni w działającej od 1991 r. inicjatywie ODAN (Opus Dei Awareness Network) informują o wątpliwych praktykach stosowanych przez Opus Dei i ich wpływie na wolność osobistą, wybory i życie rodzinne. Wśród nich są: zobowiązanie do przekazywania przez członków zarobków na rzecz Opus Dei; agresywny werbunek młodzieży w placówkach oświatowych kierowanych przez Dzieło; zachęcanie członków do zerwania kontaktów z przyjaciółmi i rodziną oraz zastępowania ich kontaktami wewnątrz organizacji; wywieranie nacisków na członków, którzy chcą opuścić Opus Dei. ODAN zastrzega, że „większość informacji pochodzi sprzed prawie 30 lat, kiedy Opus Dei nie szlifowało jeszcze swojej fasady, szczególnie w mediach".

Opus Dei zarzuca się chęć stworzenia w Europie partii politycznej, która mogłaby obsadzać kluczowe stanowiska decyzyjne.

Od lat 90. zarzuca się Dziełu chęć stworzenia w Europie partii politycznej, której elektorat byłby wprawdzie marginalny, ale która mogłaby swoimi ludźmi obsadzać kluczowe stanowiska decyzyjne. Władze organizacji systematycznie dementują te informacje, twierdząc, że Opus Dei nie ma żadnego celu politycznego. O co więc chodzi z *motu proprio* ogłoszonym przez Franciszka?

Dwie przeciwne wizje Kościoła

Ubiegłorocznym listem apostolskim *Ad charisma tuendum* papież Franciszek znowelizował *Ut sit* (łac. Niech będzie) – konstytucję apostolską papieża Jana Pawła II o powołaniu Prałatury Personalnej Świętego Krzyża i Opus Dei. List ów oddaje prałaturę pod kontrolę Dykasterii ds. Duchowieństwa; nakazuje prałatowi coroczne składanie sprawozdania o stanie prałatury; przedstawia jej statuty do zreformowania i zatwierdzenia przez kompetentne organy Stolicy Apostolskiej; stanowi, że prałat nie może być biskupem oraz że wszystkie kwestie dotyczące prałatury, którymi zajmowała się wcześniej Kongregacja ds. Biskupów, przechodzą pod jurysdykcję Dykasterii ds. Duchowieństwa.

Pomimo ogólnego braku zainteresowania postanowieniem Franciszka nie zabrakło aluzji ze strony środowisk katolickich najbardziej wrogo nastawionych do obecnego pontyfikatu jako rzekomego powrotu do watykańskiego centralizmu, przepojonego niemal średniowiecznym autorytaryzmem, którego przejawem są dekrety papieskie *motu proprio* publikowane w oficjalnym organie prasowym Watykanu i wchodzące natychmiast w życie.

Dla tych, którzy są bardziej przychylni Bergogliowi, *Ad charisma tuendum* to kolejny wymowny akt zerwania ciągłości z pontyfikatem Jana Pawła II. Opus Dei, korzystające do tej pory z parasola ochronnego rozpostartego przez Wojtyłę, było symbolem Kościoła, który odkrył liberalny kapitalizm (walcząc przy okazji z komunizmem), a z bogacenia się i bogactwa zrobił cnotę godną świętości. To wizja Kościoła ewidentnie sprzeczna z tą, którą promuje Franciszek.

Alfonso Botti, profesor zwyczajny historii współczesnej na wydziale językoznawstwa i kulturoznawstwa Uniwersytetu w Modenie i Reggio Emilia, w komentarzu opublikowanym w periodyku „Il Mulino" dostrzegł w decyzji Bergoglia echo powtarzających się alarmów dotyczących ryzyka tzw. klerykalizmu. Ubiegłoroczne *Ad charisma tuendum* to kolejny akt trwającej reformy Kurii Rzymskiej, likwidujący anomalię konfiguracji prawnej Opus Dei i autonomię, którą Dzieło się cieszyło. Tegoroczny list to zamknięcie tego rozdziału. Zdaniem Bottiego jest to „ostrzeżenie dla wszystkich ruchów i grup charyzmatycznych, szczególnie modnych za pontyfikatu Jana Pawła II, promotora katolicyzmu tożsamościowego i triumfującego".

W świetle analizy tych, którzy pozytywnie oceniają najnowszą inicjatywę Franciszka, „idea pontyfikatu dumnie zrywającego z okresem wojtyliańsko-ratzingerowskim wydaje się umacniać, zaprzeczając tezie podtrzymywanej przez niektórych, jakoby dzieło Franciszka i Benedykta XVI charakteryzowała ciągłość". Zresztą – patrząc na historię Kościoła – zrywanie z kierunkiem polityki obranej przez poprzednika to raczej reguła pontyfikatów, a nie wyjątek.

Agnieszka Zakrzewicz

eprasa.pl 3f03bcca17

troje na jednego

JEDNA
DANUTA WANIEK
TROJE
JAN ORDYŃSKI
DOMINIKA RAFALSKA
PAWEŁ SĘKOWSKI

DEMOKRATYCZNE I ŚWIECKIE PAŃSTWO PRAWA TO MOJE POLITYCZNE CREDO

Fragmenty obszernego wywiadu, który w całości można przeczytać w numerze 2/2023 „Zdania" – w wersji papierowej do nabycia w Empikach, w wersji elektronicznej na sklep.tygodnikprzeglad.pl.

(...) DOMINIKA RAFALSKA: W 1967 r. wstępuje pani do PZPR.

DANUTA WANIEK: – Tak, na Wydziale Prawa, rekomendowała mnie do PZPR ówczesna docent Janina Zakrzewska. Później profesorka i sędzia Trybunału Konstytucyjnego. Chodziłam do niej na seminarium z prawa państwowego, imponowała mi jednoznacznością przekonań, na zajęciach mówiła o PZPR „moja partia". I nagle, w trakcie mojego okresu kandydackiego, po wydarzeniach marcowych zmieniła się sytuacja polityczna na Uniwersytecie, zmieniła się również sytuacja samej Janiny Zakrzewskiej. Nagle z czołowej postaci na wydziale staje się osobą politycznie podejrzaną, co miało konsekwencje dla jej seminarzystów, ponieważ nikomu z seminarium prof. Zakrzewskiej nie zaproponowano stażu na uczelni. Byliśmy, że tak powiem, naznaczeni politycznie. (…) W ten sposób 1968 r. zadecydował o moich przyszłych losach. Z tym że akurat w tamtym momencie mi to odpowiadało, bo szłam na Politechnikę trzy razy w tygodniu, więc mogłam pogodzić opiekę nad dzieckiem i pracę zawodową.

PAWEŁ SĘKOWSKI: Czy decyzję o wstąpieniu do partii podjęłaś zupełnie samodzielnie, czy była w tym jakaś zachęta prof. Zakrzewskiej?

WANIEK: – Zakrzewska zwracała uwagę swoim zaangażowaniem partyjnym. Była wzorcem kobiety aktywnej, na wydziale znaczyła bardzo dużo. Cieszyła się wielkim autorytetem w środowisku partyjnym i wyjść spod jej skrzydeł, dla takiej smarkuli jak ja, coś wtedy znaczyło. Ale sama też wiedziałam, czego chcę, miałam lewicowe poglądy. Działałam w Zrzeszeniu Studentów Polskich, w Radzie Uczelnianej. Ja jestem przedstawicielką tej generacji społecznej, która się urodziła po wojnie i całe życie bez wojny przeżyła. Wykształciłam się, wychowałam synów, mam wnuki. To jest ogromny dar od międzynarodowego losu. Mówię to oczywiście symbolicznie, bo tak naprawdę wypracowali to ludzie z różnych stron sceny politycznej i nie tylko w Polsce, że mogliśmy nasze życie przeżyć bez wojny. Rozglądałam się wtedy, jako młoda dziewczyna, uważnie wokół siebie i widziałam, z jak różnych środowisk przychodziła na studia młodzież. Po raz pierwszy w historii Polski dostała taką szansę. Nawet na studiach w grupie rozmawialiśmy, że socjalizm nam nie przeszkadza, wręcz przeciwnie – traktuje nas sprawiedliwie. Zdawaliśmy egzamin wstępny, a jego wynik decydował o naszej przyszłości. Reszta należała do nas.

JAN ORDYŃSKI: A jak zapamiętałaś wydarzenia Marca '68?

eprasa.pl 3f03bcca17

WANIEK: – Początek pamiętam dokładnie: 8 marca idę na seminarium do doc. Zakrzewskiej, a przed budynkiem Wydziału Prawa dowiaduję się od stojących przed wejściem koleżanek, że wszystkie zajęcia są odwołane, ponieważ na Uniwersytecie Warszawskim zaplanowany jest wiec. Wiedzieliśmy, że kogoś z uczelni relegowano, padały dwa nazwiska studentów historii – Michnika i Szlajfera, chodziły słuchy, że aktywny na polu politycznym jest Klub Krzywego Koła, jakaś bliżej nam nieznana grupa „komandosów", kojarzona z Wydziałem Historycznym. Na dziedzińcu stały dziwne samochody ciężarowe, tzw. budy, wokół których kręcili się dziwni osobnicy. Okazało się, że na Uniwersytet przybiegło wtedy mnóstwo studentów ze wszystkich uczelni, prawdopodobnie dlatego, że nasza generacja nie miała żadnego doświadczenia z demonstracjami politycznymi, wszyscy byli ciekawi, co się będzie działo. Większość traktowała tę sytuację jako „ciekawostkę przyrodniczą". Stałam przed Wydziałem Prawa i do dzisiaj pamiętam, że vis-à-vis wejścia do pałacu Kazimierzowskiego umieściła się jakaś nieznana nam grupa, trzymająca w dłoniach Konstytucję PRL, wymachując nią, skandowała hasła o demokracji.

RAFALSKA: I że prasa kłamie.

WANIEK: – No tak. Tego typu hasła są odwieczne. Po godzinie takiego skandowania na balkonie pojawił się prorektor Zygmunt Rybicki, ubrany w rektorskie gronostaje. I zaczęła się dziwna rozmowa: rektor na balkonie, a pod murem Biblioteki grupa młodych ludzi, mocno zaangażowanych w wywołaną demonstrację. Rektor oczywiście mówił, aby się rozeszli, a oni nadal wykrzykiwali swoje hasła. Obserwujących tę sytuację studentów i studentki nawet to bawiło, dopóki nie zaczęły pod pałac Kazimierzowski docierać wiadomości, że ze wspomnianych „bud" na dziedzińcu co rusz wyskakują jacyś faceci, a jak ktoś pytał: kim jesteście, co tu robicie, to wyciągali drewnianą pałę i tłukli.

SĘKOWSKI: A ty protestowałaś czy obserwowałaś?

WANIEK: – Obserwowałam. Przecież ja nie znałam ludzi z tej grupki. Jak się później okazało, to często były dzieci dobrze poinformowanych działaczy politycznych. Mieli dostęp do wiedzy i wydarzeń, które nie docierały do zwykłych śmiertelników.

SĘKOWSKI: Przecież tak właśnie mówił o „prowodyrach zajść" Gomułka...

ORDYŃSKI: A to przecież nie była tylko młodzież z takich kręgów.

WANIEK: – Ale przeważnie, zresztą – jak pamiętam – przed 8 marca nie czuliśmy jakiegoś znamiennego napięcia politycznego na Uniwersytecie. Na moim wydziale sprawy toczyły się normalnym torem. Większość z nas była po prostu zajęta swoimi sprawami, zaczął się nowy semestr i trzeba było myśleć o kolejnej sesji egzaminacyjnej.

(...) SĘKOWSKI: Dlaczego pozostałaś w partii? Mimo tych negatywnych doświadczeń, o których mówiłaś?

WANIEK: – Głównie z tego powodu, że ja tego Marca wówczas nie rozumiałam. Nie wiedziałam, o co tu chodzi. Nikt nam tego nie wyjaśniał. W tle widać było jakąś walkę polityczną, ale gdzie leżała prawda, tego nikt z nas, którzy mieliśmy wtedy po 20 lat, nie wiedział. To nie była nasza wojna, nas do niej wepchnięto.

(...) SĘKOWSKI: (...) Stopień doktora habilitowanego otrzymujesz w 1988 r. Zapytam jeszcze o twoją pracę zarobkową w latach 80. Pracujesz w Instytucie Podstawowych Problemów Marksizmu-Leninizmu KC PZPR, czyli w tzw. Marlenie, a potem w Akademii Nauk Społecznych. Czy to było miejsce, które postrzegałaś jako zideologizowane? Taką przecież miało i ma opinię.

WANIEK: – Poruszaliśmy się w ramach ideologii, ale tam nie było nacisku na nas. Oczywiście były badania nad klasą robotniczą, bo zawsze warto było wiedzieć, jakie aspiracje ma polska klasa robotnicza. Wyniki badań były bardzo niekorzystne dla przywódców partyjnych. W 1981 r. naszym szefem został prof. Jerzy Wiatr, nieakceptowany od początku przez Rosjan, którzy uważali go za „rewizjonistę" i nie uznawali na tym stanowisku. Myśmy byli z takiego szefa bardzo dumni. „Towarzysze radzieccy" nigdzie nie zapraszali Wiatra, nie zauważali go. To wszystko profesora nie złamało, ale w końcu radzieccy doprowadzili do tego, że go usunięto w 1984 r. ze stanowiska. I tacy ludzie jak on, a także podobnie atakowany Mieczysław Rakowski, wytrwali w tej partii wtedy, kiedy było najtrudniej,

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 3f03bcca17

najgorzej. Jerzy Wiatr jest do dzisiaj na lewicy, on nie był malowanym członkiem partii, tylko rzeczywiście, autentycznie miał takie poglądy, jakie zawsze głosił. To samo aż do śmierci Mietek Rakowski.

W 1984 r. z połączenia „Marleny" z Wyższą Szkołą Nauk Społecznych przy KC powstała Akademia Nauk Społecznych. Tak naprawdę zrobiono to po to, żeby usunąć ze stanowiska prof. Jerzego Wiatra. Pierwszym rektorem ANS został Marian Orzechowski, który po czerwcu 1989 r. zachował się obłudnie.

(...) ORDYŃSKI: W 1989 r. poznajesz Aleksandra Kwaśniewskiego?

WANIEK: – Tak, przy okazji tworzenia Ruchu 8 Lipca. Wcześniej nie poznałam go osobiście. Ale pamiętam, jak rok wcześniej, gdy wracał z olimpiady w Seulu, zdawał relację gen. Jaruzelskiemu na lotnisku. Pomyślałam: to młody, zdolny człowiek. Gadał jak z nut. Spodobał mi się wtedy bardzo.

SĘKOWSKI: Wchodzisz do Ruchu 8 Lipca, czyli można cię śmiało ulokować na reformatorskim skrzydle partii. Kto cię tam wprowadził?

WANIEK: – Jerzy Wiatr. Ruch 8 Lipca to był tak naprawdę socjaldemokratyczny ruch akademicki w ramach PZPR. Byli tam ludzie z różnych uczelni.

ORDYŃSKI: Miałaś dwie bardzo ciekawe przygody socjaldemokratyczne: w Austrii lat 70. i w RFN lat 80. Niewielu ludzi w Polsce miało taką możliwość.

WANIEK: – W partii już wcześniej był klimat prosocjaldemokratyczny, tyle że nic z tego nie mogło wyniknąć.

(...) RAFALSKA: W 1990 r. powstaje Demokratyczna Unia Kobiet. Co się pani wtedy wydawało najważniejsze? O jakie prawa chciała pani wtedy walczyć?

WANIEK: – Po pierwsze, chciałam zachęcić kobiety do organizowania się w ogóle. Wiadomo, że w PZPR stanowiłyśmy mniejszość. To była partia męska, co było widać gołym okiem, uchem także. Więc wiadomo było, że jeżeli chodzi o obronę praw kobiet czy w ogóle wypracowanie ich statusu w strukturach partii, to jednak kobiety muszą do tej partii przyjść. Że tego się nie da inaczej załatwić, tylko przez ich obecność. Demokratyczna Unia Kobiet była sygnatariuszem Sojuszu Lewicy Demokratycznej, w związku z czym podpisywałam się pod prawem do korzystania ze znaku SLD itp. Poza tym miałyśmy jeszcze Parlamentarną Grupę Kobiet o charakterze ponadpartyjnym. Przeważnie w miastach wojewódzkich miałyśmy niewielkie przyczółki Demokratycznej Unii Kobiet. Muszę jednak stwierdzić, że w gruncie rzeczy kobiety mnie rozczarowały tym, że na dłuższą metę tylko nieliczne potrafią wytrwać w działalności w strukturach politycznych. Dzisiaj najlepszym tego dowodem jest Strajk Kobiet. Przysiadł...? Zanika...? Czy taki musi być sposób na obecność kobiet w polityce?

(...) SĘKOWSKI: Tymczasem zbliżały się wybory prezydenckie 1995 r. W jaki sposób zostałaś szefową sztabu wyborczego Aleksandra Kwaśniewskiego?

WANIEK: – Nikt z jego kolegów nie wierzył, że on ma szansę wygrać z Wałęsą. Oleksy sam chciał kandydować. Z tego, co mi wiadomo, nie chciał prowadzić tej kampanii Marek Ungier, bo on już był dyrektorem generalnym w URM. Nie pamiętam dokładnie, co było z Robertem Kwiatkowskim, on też wchodził w rachubę, ale ostatecznie nie został szefem kampanii. Kiedy zbliżało się posiedzenie Rady Naczelnej SdRP i mieliśmy zdecydować, kogo wysuniemy w wyborach prezydenckich, wprawdzie wcześniej nadzieję na to miał Józio Oleksy, ale nie bił się o to jakoś specjalnie.

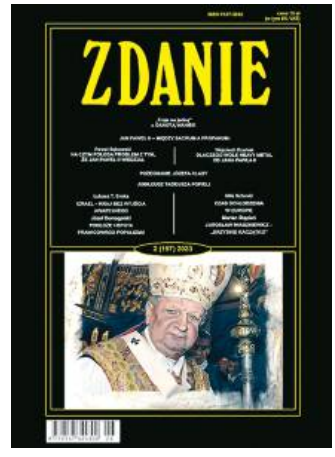

ORDYŃSKI: Chciał być proszony.

WANIEK: – Jak to Józio. Obraduje Rada Naczelna w sprawie zatwierdzenia naszego kandydata na prezydenta. W trakcie posiedzenia Aleksander prosi mnie o chwilę rozmowy i proponuje mi funkcję szefa sztabu wyborczego. Ja mówię: przecież nie jestem specjalistką od prowadzenia kampanii wyborczych!

RAFALSKA: A dlaczego właśnie panią poprosił?

WANIEK: – On mi chyba ufał i wiedział, że nie jestem skłonna prowadzić własnych gier czy intryg wewnątrzpartyjnych, że potrafię się zaangażować, że mam motywację. Zauważył również, że mi szalenie zależy na MON, żebyśmy spokojnie weszli do NATO. I użył koronnego argumentu, którym mnie przekonał: jak wygramy te wybory, to wyprostujemy wszystko w MON! Nie było po co dłużej dyskutować, bo sala czekała, więc zgodziłam się. Ale byłam też swoją decyzją przerażona. Gdy byłam na Zachodzie, widziałam kilka kampanii wyborczych. Bardzo mi się podobały, wówczas to było dla mnie odkrycie! I wiedziałam, że to jest ogromna robota, że na kilka miesięcy trzeba tej kampanii poświęcić wszystko.

(...) SĘKOWSKI: Wracając do twojego wkładu w pisanie tekstu Konstytucji RP, jesteś jednak zbyt skromna. Pamiętam twoje wystąpienie na sesji „Kuźnicy" w krakowskim Teatrze Stu z okazji 25-lecia wejścia w życie ustawy zasadniczej, w październiku 2022 r. Wtedy powiedziałaś więcej!

(...) **WANIEK**: – Art. 33 Konstytucji, dotyczący równych praw kobiety i mężczyzny, jest mojego autorstwa. Tak samo zapis w art. 26 dotyczący cywilnej i demokratycznej kontroli nad siłami zbrojnymi. Czyli sprawy, z którymi byłam najmocniej związana i na których najbardziej mi zależało.

ORDYŃSKI: Co jeszcze uważasz za twój istotny wkład w okresie, gdy kierowałaś Kancelarią Prezydenta RP?

WANIEK: – W Kancelarii przeprowadziłam jedną ważną inicjatywę ustawodawczą, mianowicie zaproponowałam Prezydentowi

eprasa.pl 3f03bcca17

przygotowanie Kodeksu wyborczego. Zgodził się, zaprosiłam do tego przedsięwzięcia znanych mi specjalistów z Uniwersytetu Warszawskiego i Wrocławskiego. Szefem wykonawczym tej inicjatywy był nieżyjący już prof. Aleksander Patrzałek z Wydziału Prawa we Wrocławiu. Pracowaliśmy intensywnie i w kilka miesięcy Kodeks wyborczy był gotowy, przedstawiliśmy go Prezydentowi, a ja wkrótce odeszłam z Kancelarii. Do dziś nie wiem, dlaczego Aleksander nie wystąpił do Sejmu z tą nowatorską inicjatywą. Natomiast pamiętał o niej Krzysztof Janik i po kilku latach do tego pomysłu powrócił w Sejmie Klub SLD. Gdy dzisiaj słyszę hasło „Kodeks wyborczy" – z lekka się uśmiecham… W Kancelarii zamierzałam przygotować jeszcze Kodeks prawa wojskowego.

RAFALSKA: Dlaczego w 1997 r. przestaje pani być szefową kancelarii prezydenta Kwaśniewskiego? Woli pani iść do parlamentu? To była pani decyzja czy bardziej sugestia prezydenta?

WANIEK: – Nie wiem, czy chcę o tym mówić otwarcie. No dobrze, powiem tak: widziałam, że idzie ku „upapieżeniu" polskiej polityki. Ja byłam przeciwna ratyfikacji konkordatu. Mówiłam o tym głośno i otwarcie. Być może jako minister prezydencki nie powinnam tego zgłaszać tak zdecydowanie, ale jako lewicowy polityk uznałam, że jednak powinnam uczciwie przedstawiać zastrzeżenia do postanowień konkordatu, które są niekorzystne dla państwa i pluralistycznego społeczeństwa. Wiedziałam, że dla mnie zasada demokratycznego, świeckiego państwa prawa jest niezwykle istotna. To jest moje polityczne credo. Włączyłam się w działalność polityczną m.in. po to, żeby tej zasadzie służyć. Jeżeli nie będę mogła tego robić, bo trzeba będzie pójść na daleko idący kompromis, to muszę sobie znaleźć inne miejsce w polityce, a nawet w życiu.

(…)

Jan Ordyński,
Dominika Rafalska,
Paweł Sękowski

Warszawa, 6 maja 2023 r.

Jakub Dymek

Przed wejściem do gmachu nowojorskiej biblioteki publicznej od późnych godzin popołudniowych pysznił się czerwony dywan. Pod wejścia podjeżdżały kolejne drogie samochody, a z nich wyłaniali się goście. Nierzadko z obstawą. Jedni śpieszyli do środka, nie oglądając się na nic. Drudzy dawali się namówić na zdjęcia lub krótką pogawędkę pod okiem ochroniarzy. Lista nazwisk szybko pozwalała się zorientować, że to wydarzenie dla szczególnego rodzaju celebrytów. Pojawili się urzędujący sekretarz stanu USA Antony Blinken i dyrektor CIA William Burns. Był David Petraeus, głównodowodzący sił koalicji w Iraku i niegdyś również dyrektor CIA. Galę zaszczycił Larry Summers, były sekretarz skarbu w administracji Billa Clintona i jedna z czołowych postaci gabinetu Baracka Obamy. Na miejsce dotarli też znana całemu światu dyplomatka i obrończyni praw człowieka Samantha Power, były prezes Google'a Eric Schmidt i kard. Timothy Dolan, arcybiskup Nowego Jorku.

Lista zaproszonych luminarzy godna wręczenia Pokojowej Nagrody Nobla. Nie brakuje szczególnej ironii w tym, że przyjęcie wydano na cześć człowieka, o którym równie często jak „mąż stanu" mówi się „zbrodniarz wojenny". I to nie wśród wrogów, ale właśnie w USA – jego ojczyźnie z wyboru. Bohaterem wieczoru był Henry Kissinger.

Były doradca ds. bezpieczeństwa narodowego prezydenta Richarda Nixona, sekretarz stanu i jeden z autorów amerykańskiej polityki zagranicznej XX i XXI w., obchodził 100. urodziny. Powiedzieć, że Kissinger przeżył swoich krytyków, to mało. Kissinger przeżył całe pokolenia swoich krytyków. Za życia stał się legendą, jego wpływ na globalną politykę jest niezmiennie wielki. Podobnie jak wielka jest góra trupów, którą zdaniem osób bardziej krytycznych niż goście bankietu w Nowym Jorku zakończyła się dekada Kissingera za sterami amerykańskiej polityki zagranicznej.

On zaś, mimo że teoretycznie jego czas dawno powinien minąć, dalej polaryzuje, budzi ciekawość i podziw wymieszany z pogardą. Czy słusznie?

Powiedz mi, co myślisz o Kissingerze…

Życiorys i biografia Kissingera są szeroko znane. Nawet jeśli wciąż potrafią być przedmiotem kontrowersji, a dociekliwi dziennikarze (np. Nick Turse czy pokolenie przed nim Christopher Hitchens) wyciągają na światło dzienne ukrywane przez dziesięciolecia fakty. Ale o tym za chwilę. Najpierw kanoniczna wersja biografii. Henry Kissinger urodził się w żydowskiej rodzinie w niemieckim Fürth, a lata jego dojrzewania przypadły na czas rosnącego w siłę nazizmu. Rodzina Kissingerów uciekła z Niemiec późno, ale w porę, by początek II wojny światowej zastał ich w Nowym Jorku, gdzie młody Henry doskonale sobie radził z angielskim i szkołą. W 1943 r. został powołany do wojska, otrzymał amerykańskie obywatelstwo i został wysłany do Europy. Tam młodemu chłopakowi powierzono odpowiedzialne zadanie: w kontrwywiadzie, władzach okupacyjnych i na froncie denazyfikacji.

Po powrocie do USA szybko piął się po szczeblach akademickiej kariery. Niewątpliwie pomagały mu w tym intelekt i oczytanie. Szkodził brak śmiałości w mówieniu i nieznośny, zarówno apodyktyczny, jak i interesowny stosunek do relacji międzyludzkich. I podobno oba te aspekty uwidoczniły się już w tamtym czasie. Kissinger naukowiec wspierał politycznie przez większą

O Henrym Kissingerze równie często jak „mąż stanu" mówi się „zbrodniarz wojenny". I to nie wśród wrogów, ale właśnie w USA.

eprasa.pl 3f03bcca17

Człowiek chcący tworzyć rzeczywistość

Kissinger: realista, oportunista, utalentowany sprzedawca?

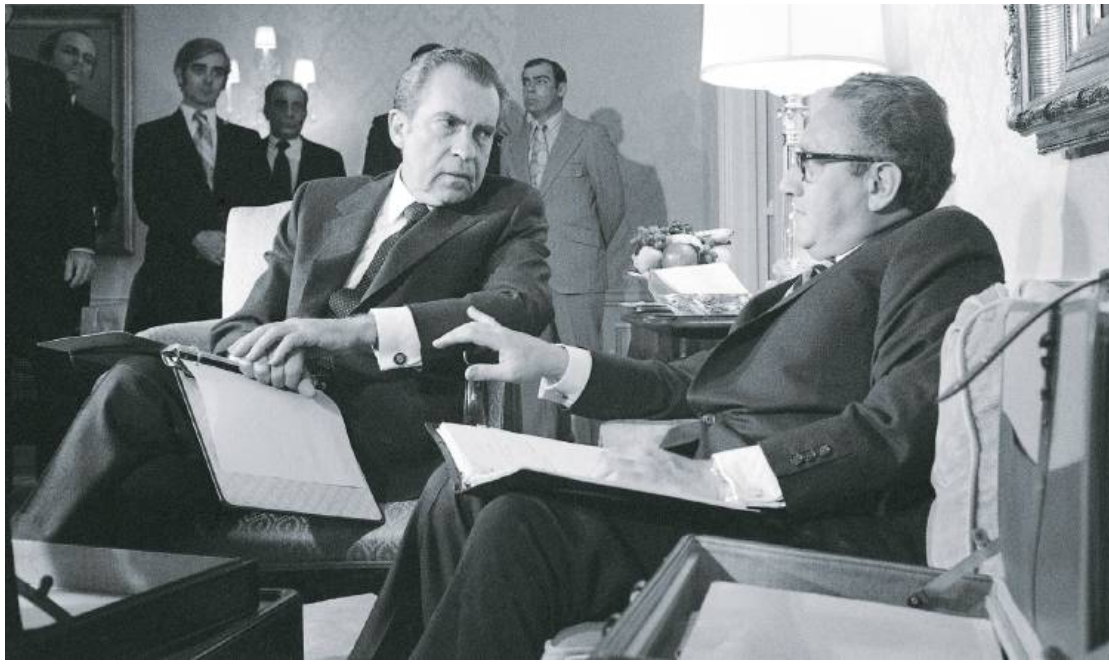

Richard Nixon i Henry Kissinger – nierozerwalny, pozornie zupełnie sprzeczny i dziwaczny, ale przepotężny duet, który w ciągu kilku zaledwie lat zacementował swoje miejsce w historii.

część lat 60. Nelsona Rockefellera. Gdy jednak dostrzegł swoją szansę u boku demagoga Nixona, nie wahał się dołączyć do obozu polityka, którym wcześniej (a i później) gardził. Tak powstał nierozerwalny, pozornie sprzeczny i dziwaczny, ale przepotężny duet, który w ciągu zaledwie kilku lat zacementował swoje miejsce w historii. I doprowadził do kaskady zupełnie niepotrzebnych okrucieństw oraz rzezi niezliczonych istnień ludzkich – jak szybko przypomną krytycy.

To, z czym kojarzy się dziedzictwo polityki zagranicznej Nixona i Kissingera, jest probierzem wrażliwości politycznej. Jeśli ktoś powie, że z odprężeniem w zimnowojennych stosunkach z ZSRR, słynnym spotkaniem z Mao i wznowieniem relacji z ChRL albo zakończeniem wojny w Wietnamie czy wojny Jom Kippur – ten najprawdopodobniej jest konserwatystą. Jeśli stwierdzi, że z nalotami dywanowymi na Kambodżę i Laos, przedłużaniem wojny w Wietnamie, zamachem stanu w Chile, wspieraniem szwadronów śmierci i każdej pomylonej interwencji zbrojnej USA – no cóż, to credo lewicowca.

Kissinger dostał Pokojową Nagrodę Nobla za „zakończenie wojny", której bez Nixona i niego w 1973 r. w ogóle mogło nie być.

Tylko eskalacja

Pół wieku temu Kissinger był na szczycie szczytów – jako najpopularniejszy, najbardziej szanowany i budzący respekt przeciwników dyplomata świata Zachodu. Rozejm w Wietnamie przyniósł mu w 1973 r. Nagrodę Nobla, którą współdzielił z nim Le Duc Tho, wietnamski lider i partner przy stole negocjacyjnym. Kontrowersje związane z przyznaniem tego wyróżnienia są znane – nominacji towarzyszyły protesty, zrezygnowało dwóch członków Komitetu Noblowskiego, Le Duc odmówił przyjęcia nagrody, a Kissinger w 1975 r. próbował ją oddać. Mniej znany jest inny fakt. Kissinger dostał Pokojową Nagrodę Nobla za „zakończenie wojny", której bez Nixona i niego w 1973 r. w ogóle mogło nie być.

Jak dowodzą historycy na podstawie coraz to nowych dokumentów i odtajnionych notatek, Nixon

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 3f03bcca17

próbował sabotować negocjacje pokojowe w Paryżu, które mogły doprowadzić do porozumienia – pięć lat przed ostatecznym podpisaniem rozejmu. Jednak wtedy zasługa przypadłaby rządzącym demokratom, to oni firmowaliby wycofanie się Amerykanów i rozejm w Wietnamie. A skorzystałby na tym ich kandydat na prezydenta Hubert Humphrey. Wiadomości z Paryża przekazywał wówczas sztabowi Nixona (bo Nixon prowadził wtedy i później politykę zagraniczną pod wybory) m.in. Henry Kissinger. Ten sam, który oficjalnie utrzymywał między sobą a Nixonem higieniczny dystans i opowiadał się za dyplomatycznym rozwiązaniem w sprawie Wietnamu.

Gdy ostatecznie Nixon wybory wygrał, a Kissinger stał się rozgrywającym numer jeden w polityce zagranicznej republikańskiej administracji, jego podejście do pokoju „dojrzało". Kissinger wierzył, że grunt do skutecznej dyplomacji stworzy dopiero jakiś przełom militarny – słowem im więcej bomb spadnie na głowę komunistom z Wietnamu, tym chętniej będą się dogadywać. Kampanię bombardowań rozszerzono o Kambodżę (a później Laos), atakując kraje formalnie neutralne i próbując utrzymać to w tajemnicy przed amerykańskim społeczeństwem i opinią międzynarodową. Jeśli chodzi o eskalowanie wojny, „wolimy przesadzić, niż pomylić się w drugą stronę", miał powiedzieć swojemu dyplomatycznemu kontaktowi Kissinger. I jak powiedział, tak zrobił.

„Bombardowanie Kambodży było nielegalne w swoich założeniach, załgane w praktyce i ludobójcze w skutkach", pisał po latach biograf Kissingera. Historycy – np. Ben Kiernan z programu badań nad ludobójstwem prowadzonego na Uniwersytecie Yale – szacują, że na Kambodżę za pierwszej kadencji Nixona zrzucono więcej bomb niż na Japonię i nazistowskie Niemcy w trakcie II wojny światowej. Tyle że bombardowania Kambodży wzmocniły jedno ugrupowanie – fanatycznych Czerwonych Khmerów, którym polityka eskalacji utorowała drogę do władzy.

Jak dowodzi w pracach Kiernan, sukces reżimu Czerwonych Khmerów nie był celem polityki Nixona/Kissingera, ale jej bezpośrednim skutkiem. Odtajnione po latach zeznania mieszkańców Kambodży i byłych khmerskich komunistów mówią o wręcz całych wioskach, które po amerykańskich bombardowaniach „tylko marzyły o tym, by dołączyć do Czerwonych Khmerów" i „wykazywały się całkowitą lojalnością wobec partii komunistycznej". Bombardowania pomogły wyeliminować umiarkowaną opozycję i stanowiły najlepszą propagandę Czerwonych Khmerów, których siły rosły proporcjonalnie do liczby nalotów i w przełomowym 1973 r. liczyły ćwierć miliona ludzi. Po umożliwionym przez działania USA i południowego Wietnamu dojściu do władzy Czerwonych Khmerów reżim rozpoczął kampanię przemocy, która pociągnęła ze sobą śmierć co najmniej 1,5 mln ludzi.

A to jedynie wycinek dziedzictwa Kissingera w samej Azji, dawnych kolonialnych Indochinach. Gdy podsumować konsekwencje jego decyzji w innych regionach świata – a wspierał interwencje w Afryce, wojny na subkontynencie indyjskim, przewroty w Ameryce Łacińskiej… – liczby ofiar zaczynają wymykać się rozumowi. Najnowsze szacunki mówią, że decyzje Kissingera odpowiadają bezpośrednio lub pośrednio za ponad 4 mln ofiar cywilnych, nie licząc Wietnamu.

Według najnowszych szacunków decyzje Kissingera odpowiadają bezpośrednio lub pośrednio za ponad 4 mln ofiar cywilnych, nie licząc Wietnamu.

Fakty nie istnieją

Tak naprawdę spór o to, czy nazywać Kissingera zbrodniarzem wojennym, jest głęboko wtórny. Przekonani o tym, że zalicza się on do największych potworów XX w., zdania nie zmienią. Podobnie jak nie zmienią go ci, którzy za nic mają Chilijczyków, Khmerów i Wietnamczyków, a wiekowemu politykowi chcą pamiętać wyłącznie zasługi w ogrywaniu ZSRR. Być może zaś najliczniejsza grupa w establishmencie, czyli ci, którzy po prostu szanują Kissingera, bo inaczej nie wypada, prawdopodobnie nie obciąża swoich sumień podobnymi moralnymi zagadkami. I tak zostanie.

Dużo bardziej ożywcze jest inne pytanie: czy Kissinger zasługuje na miano guru „polityki realnej" i czy w ogóle był realistą. Nowa książka „Kissinger's shadow" (Cień Kissingera) historyka Grega Grandina rzuca światło na kluczową część biografii intelektualnej matuzalema polityki zagranicznej. A odpowiedź brzmi w największym skrócie: nie. Kissinger nie był realistą w najbardziej podstawowym, ontologicznym sensie. Uważał bowiem – twierdzi Grandin – że żadna rzeczywistość ani fakty nie są wiążące dla ludzi o jego pozycji. Rzeczywistość i fakty się tworzy wedle własnego uznania. By udowodnić, że było to długoletnie przekonanie, Grandin sięga do pracy dyplomowej młodego Henry'ego, napisanej jeszcze w latach 50.

Kissinger rozprawia w niej – dojrzale i erudycyjnie – o „znaczeniu historii". To tytuł jego pracy. Dochodzi do wniosku, że prawda czy historyczna racja są przygodne – to, co prawdziwe, zależy od metafizycznych okoliczności, a każdy człowiek wykuwa własną prawdę. Fakty i wiedza nie niosą poznania, jedynie działanie w obliczu tych faktów i ich własna interpretacja ma sens. „Kissingera nieodmiennie nazywa się realistą (...). Jeśli jednak realizm wiąże się z uznaniem rzeczywistości i oznacza zgodę na to, że można dojść do prawdy pewnych faktów poprzez samą obserwację owych faktów – Kissinger realistą zdecydowanie nie jest. Przeciwnie, byłby kimś, kogo dziś prawica nazywa zwolennikiem radykalnego relatywizmu: nie ma czegoś takiego jak prawda absolutna, ani żadnej prawdy innej niż ta, którą wydedukować można na podstawie własnego indywidualnego doświadczenia".

Grandin przekonuje, że wszystkie późniejsze działania i recepty

eprasa.pl 3f03bcca17

Kissingera wynikały z tego podejścia. Nieważne, co jest prawdziwe w Kambodży, Wietnamie, Chile, Indonezji, Iraku… Ważne, co my z tym zrobimy i co my uczynimy prawdziwym. Kissinger np. uważał początkowo, że wojna w Wietnamie jest nie do wygrania, a naloty na Kambodżę to pomysł zbyt impulsywny. Po czym sam latami prowadził politykę zmierzającą do eskalacji, osobiście wybierając cele nalotów bombowych.

Dlatego, jak twierdzi dalej amerykański historyk, cała doktryna Kissingera była tak daleka od realizmu jak to tylko możliwe. Kissinger uważał, że Ameryka musi działać (interweniować zbrojnie, wywoływać wojny, dokonywać aktów odwetu), by nikt jej nie podejrzewał o brak zdolności do działania i nie złapał jej w momencie pasywności. Trzeba działać, aby uniknąć braku działania.

Jeśli ktoś widzi w tym błędne koło, to słusznie. Grandin wskazuje, że jedyne, do czego mogła doprowadzić ta polityka, to zaklęty krąg przemocy. Odpowiedzią na porażkę w Wietnamie było więcej tego samego, tylko w Kambodży i Laosie. Odpowiedzią na bezskuteczność nalotów na Irak była jeszcze większa liczba nalotów na Irak. I tak dalej… „Największy mąż stanu stulecia", jak go kiedyś tytułowano, nie był zdaniem Grandina patronem polityki realistycznej. Stworzył raczej most czy wspólną platformę, na której potem mogli się rozsiąść zwolennicy amerykańskiej supremacji – antykomuniści, neokonserwatyści, idealiści i liberalni interwencjoniści. Ameryka po prostu musi pokazywać swoją siłę, nie bacząc na cenę. A realizm czy idealizm to wyłącznie kostiumy i opowieści. Ideologie mają za zadanie jedynie uzasadnić niezbędne decyzje.

Dlatego Kissinger był takim przeciwnikiem rządów ekspertów, choć sam niewątpliwie reprezentował wyżyny intelektualne i robił karierę na akademii – bo są skrępowani faktami. A jak pisał w swojej polemice ze światem eksperckim w 1963 r., „są dwa typy realistów". I wyliczał: „ci, którzy manipulują faktami, i ci, którzy je tworzą. Zachód jak nigdy potrzebuje ludzi zdolnych tworzyć swoją własną rzeczywistość".

Mistrz sprzedaży

Być może jednak Kissinger okazał się człowiekiem „zdolnym tworzyć własną rzeczywistość" także po zakończeniu kariery politycznej. Dla wielu byłych dyplomatów i czołowych ekspertów od polityki zagranicznej koniec kariery w Waszyngtonie oznacza pewną deklasację. Owszem, publikują memuary i opasłe akademickie rozprawy, wizytują sympozja i najróżniejsze globalne szczyty, udzielają wywiadów. Ale tracą wpływ na kształtowanie wydarzeń. Kissinger przeciwnie.

Po zwycięstwie Ronalda Reagana, który głośno go krytykował podczas swoich kampanii, Kissinger założył firmę doradczą. Obecnie nie byłoby w tym nic zaskakującego, ale w szczycie zimnej wojny podobna prywatyzacja dyplomacji wciąż była relatywnie nowa. Tym bardziej że nazwisko Kissingera obiecywało klientom dostęp do ucha najmożniejszych na świecie i nawiązywanie kontaktów na najwyższym szczeblu. Po dziś dzień lista klientów firmy Kissinger Associates jest niejawna, a dziennikarze i opinia publiczna dowiadują się, kto płaci Kissingerowi za pośrednictwo i doradztwo, najczęściej za pośrednictwem sądów czy sprawozdań finansowych, które zdradzają związki z nowojorską firmą doradczą.

„Gdy zaczynał działalność cztery dekady temu, dziennikarze zadawali te same pytania, które przychodzą na myśl i dzisiaj", pisał z okazji 100. urodzin Kissingera dziennikarz Jonathan Guyer. „Czy to etyczne, że były urzędnik państwowy wysokiego szczebla dalej zasiadał w różnych ciałach doradczych rządu, pisał rekomendacje dla Pentagonu, Departamentu Stanu czy prezydenta, doradzając w tym samym czasie firmom, które mogą na ich geopolitycznych wyborach skorzystać?". Fakt, pytanie pozostało aktualne. Jednak prawdziwa odpowiedź byłaby dość niewygodna. Jak więc podsumował to w komicznym i celnym tytule swojego reportażu o urodzinach Kissingera Guyer: „Elity go kochają, ale z jakiegoś powodu nie chcą powiedzieć dlaczego".

Jak bowiem zauważyli dziennikarze i reporterzy na długo przed 100. urodzinami, Kissinger wpadł na pomysł, jak spieniężyć wizerunek męża stanu i znawcy zasad działania świata twardej polityki. I spieniężał go skutecznie. Czy chodziło o prywatyzację radzieckiej gospodarki i wyprzedaż majątku krajów byłego ZSRR, czy o robienie biznesu w Chinach, czy umowy o wolnym handlu – Kissinger mógł doradzić albo obiecać pośrednictwo. Tym, którzy mogli zapłacić w walucie prestiżu lub żywej gotówce. Do dziś jego wypowiedzi o Rosji czy Ukrainie śledzone są z chorobliwą uwagą, jak gdyby lata 70. nigdy się nie skończyły i to on dalej wyznaczał kierunki polityki zagranicznej. Wielu dopatruje się w kolejnych wypowiedziach Kissingera uniwersalnych prawd, mniejszość zadaje pytanie, dla kogo teraz pracuje dr Henry. „Oczywiście, że w Davos chcą słuchać Kissingera", kpił amerykański dziennikarz i autor bestsellerowej książki o wojnie z terroryzmem „Reign of terror" (Panowanie terroru) Spencer Ackerman. Bo jeśli jest jakaś myśl, credo czy spójna charakterystyka poglądów Kissingera w ciągu dekad, ciągnął Ackerman, to brzmi ona tak: „Zawsze mówić to, co w danym momencie establishment chce usłyszeć".

Nie jest problemem, że Kissinger popierał masę złych, chybionych pomysłów – od wojny w Wietnamie po inwazję na Irak w 2003 r. Ważne, że popierało je w swoim czasie wystarczająco dużo innych wpływowych ludzi, by nie musiał spędzać 100. urodzin samotnie, rozmyślając nad swoimi grzechami.

Kissinger wpadł na pomysł, jak spieniężyć wizerunek męża stanu i znawcy zasad działania świata twardej polityki. I spieniężał go skutecznie.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3f03bcca17

Zagrodnik i plenipotent gromadzki

Ryszard Jamka

Próba rekonstrukcji biografii Jakuba Szeli obarczona jest wieloma trudnościami. Po pierwsze, Szela był niepiśmienny, nie pozostawił więc potomnym prawie żadnych egonarracji, czyli źródeł przez siebie wytworzonych. Po drugie, i co ważniejsze, przez ponad 175 lat narosło wokół niego tyle mitów, że trudno wydzielić z jego życiorysu elementy fantastyczne. (…)

Zanim jednak przejdziemy do legend o Szeli, spróbujmy ustalić kilka podstawowych faktów. Te znane są przede wszystkim dzięki pracom Tomasza Szuberta, który w 2013 r. na łamach „Kwartalnika Historycznego" i „Przeglądu Historycznego" przekonująco wypełnił luki w życiorysie Szeli, po czym w 2014 r. wydał jego pierwszą (!) biografię naukową. Do tego czasu wiele elementów życiorysu Szeli pozostawało niejasnych i nawet „Polski Słownik Biograficzny" nie podawał jednej daty jego urodzin i śmierci ani pewnych informacji o jego żonach i dzieciach. Osiągnięciem Szuberta jest m.in. ustalenie najbardziej prawdopodobnej daty urodzin „króla chłopów" na 14 lipca 1787 r., czyli dzień imienin Jakóba, bo tak do reformy języka polskiego z 1936 r. zapisywano to imię. Najbardziej prawdopodobnej, gdyż w literaturze długo funkcjonowała data 15 listopada, która wynikała z dwóch błędów w odczytaniu źródeł. Pierwszy wziął się z prozaicznej omyłki rozszyfrowania zapisu miesiąca. Drugi z niedostrzeżenia faktu, że do ok. 1815 r. w księgach metrykalnych podawano jedynie datę chrztu, a nie urodzin. Chrzest Szeli odbył się 15 lipca, jego narodziny wydarzyły się więc zapewne dzień wcześniej, w dniu jego świętego patrona.

Legenda Jakuba Szeli

Jakub Szela urodził się w Smarzowej koło Pilzna, wsi należącej do cyrkułu tarnowskiego (dzisiejszej Smarżowej, w gminie Brzostek województwa podkarpackiego), jako syn Jana i Anny z Łukasików. Miał siedmioro rodzeństwa (Marianna, Katarzyna, Kazimierz, Michał, Regina, Agata, Barbara), lecz dojrzałego wieku dożyli tylko brat Kazimierz i siostra Katarzyna, co potwierdza dość typową wówczas wysoką umieralność dzieci. Należał do rodziny średniozamożnych zagrodników, która – według sporządzonego pierwszego katastru austriackiego Metryki Józefińskiej, czyli oszacowania dochodów z gruntów – posiadała tzw. gospodarstwo półrolne, z przypisaną trzydniową pańszczyzną pieszą (po 156 dni w roku). Robocizna wpisanych do ksiąg w 1787 r. Marcina, Piotra i Wawrzyńca Szelów wyceniona została w przypadku dwóch pierwszych na ok. 18,5 florena, a w przypadku ostatniego z nich na 23,5 florena. Najbogatszy chłop w Smarzowej płacił wówczas 96, a najbiedniejszy 6 florenów.

Nie oznacza to jednak, że naszemu bohaterowi wiodło się dobrze, gdyż istniał zakaz dzielenia ziemi, który oznaczał, że całą gospodarkę po śmierci ojca dziedziczył najstarszy syn. Nie wiadomo więc, w jaki sposób w rękach drugiego w kolejności Jakuba w 1820 r. były dwa pola o wielkości prawie 8 morgów, czyli ok. 4,5 ha, i czemu w 1829 r. jego gospodarka wynosiła już niemal 9 morgów. Wiemy natomiast, że uprawiał na nich zboże i owies, a jego robociznę wyceniono wówczas na ponad 11 florenów (za hektolitr owsa płacono w 1820 r. 2 floreny i 48 krajcarów), co sytuowało go dość blisko najbiedniejszego zagrodnika sprzed ostatniego katastru z 1787 r. Żył więc z pewnością skromnie, choć pamiętać należy, że w stratyfikacji mieszkańców wsi znacznie niżej od niego znajdowali się ci, którzy nie posiadali nawet spłachetka ziemi (komornicy).

Co ciekawe, w tym samym czasie jego brat Kazimierz gospodarował aż na 32 morgach, co czyniło go najbogatszym kmieciem we wsi. Fakt ten zaskakuje, jeśli wziąć pod uwagę skromną sytuację materialną Szelów w końcu XVIII w.; nie dziwi więc, że stanowił pretekst do powstania plotek o przyczynach tego wzbogacenia. Jeśli zaś chodzi o pańszczyznę, przypisane były Jakubowi dwa dni piesze w tygodniu i uprzędzenie nici z dwu sztuk włókna – typowe obciążenie dla gospodarstwa jego wielkości.

Tym, co zadecydowało o życiu Szeli, było wyznaczenie go przez gromadę na plenipotenta w sporze z właścicielami Smarzowej, Boguszami.

Dane te nie mówią jednak wiele o tym, jakim gospodarzem był Szela. Barwnego opisu dostarcza szczęśliwie jego chrześniak Jędrzej Szydłoski: „Ja u tego Szeli mojego chrzestnego ojca prawie co dzień byłem, bo miał on 2 pary wołów – młodsze się pasły u nas, ja wieczór odganiał, a stare były koło domu. Jednego roku wygnał te małe na jarmark do Frysztaka, mało dawali, zabił jednego, nasolił do cebrów, a jak zjedli, znowu zabił drugiego i zjadł […].

eprasa.pl 3f03bcca17

Na wiosnę jednym starym wołem oborywał ziemniaki, a drugi był w oborze. Zaczął się gzić na podwórzu i ten Szela, jak to ujrzał, zagniewał się, przyleciał od ziemniaków, złapał siekierę – jak strzelił siekierą, uciął mu nogę pod kolanem – a ja mu mówię: Hej, coście zrobili, chrzestny ojcze! Idź ty, głupi – poderżnął mu gardło, zdjął skórę, dał ją wyprawić Chrząszczowi w Kamienicy i powiedział, że to będzie na buty dla Staszka syna i Kaśki siostry, i Józka syna, a mięso nasolił i zjadł, nam też dał, a on, jak kto do niego przyszedł po prośbie, kazał siedzieć przy stole i dał jeść razem to, co oni jedli, i wypytywał się o to, co słychać".

Szubert kwalifikuje tę opowieść wżenionego w rodzinę Szeli chłopa jako element białej legendy (stąd uwypuklenie cech takich jak szczodrość i porywczość), ale uznaje ją za istotną, gdyż dowiadujemy się z niej, że Jakub uprawiał ziemniaki, miał woły i wynajmował parobka.

Wątpliwości budzi liczba żon Szeli, a to ze względu na czarną legendę, według której miał je często katować, a jedną z nich nawet zabić. (…) Szela, według ustaleń Szuberta, żonaty był trzy razy: z Rozalią Chodór (ślub 6 listopada 1809 r.), z Agnieszką Prewendoską (ślub 24 stycznia 1819 r.) i Salomeą Niewiarowską (ślub 9 lutego 1831 r.). Istnienie czwartej żony pozostaje w sferze domysłów.

Także liczba dzieci z tych związków budzi istotne wątpliwości. Z 16-letnią w dniu zamążpójścia Rozalią miał mieć ich sześcioro. Jak pisze Szubert, „po sześciu latach małżeństwa bilans rodziny Szeli nie był pocieszający – co zresztą w tamtych czasach nie stanowiło wyjątku – na pięcioro poczętych dzieci żyło tylko jedno" – Katarzyna. Półtora roku później (1 maja 1817 r.) urodził się i – co istotne – przeżył osławiony „pułkownik rabacji", Stanisław, który był prawą ręką ojca w 1846 r.

Pierwsze małżeństwo skończyło się śmiercią Rozalii 21 grudnia 1818 r. Nie czekając długo, wdowiec wziął sobie za żonę 19-letnią Agnieszkę Prewendoską. Księgi metrykalne milczą o ewentualnym potomstwie pochodzącym z tego krótkotrwałego związku, zakończonego prawdopodobnie rychłą śmiercią małżonki lub jej ucieczką do innej wsi. Ostatnią żoną Szeli była 17-letnia Salomea Niewiarowska, ze związku z którą urodził się jego ostatni potomek – Józef. 15 kwietnia 1846 r. Szela podał do protokołu, co następuje: „[…] mam troje dzieci: Stanisława, Józefa i Katarzynę. Pierwszy jest wysłużonym kapitulantem, i tak on, jak i drugi są u mnie w domu na mojem gospodarstwie". Nie ma pewności, czy chodziło o Katarzynę, zrodzoną z pierwszego małżeństwa z Rozalią, a więc w czasie rabacji już dorosłą. W domu Szeli pozostawało także jedno inne dziecko, przybrana córka Maria. Praktyka ta na wsi nie należała wcale do rzadkości.

Drzeworyt być może sporządzony przez Henryka Dmochowskiego, 1848 r. To wyobrażenie Szeli które funkcjonowało przez 175 lat.

Niewątpliwie tym, co zadecydowało o życiu Szeli, było wyznaczenie go przez gromadę na plenipotenta w długotrwałym sporze z właścicielami Smarzowej, Boguszami. Spór ten trwał co najmniej 26 lat i jest doskonałym przykładem nieskuteczności prawa austriackiego, teoretycznie biorącego od czasów Józefa II chłopa pod swoją opiekę. Konflikt sięgał 1803 r., gdy mieszkańcy Smarzowej wnieśli skargę na swojego dziedzica do cyrkułu o liczne „pregrawacje" (uciski). Szlachcic w toku śledztwa „przedłożył jednak pisemną »komplanację« (ugodę) z r. 1781, w której rzekomo chłopi smarzowscy nie tylko zrzekli się – bez jakiejkolwiek rekompensaty – obszaru »Kopaliny« oraz wszelkich poborów drzewa z lasów dworskich, lecz również zobowiązali się na przyszłość uiszczać zamiast tak zwanej »niemierzonej« roboty pańszczyźnianej robotę »mierzoną« oraz płacić specjalne daniny pieniężne zamiast zbierania grzybów, orzechów i kminku". Jak podejrzewa Roman Rozdolski, ugoda ta była sfałszowana (nie miała wymaganych podpisów i aprobaty cyrkułu), a dodatkowo pozostawała w sprzeczności z ustawodawstwem józefińskim zakazującym żądania pańszczyzny „mierzonej" (czyli pracy na akord) zamiast zwykłej oraz danin za orzechy, grzyby i kminek. Cyrkuł przychylił się jednak do stanowiska dworu i skargę odrzucił.

W kolejnym znanym nam procesie uczestniczył już Szela, który w 1822 r., wraz ze Stanisławem Białasem, został wybrany na deputowanego Smarzowej. Zarzuty chłopów także tym razem dotyczyły niwy Kopaliny (gruntów po wykarczowanym lesie), na których w 1829 r. aż czterech z siedmiu Szelów miało swoją ziemię. Na obszarze tym dziedzic miał odebrać 24 poddanym pola i stworzyć z nich sześć nowych osad „półrolnych", w ten sposób zyskał 936 dodatkowych dni pańszczyźnianych w roku.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 3f03bcca17

Oprócz tego chłopi skarżyli się na nieprawidłowe rozliczanie młócenia snopów i dostarczanego drewna do tartaków, obciążanie ich niezgodnymi z patentami transportami dworskiego zboża, a także żądanie od zagrodników odrabiania jednego dnia pańszczyzny sprzężajnej zamiast dwu dni pieszej. Skarżący ponownie zakwestionowali daninę za grzyby, orzechy i kminek, zniesioną przez Józefa II.

Tym razem cyrkuł nie pozwolił już sobie na całkowite oddalenie skargi i po ośmiu latach zwlekania wydał decyzję. Tam, gdzie zarzuty chłopów dotyczyły rozliczania powinności niezgodnie z patentami cesarskimi, przychylił się do ich stanowiska. W kluczowej sprawie Kopalin rację przyznał jednak faworyzowanemu Stanisławowi Boguszowi. Ale na tym spór się nie zakończył, gdyż – jak pisze Rozdolski – niepogodzony z rozstrzygnięciem dziedzic Smarzowej zaczął bawić się z chłopami w „ciuciubabkę". Podważył więc prawomocność ich reprezentacji, co stanowiło wówczas typowy wybieg dominiów, i odwołał się do cyrkułu. Ten przyznał mu rację, uchylając prawo Szeli do reprezentowania gminy, a ponieważ o rozstrzygnięciu wcześniejszej decyzji starosta powiadomił tylko dominium, chłopi nie dowiedzieli się o losach swojej skargi.

Stanisław Bogusz równolegle zaczął stosować także inną taktykę – szykanowania i karania Szeli, na co ten w 1830 r. poskarżył się w lwowskim gubernium. W zamian za to dziedzic osadził go na siedem tygodni w areszcie, a w 1832 r. wystawił w kajdanach w kościele siedliskim, by go sromotnie upokorzyć. Kolejna znana nam szykana spadła na Szelę w 1834 r., gdy wraz z ośmioma innymi chłopami został ukarany wieloma kijami, co było już tak rażącym naruszeniem, że gubernium przyznało mu stosowne odszkodowanie. Bogusz od decyzji tej oczywiście się odwołał, a pieniędzy nigdy nie wypłacił.

Chłopi cały czas jednak nie wiedzieli o częściowo korzystnym dla nich postanowieniu w sprawie rozliczania powinności pańszczyźnianych, dlatego „Szela z iście chłopską cierpliwością chodził i chodził do Tarnowa, wycierał kąty w przedpokojach urzędu cyrkułowego, aż mu się to wreszcie uprzykrzyło" i w 1839 lub 1840 r. wybrał się pieszo do gubernium lwowskiego w poszukiwaniu sprawiedliwości i celem rozwiązania pata. Poskutkowało to wnioskiem wyższej instancji o ogłoszeniu chłopom decyzji w sprawie ich nieprawidłowej reprezentacji (o czym także nie wiedzieli). Zapoznawszy się z nią, tym razem to oni odwołali się do gubernium, które ją unieważniło i potwierdziło prawomocność wyboru Szeli. W odpowiedzi na działania chłopów Bogusz wniósł apelację do samego Wiednia, skąd przyszedł rozkaz ponownego zbadania sprawy, która w 1846 r. pozostawała nadal nierozstrzygnięta.

Jak pisze Tomasz Szubert: „narzucony przez cyrkuł po mordach roku 1846 mandatariusz siedliski podawał, że w trakcie całego sporu od 1822 r. gmina złożyła na dominium 22 skargi, sam Szela 30, a pozostali chłopi kolejne 36 – za ucisk, wykorzystywanie i zabieranie gruntów, z czego

eprasa.pl 3f03bcca17

większość w pierwszej instancji (dominium) trafiło ad acta".

Nawet po rabacji sprawująca pieczę nad majątkiem pomordowanych Józefa Bogusz kontynuowała tradycje rodzinne, stosując kolejne wybiegi prawne i wsadzając krnąbrnych chłopów do aresztu. O decyzji z 1830 r. cała gromada dowiedziała się dopiero w 1847 r. Ostateczny kres sporowi położyło dopiero zniesienie pańszczyzny w Austrii z dniem 15 maja 1848 r.

(...) zaskakuje skuteczność działań chłopów analfabetów, którzy nawet do sporządzenia najprostszego pisma musieli najmować pisarzy pokątnych, czyli osoby trudniące się spisywaniem za opłatą podań, skarg czy zażaleń. Smarzowscy chłopi spierali się więc ze swoim dziedzicem jak równy z równym, choć – jak widać – o powodzeniu ich działań decydowało nastawienie cyrkułu, a nie znajomość przepisów. Równość wobec prawa pozostawała iluzoryczna.

Perypetie Szeli z Boguszami pozwalają zrozumieć jego skomplikowany stosunek do dworu. (...) początkowo relacje te układały się poprawnie, a Szela zaskarbił sobie sympatię właściciela Smarzowej jako zręczny cieśla i kołodziej. W nagrodę miał rzekomo otrzymać od niego wolną zagrodę i ożenić się z dziewką dworską (możliwe, że to właśnie wtedy wzbogacił się o wspomniane 8 morgów gruntu). Nic dziwnego jednak, że z chwilą wejścia w spór prawny stosunki te pogorszyły się. Gdy doszły do tego agresja i szykany, o jakimkolwiek porozumieniu nie mogło być mowy.

Hardość i upór Szeli wyrażały się m.in. w tym, że na cztery lata przed rabacją całkowicie zaprzestał odrabiać pańszczyznę, o czym opowiadał jego powinowaty Jędrzej Szydłoski: „Ja chodziłem ze Szelą jak chrzestny ojciec na pańskie dwa dni w tygodniu. Jakiem zaszedł, to mnie karbownik wrócił – nie – kazał mi dać jeść, w ten dzień nic nie robić i wieczór pod cwancygiera – i tak było długo, bo oni chcieli, żeby sam Szela poszedł na pańskie, a on nie chciał. Przyjechała Komisja, wypytywali mnię, jak było, i przepadło 30 dni". (…)

Nie o opis życia Szeli chodzi, lecz o odnalezienie w pamięci zbiorowej legend o nim, a więc o tak zwaną historię drugiego stopnia. (…)

Pierwszą z legend – czarną – stworzyła szlachta krótko po rabacji, a jej celem było uczynienie z Szeli antybohatera i przypisanie mu odpowiedzialności za rzeź na terenie całej Galicji. Do przestępstw dokonanych w lutym 1846 r. dopisano mu także te popełnione rzekomo wcześniej: kradzieże, podpalenie domu rodzinnego czy morderstwa. Oskarżono go także o denuncjowanie szlachty po powstaniu listopadowym i buntowanie gromady przeciw Boguszom, wobec których miał pałać wielką, motywowaną osobistymi zatargami nienawiścią.

Natomiast w trakcie „krwawych dni" miał się stać nie lokalnym przywódcą, ale dowódcą całego ruchu chłopskiego, który za podszeptem austriackich urzędników unicestwił patriotyczny zryw wolnościowy Polaków. Legenda ta za sprawą luminarzy polskiej kultury stała się dominującą narracją o Szeli w polskim społeczeństwie. Jej siła nie powinna dziwić. Szela pozostawił potomnym bardzo niewiele źródeł, które mogłyby falsyfikować stworzony przez szlachtę obraz jego osoby. (…)

Przyczyna braku szerszych egonarracji jest bardzo prosta: jak wspominaliśmy Szela był analfabetą, choć ustalenie tego faktu również nie należało do najprostszych, gdyż w wielu źródłach można napotkać zupełnie inną informację. Do najważniejszych należy pierwsze niemieckojęzyczne opracowanie polskich powstań narodowych, wydane anonimowo w 1863 r. w Pradze przez byłego dyrektora policji we Lwowie Leopolda von Sachera-Masocha (ojca). Zauważył on, że Szela „już w młodym wieku zwracał na siebie uwagę inteligencją, ucząc się szybko czytać i pisać nie tylko języka polskiego, ale także niemieckiego, co wśród polskich i Rusińskich chłopów w Galicji jest spotykane niezwykle rzadko".

Dzieło Sachera-Masocha miało na celu gloryfikację Szeli i stworzenie z niego wzoru lojalnego austriackiego poddanego, poruszającego się z łatwością po józefińskim ustawodawstwie. Musiał więc mieć zdolność pisania i czytania. Jak udowadnia Tomasz Szubert, istnieją jednak liczne dokumenty, na których podpisał się on krzyżykiem lub ktoś podpisał się za niego, co miałoby jednoznacznie świadczyć za tym, że był analfabetą. (…)

Ze względu na niepiśmienność chłopów świat dowiedział się o rabacji od jej ofiar, czyli szlachty. Dzięki niej poznał również życiorys Szeli, opublikowany w europejskich gazetach już parę tygodni po ustaniu mordów. Do dzisiaj znane są trzy jego wersje: dwie krótsze i jedna obszerniejsza, spisana przez Ludwikę z Boguszów Gorayską najpewniej już w 1846 r., lecz opublikowana przez ks. Stefana Dembińskiego pół wieku później. Ich zbieżność oraz dobre rozeznanie w opisywanej materii wskazują na pochodzenie od tego samego autora – kogoś z Boguszów, najpewniej właśnie szlachcianki. W trakcie rabacji straciła ona ojca, trzech braci, bratanka oraz dalszych członków rodziny, a z Szelą jej bliscy pozostawali w konflikcie od lat. Po ustaniu mordów ocaleli Boguszowie najpierw dążyli do odebrania skradzionych dóbr, a następnie do osądzenia krnąbrnego poddanego i uzyskania zadośćuczynienia. Dochodzenie sprawiedliwości szło jednak opornie, a jego rezultat ze względu na konflikt interesów austriackiej biurokracji wcale nie był oczywisty. (…)

Ze względu na niepiśmienność chłopów
świat dowiedział się o rabacji od jej ofiar, czyli szlachty.

Fragment książki Ryszarda Jamki *Panów piłą. Trzy legendy o Jakubie Szeli*, Marginesy, Warszawa 2023

eprasa.pl 3f03bcca17

Rozmawia
Wojciech Tutaj

Chłopięcy świat

Dzieci w filmach kreuje się na bardziej naiwne, niż są naprawdę

DAMIAN KOSOWSKI
– reżyser i scenarzysta

Spotykamy się kilka dni po tym, jak zdobyłeś Nagrodę im. Zuzanny Jagody Kolskiej na festiwalu Nowe Horyzonty. Co sądzisz o festiwalowych konkursach – to bardziej niezdrowa rywalizacja i uprzedmiatawianie sztuki czy szansa na wyróżnienie i większą rozpoznawalność?

– Festiwalowa selekcja ma charakter obiektywny. Nagrody to już inna sprawa. Decyduje o nich kilka osób, które mają określony gust, nastrój danego dnia. I te czynniki kierują nimi przy wyborze zwycięzcy. Oczywiście bardzo miło dostać nagrodę, ale widziałem pozostałe filmy z sekcji Shortlista i nie uważam, żeby były gorsze od mojego. Z drugiej strony festiwalowe wyróżnienia i idąca za nimi rozpoznawalność sprawiają, że poznałem wielu świetnych ludzi ze środowiska filmowego, którzy już kojarzyli moje krótkie metraże. Udało mi się też nawiązać przyjaźnie z innymi młodymi twórcami, niekoniecznie byłymi studentami łódzkiej Filmówki. Udzielamy sobie nawzajem wsparcia, nie tylko psychicznego, ale i zawodowego. Festiwale są o tyle ważne, że gdybym nie pokazał filmów poza murami szkoły, zobaczyłaby je wyłącznie garstka osób, które znają mnie i moją wrażliwość. Rozmowy z publicznością pozwalają ci przejrzeć się w oczach innych ludzi, stykających się z twoim kinem po raz pierwszy.

Festiwalowa selekcja ma charakter obiektywny. Nagrody to już inna sprawa – decyduje o nich kilka osób.

W filmie „Stwór", który obrazuje dorastanie małego Kazika, sam jesteś narratorem, słyszymy twój głos z ekranu. Ten zabieg ma wzmocnić wrażenie autobiografizmu opowiadanej historii?

– W narracji z offu pojawia się mój głos, na dodatek w pierwszej osobie, i ludzie siłą rzeczy sądzą, że opowiadam prywatną historię. Nie zaprzeczam i nie potwierdzam – są w niej pewne elementy autobiograficzne, ale nie tylko. Zauważyłem jednak, że podczas spotkań po projekcjach „Stwora" widzowie zaczynają porównywać moją twarz z twarzą aktora grającego Kazika. I dopytują, czy wybrałem Mieszka Czepirskiego na zasadzie podobieństwa. Sam bym na to nie wpadł!

Inspirowałem się wspomnieniami mojej rodziny i refleksją nad moim statusem z dzieciństwa. Zanim stworzyłem scenariusz, napisałem nawet półtorastronicowe opowiadanie w pierwszej osobie. Później, wraz ze współscenarzystką Wiktorią Czeladką, próbowaliśmy pójść w inną stronę i opowiedzieć historię trochę bardziej obiektywnie. Ostatecznie wróciłem do pierwotnego pomysłu, bo narracja pierwszoosobowa ma wielką siłę, stwarza wrażenie, jakbyś zdradzał komuś sekret lub czytał kartkę z pamiętnika.

A co z nagraniami wideo, które uzupełniają fragmenty fabularne i podbijają efekt realizmu?

– W scenariuszu zaznaczyłem, że nagrania z kaset wideo mają się pojawić na końcu filmu. Widzimy na nich kobietę trzymającą dziecko i właśnie jej historia była inspiracją do napisania centralnego wątku ciotki Dagny. Pomyślałem, że to będzie uczciwe, jeśli pokażę osobę, od której wszystko się zaczęło. Zdecydowałem jednak, że trzeba wpleść w tkankę filmu więcej materiałów archiwalnych i osadzić całość mocniej w historii mojej rodziny. Spodobała mi się myśl, że „Stwór" przybiera formę psychodramy – aktorzy odgrywają wydarzenia, które działy się w tej konkretnej rodzinie.

eprasa.pl 3f03bcca17

Moja relacja z siostrą stanowiła np. inspirację dla ekranowej relacji matki Kazika i jego ciotki. Chodziło więc o połączenie fabuły „Stwora" z rzeczywistymi wydarzeniami i o uczciwość wobec prawdziwych osób, także tych, które już odeszły. Ich duch czuwa nad tym filmem.

Czy łatwo opowiadać z perspektywy małego chłopca i przenosić na ekran jego wrażliwość?

– Perspektywa chłopca miesza się z perspektywą dorosłego mężczyzny, który wspomina swoje dzieciństwo. Film opowiedziany tylko z punktu widzenia dziecka musiałby wyglądać inaczej. Często mam poczucie, że dzieci w filmach kreuje się na bardziej naiwne, niż są w rzeczywistości. Czułem, że mój bohater musi się wykazywać odwagą i dzielnością, bo z perspektywy czasu widać, że próbował uratować komuś życie. To wypływa też z mojego osobistego spojrzenia na dzieci. Oszustwa dorosłych wobec nich są po prostu śmieszne, choć bywają sposobem na ochronę najmłodszego pokolenia przed sprawami dorosłych. Od początku jednak wiedziałem, że Kazik rozumie więcej, niż się wydaje jego krewnym.

Ktoś ci pomagał w zgłębianiu tajemnic dziecięcej psychiki?

– Podpierałem się wiedzą psychologiczną, którą mam, ale nie konsultowałem się z żadnym specjalistą. Praca z psychologiem pojawiła się na etapie pracy z dziecięcym aktorem na planie. To jest dość skomplikowany mechanizm rozłożony w czasie, który polega na uświadomieniu dziecku, że fabularne wydarzenia nie są prawdziwe. Mieszko jest inteligentnym chłopcem i zaskakująco wiele rzeczy już rozumiał. Chcę też obalić mit, że w finale „Stwora" naraziliśmy go na efekt szoku; ten efekt był podparty systematyczną pracą, by w ostatniej scenie mógł wykrzesać z siebie trudne emocje. Nie zastosowaliśmy żadnych magicznych sztuczek. Poprosiłem również o pomoc reżyserkę Jagodę Szelc, która przy filmie „Wieża. Jasny dzień" pracowała z dziecięcymi aktorami i świetnie ich poprowadziła. Pani psycholog z kolei okazała się niezbędna, kiedy trzeba było zdyscyplinować naszego aktora.

Czy wprowadzenie dziecięcej perspektywy pozwoliło ci zrównoważyć ładunek melancholii i niepokoju zawarty w tej historii?

– Od początku wiedziałem, że opowiadam trudną, skomplikowaną psychologicznie historię, a dziecięcy bohater pozwoli mi wpuścić do świata przedstawionego odrobinę niewinności, lekkości. Ważny był sam casting, bo nie chciałem wybrać przesadnie dojrzałego, „smutnego dziecka". Wręcz przeciwnie, myślałem o zaangażowaniu kogoś naturalnie radosnego, swawolnego. Dużym niebezpieczeństwem było także popadnięcie w sentymentalno-poetyckie tony, w końcu film materializuje wspomnienia. Chcąc przekłuć ten balonik, zadbałem, by obsada i lokacje były zwyczajne, przeciętne. Zależało mi, żeby widzowie czuli, że opowiadam o normalnych ludziach.

Dlaczego relacja bohatera z matką tak bardzo różni się od tej, którą nawiązuje on z ciotką Dagną?

– Film zaczyna się od uwag narratora na temat urody kobiet, które otaczały go w dzieciństwie. Trudno rozsądzić, czy aktorka grająca Dagnę jest ładniejsza od tej wcielającej się w matkę Kazika, ale chodzi tu przecież o pracę pamięci bohatera. Jego wspomnienia wydają się powierzchowne, dopiero później zaczynamy drążyć głębiej. Postać ciotki ma w sobie coś niedostępnego, kojarzy się też Kazikowi z zabawą. A dobrze wiemy, że coś, do czego nie mamy łatwego dostępu, jeszcze bardziej nas kusi. Matka natomiast jest zawsze. Sam straciłem mamę trzy miesiące temu i uświadomiłem sobie, że ona była przy mnie cały czas. Często nie doceniamy tej stałej obecności, szukamy innych uczuć, relacji.

Różnice między bohaterkami, pochodzącymi z tej samej rodziny, podbija jeszcze ich status społeczny. Dagna i mama Kazika poszły w inne strony. Pierwsza ma wielki dom, prowadzi razem z mężem szwalnię, ma talent do szycia. Druga samotnie wychowuje syna i może niczym się nie wyróżnia, ale ma dziecko.

Szokowanie w sztuce jest dużym wyzwaniem, wiele osób próbuje z tym się mierzyć, ale wychodzi im to mechanicznie, by nie powiedzieć nudno.

Gdzieś na marginesie film opowiada o problemach psychicznych i ich tragicznych konsekwencjach, których instynktownie nie kojarzymy z dzieciństwem. Chciałeś zaszokować widza tak niespodziewanym zakończeniem?

– Nie miałem zamiaru nikogo szokować, bo nie wiem, co wzbudza u ludzi tak silną emocję. Pewnie co innego szokuje tradycyjną publiczność, a co innego wzbudza dyskomfort u widzów na Nowych Horyzontach. Powodem, dla którego pokazałem zakończenie historii Dagny tak bezpośrednio, jest wiara w to, że widz zrozumiał jej problemy, zidentyfikował się z Kazikiem i zareaguje podobnie jak bohater. Ważne było, żeby zapowiadać problem, pokazywać rysy na szkle, przygotować widza na najgorszą ewentualność. Szok kojarzy mi się z czymś nagłym i niespodziewanym, a w „Stworze" daję sygnały, że coś złego się dzieje z ciotką Kazika. Myślę, że szokowanie w sztuce jest dużym wyzwaniem, wiele osób próbuje z tym się mierzyć, ale wychodzi im to mechanicznie, by nie powiedzieć nudno. Ich starania zamieniają się w festiwal atrakcji, nie udaje się uzyskać odpowiedniego efektu. ■

DAMIAN KOSOWSKI – (ur. w 1993 r.) reżyser i scenarzysta. Absolwent Akademii Sztuk Pięknych i PWSFTViT w Łodzi. Jego krótkometrażowy film „Stwór" zdobył nagrodę za zdjęcia w konkursie studenckim na Camerimage oraz Nagrodę im. Zuzanny Jagody Kolskiej w sekcji Shortlista na Nowych Horyzontach.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 3f03bcca17

NA EKRANACH

Ukryta sieć

reż. Piotr Adamski, prod. Polska, w kinach od 1 września

Wiadomo, czego się spodziewać, gdy dziennikarka poczytnego brukowca wpada na trop potężnej afery, która może wywrócić do góry nogami życie elit. Rzecz w tym, że tutaj dochodzi do zaburzenia schematu. Twórcy pokazują, co we współczesnym świecie znaczy zadrzeć z niewłaściwymi ludźmi. Żyjemy w czasach, gdy nie trzeba komuś grozić, że utnie mu się ucho albo zabije rodziców. Wystarczy przecież wedrzeć się do telefonu takiej osoby i wypuścić do sieci prywatne filmiki, żeby narobić jej poważnych kłopotów. „Ukryta sieć" – ekranizacja bestsellera Jakuba Szamałka – jest dzięki temu aktualna. Ogląda się ją z przejęciem, na co pracuje też sprawny montaż, jasna stawka i rozsadzająca ekran Magdalena Koleśnik. Szkoda jedynie puszczonej końcówki, w której znika jeden z kluczowych bohaterów wyposażony w istotne dla przebiegu akcji informacje. Jakby twórcy chcieli otworzyć sobie furtkę do kontynuacji, ale zapomnieli domknąć drzwi po pierwszej części.

Artur Zaborski

ZASŁUCHAJ SIĘ

Paco Peña Flamenco Dance Company

Chopin and Flamenco

NIFC

Na tej płycie znakomity gitarzysta Paco Peña i jego zespół, w skład którego wchodzą gitarzyści, flecista, perkusista, wokaliści i tancerze, grają muzykę flamenco z wplecionymi do niej znanymi utworami Fryderyka Chopina. Transkrypcji mazurka, nokturnu, dwóch walców i poloneza dokonał sam Paco Peña. Tancerzy na CD nie widać, ale słychać ich stukanie obcasami. Chopin by tak tańczył?

Bronisław Tumiłowicz

MIĘDZY OKŁADKAMI

Kate Morton

Dom w Riverton

tłum. Anna Gralak

Albatros, Warszawa 2023

Kto by pomyślał, że 98-letnia Grace, archeolożka, babka znanego pisarza, była w młodości służącą, a zawód ten jako 14-latka „odziedziczyła" po matce, pracującej dla arystokratów z Riverton. I kto by odgadł, że do ostatnich dni życia zachowała w tajemnicy okoliczności śmierci sławnego poety. Wedle oficjalnej wersji Robbie Hunter popełnił właśnie w Riverton samobójstwo. Kochały się w nim dwie siostry i obie długo już nie pożyły. „Domem w Riverton" Australijka Kate Morton rozpoczęła pisarską karierę. Tematem jej powieści, m.in. „Zapomnianego ogrodu" i „Milczącego zamku", są głęboko zagrzebane, wyparte z pamięci sekrety rodzin, z reguły angielskich, miewające źródło w fatalnych namiętnościach. Ten model doskonale się sprawdza, bo i rozwój akcji kusi, i sceneria jest malownicza, i tło historyczno-obyczajowe ciekawe. Tu mamy ścisłą hierarchię społeczną z etosem służby jaśnie państwu, który nadkrusza I wojna światowa, i młode kobiety usiłujące przełamać skostniałe zasady swojego środowiska. Hannah i Emmeline, które tak tłukły się o pręty złotej klatki, ostatecznie poniosły klęskę, to Grace nieoczekiwanie zyskała wolność, a teraz zdradza, za jaką cenę.

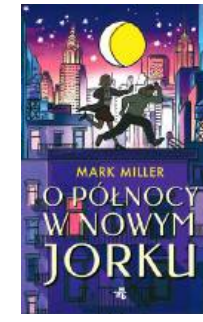

Mark Miller

O północy w Nowym Jorku

tłum. Adriana Celińska

W.A.B., Warszawa 2023

Można powieść Millera potraktować jako nowojorską playlistę, bo motto-tytuł każdego rozdziału odsyła do związanej z tym miastem piosenki – chyba że akcja przenosi się do Paryża, wtedy powinni nam śpiewać Léo Ferré, Juliette Gréco i Taxi Girl. Francuzka Lorraine, córka znanego marszanda, z paryskiej agencji reklamowej przeskakuje do Nowego Jorku. Tam, w romantycznie sypiącym śniegu, rozwiązanie znajdzie nie tylko zagadka z jej przeszłości. Ktoś, kto twierdzi, że przed laty zabił jej ojca, teraz prześladuje Lorraine, i to po obu stronach oceanu. Oprócz sensacji jest historia miłosna – los, który zawczasu przebiegle posplatał wątki, teraz doprowadza do spotkania bohaterki z malarzem Léo van Meegerenem. Ten właśnie zakończył odsiadkę za – zgodnie z nazwiskiem – fałszowanie obrazów. Nie uda mu się zacząć spokojnego nowego życia… Niezła rozrywka, z polskim akcentem, bo wszystko kręci się wokół arcydzieła malarza Victora Czartoryskiego (ale nie szukajcie go po galeriach).

Aleksandra Pańko

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 3f03bcca17

Nawiasem mówiąc

Stanisław Filipowicz

Zachód z pokładu parowca płynącego po Wiśle

Obserwując zaangażowanie, z jakim nasi politycy podkreślają swoją przynależność do świata Zachodu, można rzec: spełniło się wielkie marzenie. A jednak licho nie śpi – życie nieustannie płata nam figle. Pojawiają się otóż dzisiaj – i to wcale nie tak rzadko – poglądy, które spowodować mogą spory zamęt.

Charakterystycznym elementem światopoglądowego klimatu Zachodu staje się powoli przekonanie o nieistnieniu Zachodu, przynajmniej w takim kształcie, w jakim imaginują go sobie polscy politycy, pozostając w modlitewnym transie. Do repertuaru języka angielskiego weszło ciekawe i znamienne określenie – *unthinking of the West*, a więc „odmyślenie Zachodu". Od razu widzimy, że chodzi tu o zamysł burzycielski. Zgorszeni entuzjaści ślepej wiary zakrzykną pewnie: bluźnierstwo! Trucicielskie podszepty należy odrzucić, Zachód jest i basta!

Tymczasem obraz, do jakiego przywykliśmy, zaczyna się chwiać. Miałem ostatnio w rękach – złożę tu świadectwo mojego przeniewierczego ekscesu – książkę wielce niepokojącą: „Zachód. Nowa historia starej idei". Jej autorka, Naoíse Mac Sweeney, burzy podstawy najświętszej naszej wiary.

Aby nie wzniecać czujności tych, którzy chcieliby zostać – nie patrząc na pisowską rejteradę – bohaterskimi tropicielami rosyjskich wpływów, zaznaczę: autorka jest reprezentantką uniwersyteckiego parnasu, przez lata była związana ze środowiskami Cambridge i Harvardu. Dziś pracuje w Wiedniu. Posługując się powabną formą opowieści, stawia przewrotne pytania: jak do tego doszło, że zawładnął nami fundacyjny mit Zachodu, który rozprzestrzeniał się kosztem prawdy historycznej, eliminując wszelką wiedzę kolidującą z własnymi roszczeniami? Te roszczenia, dziś to widzimy, są bardzo kruche, proces rewizji nabiera tempa. Polityczna dyktatura mitu trwa, ale jego treść staje się bardzo, bardzo wątpliwa. Odnotujmy tylko, że już Herodot – autor „Dziejów", nazwany ojcem historii – umieścił Greków na obszarze intensywnych interakcji obejmujących Azję, Egipt, Mezopotamię. Nie zapomnijmy – porwana przez Kreteńczyków Europa była córką fenickiego króla.

Na kanwie mitu o integralnej i definitywnej odrębności Zachodu powstała potężna konstrukcja polityczna. Patrząc krytycznie i szerzej, zauważymy, że jej podstawy zaczyna zżerać erozja, ale my krytycznie i szerzej raczej spoglądać nie lubimy. Jesteśmy najgorliwszymi hołdownikami, taka natura. Dokuczał nam z tego powodu, jak pamiętamy, pan Witold Gombrowicz, który w „Dziennikach" piętnował rodzime nawyki czołobitności. Przekonywał prześmiewczo, iż Polak jest Polakiem tylko wtedy, gdy myśli na klęczkach, gdy korzy się przed jakąś chwalebną prawdą, gdy rusza w tany, dźwigając chorągwie niezłomnej wiary. Czy nie miał racji?

Chorągwie niezłomnej wiary nadal powiewają, ale w polityce obozu władzy mamy do czynienia z przedziwnym rozkojarzeniem. Umysłowość hołdownicza nakazuje uwielbienie Zachodu, ale podgryza ją zły duch sprzeciwu. Za kurtyną pochlebczej euforii ukrywają się zadziwiające nonsensy. Spójrzmy na fakty – na politykę wobec Berlina, Brukseli, na maniakalne oskarżenia i obsesyjne fochy. Jaś Fasola stracił cierpliwość i grozi palcem? Ale poważnie – czy można być częścią Zachodu, prowadząc z nim jednocześnie wojnę? Hamlet to azaliż czy lot nad kukułczym gniazdem? Błąkamy się pomiędzy Wschodem a Zachodem i nie chcemy być ani tu, ani tu. A może jest w tym jakieś rozpaczliwe wołanie – partia, przewodnia siła narodu, wzywa: „Odkochajcie się!".

Błąkamy się pomiędzy Wschodem a Zachodem i nie chcemy być ani tu, ani tu.

I co teraz będzie z naszym Zachodem, ulotni się tak jak Morze Aralskie? Wyrywaliśmy się nad oceany, a tu kałuża została? Straszne! A jeszcze przeczytać dziś można, że pojęcie Zachodu ma zabarwienie rasistowskie, że jest obarczone kulturowym bagażem pogardy. W najlepszym razie bagażem protekcjonalnego lekceważenia. Coś w tym jest – w okresie, gdy mit Zachodu (w dużej mierze za sprawą amerykańskich ambicji, przemawiających ustami prezydenta Wilsona) dojrzewał, mówiło się łaskawie o „rasowym rozwoju". Takie właśnie określenie – *race development* – figurowało w tytule pisma, które było poprzednikiem magazynu „Foreign Affairs". Przyjmowano, że rasy „niższe" powinny sumiennie naśladować rasy „wyższe". Zapowiadało się wszystko wspaniale – piękny byłby świat, w którym wszystko stałoby się Zachodem, słońce też przystałoby do „ras wyższych" i wschodziło na zachodzie. Na razie jest inaczej.

Są jednak i dobre wiadomości – wstaliśmy wreszcie z kolan. Na festynach wyborczych partii rządzącej, „z miłości do Polski" ogłaszany jest upadek Zachodu. Czyli ostatecznie stanęliśmy na wyżynach trendów dziejowych. Harvard nie jest nam potrzebny. Bierzmy się zatem spokojnie za własne sprawy, tak jak trzej przedsiębiorcy z Gombrowiczowskiego „Trans-Atlantyku", urzędujący pod szyldem: „Baron, Ciumkała, Pyckal, Koński Psi Interes". ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3f03bcca17

Gleba przede wszystkim

Jeżeli całkowicie uprzemysłowimy wytwarzanie żywności, to w końcu zaczniemy umierać z głodu

Rozmawia Tomasz Borejza

PROF. PAULINA KRAMARZ
– biolożka z Uniwersytetu Jagiellońskiego, współtwórczyni serwisu Nauka dla Przyrody

Jak bardzo uprzemysłowiona jest dziś produkcja żywności?

– Bardzo, co jest kompletną paranoją. W tej chwili rolnictwo przemysłowe, czyli bazujące na wielkoobszarowych monokulturach. i fermy, zajmuje ok. 70% wszystkich zasobów rolnych, w tym ziemi. A wytwarza żywność jedynie dla 30% ludzkości, i to jej bogatszej części, czyli mieszkańców Europy, Ameryki Północnej, części Azji i Oceanii – miejsc, które są nazywane globalną Północą. Mamy skłonność do patrzenia na cały świat z jej perspektywy, choć to są 2-3 mld ludzi. Rolnictwo przemysłowe żywi dziś głównie ich. Resztę wciąż zaopatrują małe i średnie gospodarstwa rodzinne. W Polsce też jeszcze częściowo polegamy na takim gospodarowaniu. Wbrew pozorom tak jest efektywniej.

Jak to wygląda w Polsce?

– Jeszcze kilka lat temu mieliśmy ok. 60% małych i średnich gospodarstw, ale to bardzo szybko się zmienia. Małe hodowle i gospodarstwa znikają. Mniej więcej w ostatniej dekadzie straciliśmy ok. 190 tys. gospodarstw – i ten proces trwa. Dlaczego tak się dzieje? Wśród przyczyn można wymienić niskie ceny skupu oraz niepewność, czy uda się sprzedać to, co się wytworzyło, za cenę zapewniającą godziwy zarobek. Dziś ceny dyktują wielcy gracze. To możliwe z powodu skali produkcji w rolnictwie przemysłowym, ale nie tylko. Przewagę zapewnia im również to, że nie muszą ponosić kosztów związanych z dewastacją przyrody, którą powodują. Są oni także hojnie dotowani przez rządy właściwie wszystkich zamożniejszych państw świata. Prowadzi to do tego, że mali rolnicy bankrutują, młodsze pokolenie opuszcza wieś, a społeczności wiejskie się starzeją.

Niestety, uprzemysłowienie postępuje, chociaż jest irracjonalne – również ze względu na bezpieczeństwo żywnościowe. Nie trzeba nawet żadnych badań naukowych, żeby zrozumieć, dlaczego tak jest. Kiedy posiadasz wielki obszar, na którym uprawiasz jedną roślinę, czyli monokulturę, albo chów zwierząt skoncentrowany w niewielu budynkach, to wystarczą grad, pożar lub choroba – i tracisz wszystko. Ekstremalny przykład tego widać w Ukrainie, gdzie jedna rosyjska bomba doprowadziła do śmierci wszystkich kurcząt w gigantycznej fermie, jednej z największych w Europie. Wystarczyła jedna bomba i z milionów zwierząt nie zostało nic.

Ważne jest także to, że uprawy oraz hodowle zróżnicowane gatunkowo – w tym pod względem odmian i ras – są odporniejsze również na klęski żywiołowe i choroby. Kiedy hodujemy różne zwierzęta i uprawiamy różne rośliny, to zawsze coś okaże się silniejsze i przetrwa. W przypadku upraw można nawet tak dobierać gatunki, by się nawzajem uzupełniały – podobnie jak w naturalnych ekosystemach. Na przykład jedne odstraszają potencjalne szkodniki, a drugie osłaniają glebę przed wysychaniem, jeszcze inne wzbogacają glebę o azot. To ostatnie robią choćby rośliny motylkowe, czyli np. fasole. Zresztą to bardzo znany przykład.

Wytwarzanie żywności to dziś po prostu przemysł?

– W dużej mierze tak. Produkcja żywności to wielki biznes, na którym zarabia kilka – ta liczba jest

eprasa.pl 3f03bcca17

coraz mniejsza, bo molochy się łączą – wielkich koncernów. Nie tylko spożywczych, takich jak Nestlé, PepsiCo, Coca-Cola, Cargill czy JBS. Także biochemicznych: Bayer, Syngenta i BASF. Kilka z nich pochodzi z Europy. Aż dwa z malutkiej Szwajcarii: Nestlé i Syngenta. Przerażającą ciekawostką jest to, że w Europie produkuje się środki przeznaczone dla rolnictwa, które są na naszym kontynencie zakazane. W tym pestycydy. Eksportuje się je m.in. do Brazylii, z której później importuje się żywność wyprodukowaną za pomocą substancji niedozwolonych u nas. Kontrola jest bardzo słaba, choć ostatnie postanowienia Unii Europejskiej dają nieco nadziei na zmiany.

W takim rolnictwie jest coś złego?

– Rolnictwo przemysłowe, którego podstawą są wielkoobszarowe monokultury i fermy przemysłowe i które stosuje tzw. chemię rolną, czyli nawozy sztuczne i syntetyczne środki ochrony roślin, jest niesamowicie niestabilne. Jednolite uprawy na dużych obszarach, czyli wspomniane wielkoobszarowe monokultury, są bardzo podatne na występowanie niepożądanych organizmów żerujących na tych monokulturach, w tym owadów. Używa się więc ogromnych ilości insektycydów, czyli pestycydów zabijających owady. Aby usunąć gatunki roślin zwane chwastami, stosuje się z kolei herbicydy – pestycydy zabijające rośliny. Wykorzystuje się też np. fungicydy przeciwko grzybom, rodentycydy przeciwko gryzoniom, nematocydy przeciwko nicieniom, a w hodowlach zwierząt – antybiotyki. Jest to cała gama toksycznych substancji. Efektem takich zabiegów, ze stosowaniem nawozów sztucznych włącznie, jest dramatyczne wyjaławianie gleby. I dopiero ostatnio zaczęto zwracać na ten problem więcej uwagi.

Dlaczego?

– Przed dopuszczeniem danego środka do użycia testuje się głównie jego szkodliwość dla ludzi. I może też dla tzw. gatunków pożytecznych, np. pszczoły miodnej. Zupełnie pomija się jednak to, co jest w ekosystemach najważniejsze. Glebę. A wszystkie te substancje są toksyczne dla mniejszych lub większych organizmów glebowych, które ją tworzą. Również dla mikroorganizmów, m.in. dla grzybów mikoryzowych.

Co robią te grzyby?

– Wszyscy dobrze je znamy, bo Polacy najbardziej lubią tę ich część, która wyrasta ponad ziemię, czyli owocniki. To kozaki, maślaki, podgrzybki, prawdziwki… Ich rola w funkcjonowaniu ekosystemów jest bardzo ważna. Praktycznie każda roślina w warunkach naturalnych wchodzi w symbiozę – można powiedzieć, że współpracuje – z jakimś gatunkiem grzyba mikoryzowego. Grzyby te na różne sposoby łączą się z systemem korzeniowym roślin i pomagają im pobierać substancje mineralne z gleby. Zapewniają mikroelementy swoim symbiontom, chronią je też przed różnymi mikroorganizmami patogennymi. W zamian za to roślina dzieli się z grzybem substancjami odżywczymi, które wytworzyła z jego pomocą. I właśnie dla tych grzybów toksyczne są choćby wspomniane fungicydy, nawozy sztuczne, ale i herbicydy.

Jedną z tych substancji jest glifosat – herbicyd do zabijania niepożądanych roślin, na całym świecie stosowany najczęściej ze wszystkich pestycydów. Środek bardzo kontrowersyjny, o którym raz się mówi, że jest szkodliwy dla człowieka, a raz – że nie. To, czy szkodzi nam bezpośrednio, czy też nie, to jednak rzecz drugorzędna. Najważniejsze bowiem, że jest toksyczny dla mikroorganizmów glebowych, w tym grzybów mikoryzowych. A bez gleby na dłuższą metę sobie nie poradzimy. O tym, jak jest ważna, właśnie się przekonujemy, bo przybywa wyjałowionych obszarów. Konieczność ochrony gleby to bardzo mocny argument przeciwko stosowaniu nawozów sztucznych i pestycydów.

Używamy ich za dużo?

– Tak naprawdę nie potrzebujemy nawozów sztucznych. Zostały one wymyślone na początku XX w. w wyniku założenia, że wzrost organizmów najmocniej ogranicza to, czego mają one najmniej. Uznano, że roślinom do szczęścia potrzebne jest tylko kilka pierwiastków, w tym azot, fosfor i potas. W ślad za tym Fritz Haber opracował technologię produkcji nawozów azotowych. Ten człowiek – co jest w pewnym sensie symboliczne – wymyślił także gazy bojowe. Już wtedy pojawiały się głosy, że ważniejsza jest gleba i że kiedy się o nią dba, to nie potrzebuje ona żadnych sztucznych nawozów. Zdarzyło się to niestety w dość fatalnym okresie dla ludzkości, bo w XX-leciu międzywojennym, po którym przyszła II wojna światowa. Jednym z jej skutków był głód, trzeba więc było zareagować. A nawozy sztuczne mają taką właściwość, że na krótki czas – zanim gleba zostanie wyjałowiona – mogą bardzo zwiększyć plony. Był to jednak tylko jeden z powodów.

Drugi?

– Fabryki, które produkowały broń. Po wojnie broń stała się w dużej mierze niepotrzebna. Trzeba było więc wymyślić dla firm produkcyjnych inne zadanie. Zaproponowano m.in. produkcję nawozów sztucznych oraz pestycydów. Krótko po tym, w latach 60. XX w., rozpoczęła się też tzw. zielona rewolucja, w wyniku której – dzięki opracowaniu nowych odmian roślin, odporniejszych na warunki środowiskowe i zapewniających lepsze plony – problem głodu na świecie miał się rozwiązać. To, jak wiemy, niestety się nie udało. Zielona rewolucja przyniosła jednak skutek uboczny: zwiększenie

W tej chwili rolnictwo przemysłowe, zajmuje ok. 70% wszystkich zasobów rolnych, a wytwarza żywność jedynie dla 30% ludzkości, i to jej bogatszej części.

Głodnych i niedożywionych nadal liczymy w setkach milionów.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 3f03bcca17

stosowania nawozów sztucznych i syntetycznych pestycydów.

Jednym z przykładów, jak bardzo mogą one być szkodliwe, jest sytuacja indyjskich rolników, których namówiono do stosowania nawozów sztucznych. Dzięki temu przez kilka pierwszych lat plony były doskonałe. Działa to mniej więcej tak, jakbyś jadł głównie cukier. Na początku będziesz rósł szybko, ale po pewnym czasie zaczniesz chorować, bo jednolita dieta ci zaszkodzi. Coś takiego stało się w Indiach, gdzie w wyniku chwilowego wzrostu plonów spadły ceny. To z kolei spowodowało, że rolnicy musieli zwiększyć produkcję, by móc się utrzymać. Coraz intensywniejsza produkcja bardziej obciążała glebę i ostatecznie doprowadziła do jej wyjałowienia, a także do dużego zasolenia. W efekcie uprawianie takiej gleby stało się praktycznie niemożliwe, więc rolnicy stracili źródło dochodów. To było przyczyną licznych samobójstw.

Jednocześnie nie rozwiązano problemu głodu. Głodnych i niedożywionych nadal liczymy w setkach milionów. I to pomimo że – jak podaje Organizacja Narodów Zjednoczonych ds. Wyżywienia i Rolnictwa (FAO) – wytwarzamy żywność, która wystarczyłaby dla 12 mld ludzi. Znakiem naszych czasów jest to, że głodujących jest na świecie prawie tyle samo, ile osób bardzo otyłych. To dwie strony tego samego medalu. W krajach biednych najbiedniejsi nie mają co jeść. W krajach bogatych jedzenia jest wprawdzie pod dostatkiem, ale wybór jest ograniczony, a jakość produktów spożywczych często jest bardzo zła. Zawierają one np. duże ilości cukru i tłuszczy, czego skutkiem jest m.in. epidemia chorobliwej otyłości. Widać to także w naszym kraju – sporą nadwagę ma już ponad połowa Polaków, a otyła jest jedna czwarta polskiej populacji.

Problemy z wyjałowieniem gleby, o których mówisz, rozwiązuje się obecnie dzięki tzw. drugiej zielonej rewolucji – przy użyciu biotechnologii.

– Tylko po co? Czy nie moglibyśmy chociaż w rolnictwie bazować nie na technologii, ale na wiedzy biologicznej i przyrodniczej? A także społecznej? Od tysiącleci wiemy, jak upodobnić proces wytwarzania żywności do procesów zachodzących w naturalnych ekosystemach. Jeżeli tylko odpowiednio dobierze się gatunki i odmiany roślin oraz zwierząt, to pracy jest nawet mniej. To tak jak z lasem, którego przecież nie musisz uprawiać, bo naturalny ekosystem sam się kręci. A nie są to wszystkie zalety.

Taka zmiana wyszłaby nam na zdrowie. Współczesna dieta opiera się na trzech podstawowych zbożach – pszenicy, ryżu i kukurydzy. Gdybyśmy zaczęli wytwarzać żywność inaczej, moglibyśmy wzbogacić jadłospis o wiele innych gatunków roślin. Znamy ich ok. 30 tys. O większości zdążyliśmy jednak zapomnieć, bo przemysł spożywczy uprawia to, co jest najwygodniejsze dla niego. Oczywiście nie jestem przeciwna temu, by naukowcy pracowali nad możliwościami genetycznych modyfikacji roślin. Takie jest zadanie nauki. Ale mamy rozwiązania lepsze od biotechnologii. Można zacząć od zadbania o glebę, o organizmy, które ją tworzą. Albo od wybrania gatunków i odmian znanych ludziom żyjącym na określonych terenach, dobrze przystosowanych do warunków lokalnych. I często okazuje się, że nawet jeżeli te uprawy dają mniejsze plony, to są dużo odporniejsze choćby na susze.

A jednak produkcja żywności w Indiach na skutek zielonej rewolucji wzrosła i dalej rośnie.

– Indie są ciekawym przykładem, bo pokazują, że głód jest wynikiem nie braku żywności, ale złej dystrybucji. Dlatego w walce z tym problemem najważniejsza nie jest jak największa produkcja. Szczególnie że – również w skali świata – jedzenie wytwarza się z nadwyżką. Istotniejsze jest to, do kogo i w jaki sposób ono trafia. Podczas zielonej rewolucji nie dostrzeżono, że głód to problem społeczny. Jest wszechobecny pomimo wzrostu produkcji żywności. Klęski głodu w różnych krajach na ogół nie były i nie są wynikiem braku pożywienia – tego na świecie jest dość. Wynikały z tego, że nie trafiało ono do głodnych. Albo z tego, że zamiast żywności uprawia się produkty na eksport. Takie jak bawełna.

To nie są skutki używania nawozów sztucznych.

– Skutkiem stosowania nawozów sztucznych jest to, że rolnicy w pewnym sensie się od tych środków uzależniają. Obecnie wielu rolników nie wyobraża sobie, jak można uprawiać żywność bez nawozów sztucznych. A ich nadużywanie ma długoterminowe konsekwencje, co doskonale widać również w Polsce. Mamy poważny problem z zakwaszeniem gleb, a gdy spada pH, to wszelkie substancje – w tym odżywcze – dużo łatwiej wypłukują się z gleby. Nie ma także zbyt wielu upraw kwasolubnych. Ten problem w wielu miejscach jest wynikiem właśnie nadużywania nawozów sztucznych. Mamy więc błędne koło: używamy środków, które są niepotrzebne, a przez to doprowadzamy do sytuacji, w której stają się one niezbędne, bo gleba staje się zbyt jałowa, by można było uprawiać na niej cokolwiek bez pomocy środków chemicznych. Uzależniamy się więc od nich coraz bardziej. W reakcji na problemy co najwyżej dodajemy kolejne środki. Takie jak wapno, które ma obniżyć kwasowość gleby. Produkujemy więc coraz więcej różnych preparatów, które dodatkowo musimy rozprowadzać po polach. (…)

Gdybyśmy zaczęli wytwarzać żywność inaczej, moglibyśmy wzbogacić jadłospis o wiele gatunków roślin. Znamy ich ok. 30 tys.

Fragment rozmowy z książki Tomasza Borejzy *Odwołać katastrofę. Rozmowy o klimacie, buncie i przyszłości Polski*, Znak Horyzont, Kraków 2023

eprasa.pl 3f03bcca17

Oko w oko

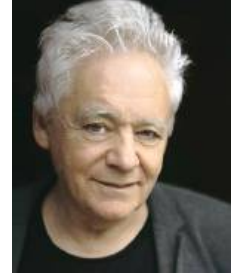

Tomasz Jastrun

Nie tylko w Jerozolimie

Lot do Izraela o późnonocnej godzinie, więc nawet nie myślałem, by się kłaść spać. Potem nową szybką kolejką do centrum Jerozolimy. I taksówką do Karoliny. Taksówkarz dubluje cenę, o czym dowiadujemy się potem. Po raz drugi coś takiego zdarza mi się w Jerozolimie. Nie rozumiał nic po angielsku, więc na pewno Arab. Nieprzyjemne uczucie bycia oszukanym, bliskie zatruciu pokarmowemu. Złość najpierw na Izrael, a potem – rzecz jasna – na Arabów. Wszyscy miejscowi mówią, jak w Izraelu jest teraz obrzydliwie. Lewicy prawie nie ma, jak u nas. Jest mocne centrum, jak u nas, i jest obszerna prawica, jak u nas okropna, ale tu o wiele bardziej skomplikowana. To głównie ortodoksi, ludzie z innej planety, jest ich 1,5 mln; pomyśleć – 1,5 mln ojców dyrektorów, na dodatek z pejsami i w czarnych chałatach. Jest też prawica religijna, mniej ortodoksyjna, ale także okropna. Są Żydzi z Rosji, niereligijni, ale prawicowi. I jest partia osadników, to ci uzbrojeni, którzy nielegalnie budują osiedla na spornych ziemiach okupowanych. Te ziemie, i dalsze, uznają za ofiarowane im przez Boga 5 tys. lat temu, więc trzeba je odzyskać. Religijni wierzą, że Mesjasz wkrótce ich osobiście nawiedzi. A na razie dniami i nocami studiują święte księgi. Osadników liberalni nazywają faszystami. I jest stary, ale żywy podział na Żydów aszkenazyjskich, z Europy, i sefardyjskich, afrykańsko-azjatyckich, nazywanych potocznie wschodnimi. Mają ciemniejszą karnację i są zwykle mniej wykształceni, uważają, że byli i są dyskryminowani. Karolina mówi słowa, które mnie poruszają: „Zrobiło się tu tak obrzydliwie, że gdybyśmy wiedzieli, że tak tu będzie, nie przyjechalibyśmy do ziemi obiecanej". Miała 15 lat, gdy w 1950 r., cudem ocalona, przybyła tu z Polski. Jej rodzina to teraz cała masa wnuków i prawnuków, jedna z wnuczek ma 25 lat i już jest kapitanką izraelskiego wojska. Dwie inne wnuczki to prawniczka i informatyczka. Jest również Icchak, pamiętam go jako małego, delikatnego chłopczyka, a był w elitarnym oddziale do zadań specjalnych poza granicami Izraela, teraz studiuje w Budapeszcie medycynę. To tylko mała część potomków Karoliny, więc trudno powiedzieć, że nie jest tu zakorzeniona. Tym bardziej bolesne jest takie wyznanie.

Karolina ma 88 lat, nadal gra zawodowo w brydża, w domu pełno pucharów za wygrane turnieje, chodzi na kurs tańca, a teraz właśnie jedzie do szpitala Hadassa, gdzie od lat wózkiem rozwozi chorym dzieciom książki ze szpitalnej biblioteki. Mówi, że ma coraz mniej pracy, dzieci żydowskie już nie czytają książek, a kiedyś bardzo dużo czytały. Teraz jest telewizja i gry, za to czytają dzieci arabskie, których sporo w szpitalu.

•

W 35-stopniowy upał piechotą do starego miasta. Krążyliśmy po wielkim bazarze, bazylika Grobu Pańskiego częściowo w remoncie. Na Ścianę Płaczu już nie mieliśmy siły. Popłaczemy tam w inny dzień. Tel Awiw – rozmnożyły się wieżowce, Warszawa odpada, nie poznaję miejsc, które tak dobrze znałem. I wszędzie buduje się nowe wieże.

Spotkanie z Łukaszem, mieszka tu od 10 lat, początkujący reżyser z Polski, znalazł sobie żydowskiego dziadka i tym się przejął. Zrobił świetny film dokumentalny, pisałem o tym niedawno. I znowu rozmowy, jak okropnie jest w Polsce i jak strasznie w Izraelu. Kelnerka, młoda dziewczyna, gdy dowiedziała się, skąd jesteśmy, pyta mnie, czy chora demokracja w Polsce nie przekłada się na sytuację ekonomiczną, potem pyta, czy nie boję się, że wyrzucą nas z Unii. Odpowiadam, że boję się. Dziewczyna w trwodze, co będzie z Izraelem, też chodzi na manifestacje, które tu mają ogromną skalę.

Prawica to głównie ortodoksi, jest ich 1,5 mln; pomyśleć – 1,5 mln ojców dyrektorów.

Potem jedziemy na plażę – piękna, piaszczysta i chociaż to obrzeże wielkiego miasta, nie tak tłoczna jak choćby w małych Dębkach. Las wysokich hoteli nad brzegiem, morze jak ciepła, słona zupa, ale rozkoszna, odmładzająca kąpiel. Malutki, przytulny McDonald's, dzieci nareszcie szczęśliwe.

Straszny ból głowy z biletami. Są elektroniczne, doładowuje się je, ale nie ma gdzie tego zrobić. Jedziemy na gapę. Zaczepiamy młodego chłopaka, świetnie mówi po angielsku, ale równie dobrze po rosyjsku. Jego rodzice przyjechali tu z Ukrainy. Proponuje, że doładuje nasze bilety ze swojej komórki. Nawet nie pyta, czy mamy gotówkę, by mu oddać. Niewiarygodne. Nie mamy dokładnej sumy, macha ręką na kilkanaście szekli. Skąd się biorą tacy ludzie?

Gładka podróż do Jerozolimy już nie na gapę jak w Tel Awiwie. Spacer pod górę do domu. Świecą się oczy bezdomnych kotów, których tu bez liku.

■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3f03bcca17

(NIE)ZDROWY SEKS

W pierwszym półroczu 2023 r. odnotowano czterokrotnie więcej zarażeń chorobami wenerycznymi niż rok wcześniej. Winny jest m.in. brak edukacji seksualnej

Kornel Wawrzyniak

Z raportów Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego wynika, że liczba zakażeń chorobami wenerycznymi wystrzeliła rok do roku niczym rakiety Elona Muska w kosmos. Od stycznia do końca czerwca 2023 r. wykryto dwukrotnie więcej przypadków samej kiły niż w tym samym okresie w 2022 r. Zaobserwowano również wzrost zachorowań na inne częste choroby weneryczne. Przypadków rzeżączki jest w tym roku prawie pięciokrotnie więcej niż w 2022 r. – 757, podczas gdy w 2022 r. 174. Jest też spory problem z chlamydiozą (270 przypadków w 2023 r. i 180 w 2022 r.). Dane są o tyle zastanawiające, że największy wzrost zachorowań na choroby weneryczne odnotowuje się zwykle w okresie powakacyjnym. Lato sprzyja przygodnym kontaktom i bardziej ryzykownym zachowaniom seksualnym. Dlaczego więc już przed wakacjami mieliśmy tyle zakażeń?

Rosnące statystyki

– Widoczny wzrost wykrywanych zakażeń to złożony problem. Po pierwsze, wiąże się ze wzrastającą wykrywalnością chorób wenerycznych. Ta zaś wynika z większej świadomości społecznej. Widać ją w kontakcie z pacjentami, którzy coraz chętniej badają swoje dolegliwości, pojawiające się w różnych częściach organizmu. Zwiększyły się także możliwości i dostępność badań pod kątem wykrywania chorób wenerycznych. Inny aspekt to popularność mediów społecznościowych wśród młodych osób. Influencerzy promują w internecie różne zachowania, często niezbyt mądre, które mogą zwiększać prawdopodobieństwo nieprzemyślanych kontaktów seksualnych np. bez zabezpieczeń – wyjaśnia internistka dr n. med. Olga Rostkowska, wiceprezes Okręgowej Rady Lekarskiej w Warszawie.

Niepokojące są zwłaszcza statystyki dotyczące zachorowań na kiłę. W samym czerwcu br. odnotowano 267 przypadków. Od początku 2023 r. do końca czerwca było ich już ponad 1,5 tys. Warto pamiętać, że są to jednak dane zaniżone, ponieważ wiele osób nie zgłasza się, póki objawy choroby nie stają się uciążliwe w codziennym funkcjonowaniu.

– Często pojawia się pytanie, jak to jest, że ktoś ma chorobę weneryczną i o niej nie wie. Trzeba pamiętać, że pewne choroby rozwijają się przez jakiś czas, nie dając objawów od razu. To nie znaczy, że osoba bezobjawowa nie może już wtedy zakażać. Część osób ignoruje też wysyłane przez ich ciało sygnały, które mogą świadczyć

eprasa.pl 3f03bcca17

o infekcji i konieczności zbadania się. Jeszcze inni bagatelizują i wypierają sytuację, twierdząc, że jest to wpisane niejako w ich styl życia – tłumaczy dr Rostkowska.

Zatrważające jest to, że w tym roku wykryto już trzy przypadki kiły wrodzonej. Eksperci podkreślają, że takiej sytuacji nie było w Polsce od ponad 40 lat. I choć choroby weneryczne są tematem wielu żartów, trzeba sobie zdawać sprawę, że nieleczone choroby przenoszone drogą płciową mają poważne konsekwencje zdrowotne.

Szczególnie trzeba uważać właśnie na kiłę. Jeśli pacjent zignoruje jej wczesne objawy, to nieleczona potrafi uszkodzić nawet po kilkunastu latach od zakażenia układ nerwowy lub krążeniowy, powodując m.in. zaniki pamięci czy zawał. Wczesne objawy choroby potrafią zaś być niepozorne. Oprócz dość oczywistych symptomów, takich jak zmiany skórne w postaci niewielkich i bezbolesnych owrzodzeń na narządach płciowych czy w jamie ustnej, można mieć np. bóle głowy albo powiększone węzły chłonne. A to można wziąć po prostu za przeziębienie lub grypę.

Dlatego profilaktyka w przypadku aktywnego życia seksualnego jest ważna. Kobieta chora na kiłę będąca w ciąży może zakazić płód, gdyż istnieje spore prawdopodobieństwo, że bakterie przenikną przez łożysko. Z tego powodu lekarze od lat przekonują, że każda kobieta, która planuje lub zaszła w ciążę, powinna w zestawie pierwszych badań zweryfikować, czy nie jest zakażona krętkiem bladym. Choroba jest na tyle przewrotna, że kiłę można przenieść nawet pocałunkiem. Tymczasem wcześnie rozpoznanego krętka bladego da się całkowicie wyleczyć. Im później pacjent się zdiagnozuje, tym trudniejsze będzie leczenie. Dlatego nie należy lekceważyć żadnych objawów, choćby wydawały się błahe.

Seks po polsku

Oczywiście nie brakuje nad Wisłą takich, którzy na różne sposoby urozmaicają swoje życie seksualne.

– Sporo osób dziś eksperymentuje, mam tutaj na myśli nie tylko wolność seksualną, ale też chemseks, czyli wzmacnianie doznań różnymi substancjami psychoaktywnymi. Utrata pełni świadomości prowadzi niekiedy do ryzykownych zachowań, po których można zostać z taką przykrą pamiątką jak choroba weneryczna – podkreśla wiceprezes Okręgowej Rady Lekarskiej w Warszawie.

Jednak nie można stwierdzić, że wzrost zakażeń wiąże się z większą rozpustą wśród mieszkanek i mieszkańców Polski. Z Narodowego Testu Zdrowia Polaków 2022, który zlecił portal Medonet, wynika, że w ubiegłym roku uprawiano mniej seksu niż w latach 2020-2021.

Największą zmianę odnotowano w grupie osób, które w ogóle nie uprawiają seksu. Jest to obecnie 26% dorosłych Polaków i Polek, o 2 pkt proc. więcej niż w 2021 r. i 5 pkt proc. więcej niż w 2020 r. Co jednak najbardziej zaskakuje, największy odsetek takich osób jest w grupie wiekowej 18-24 lata, stereotypowo traktowanej jako bardzo aktywna seksualnie. Tymczasem grupą najczęściej uprawiającą seks są osoby w wieku 35-44 lata. Upada również mit o rozwiązłości singli. Statystyki pokazują, że to osoby będące w związkach częściej uprawiają seks. Raz w tygodniu seks uprawia 28% Polek i Polaków żyjących w związkach, w wypadku singli to 19%. Dwa-trzy razy w tygodniu – 47% osób w stałych związkach i zaledwie 11% singli. Wyniki nie zmieniły się jedynie w grupie osób, która uprawia seks codziennie. To 2% Polaków i 1% Polek. Ta liczba była dokładnie taka sama zarówno w 2021, jak i w 2020 r. W tym kontekście upadają więc fantazje mizoginów z prawicy o rozwiązłości młodych singielek, zepsutych zachodnimi ideologiami i cywilizacją śmierci.

Jeśli chodzi o zadowolenie ze swojego życia seksualnego, to w badaniu „Zdrowie, relacje w związkach i życie seksualne Polek i Polaków w czasach pandemii COVID-19", które przeprowadzono na UW, 51% respondentów pozytywnie oceniało swoje pożycie. Najbardziej zadowolone były osoby w wieku od 30 do 49 lat (59% odpowiedzi „bardzo dobrze" i „raczej dobrze"), a także osoby między 18. a 29. rokiem życia (55% odpowiedzi pozytywnych).

Gorzej wśród Polaków jest ze świadomością, że trzeba się zabezpieczać. W szczególności gdy w grę wchodzą przygodne kontakty seksualne. – Właściwie należy założyć, że wszystkie osoby aktywne seksualnie są potencjalnie narażone na infekcję. Drobnoustroje, które zakażają, mogą się znajdować w okolicy narządów płciowych i w wyniku powstających mikrourazów przeniknąć do organizmu. Dlatego tak ważna jest higiena, ale przede wszystkim zabezpieczanie się prezerwatywą, czyli tzw. barierą mechaniczną. I jest to coś, co trzeba do znudzenia powtarzać i młodszym, i starszym – wyjaśnia dr Rostkowska.

– Kolejny problem to osoby wchodzące w związki monogamiczne, które z automatu przestają się badać. Najczęściej nie badają się też przed wejściem w taką relację. Nie mają więc świadomości, czy tak naprawdę nie przenoszą jakiejś choroby. Życie pisze zaś różne scenariusze. Weźmy osoby, które są ze sobą 15-20 lat.

Przemysław Czarnek walczy z edukacją seksualną, nazywając ją niemoralną, i zarzuca seksualizację dzieci.

Trzeba otwarcie mówić o chorobach wenerycznych. Edukacja powinna się zaczynać już w szkole i być prowadzona przez edukatorów seksualnych.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 3f03bcca17

W tak długi związek wkrada się często obojętność i narastają konflikty. Dzieci najczęściej wyprowadzają się już wtedy z domu i pojawia się potrzeba udowodnienia sobie, że jest się atrakcyjną, atrakcyjnym. Wtedy często dochodzi do różnych przypadkowych kontaktów seksualnych, a te niosą ryzyko infekcji – przypomina Katarzyna Banasiak-Marszałek, koordynatorka ds. edukacji Grupy PONTON przy Fundacji Federa.

Wszystkie osoby aktywne seksualnie są potencjalnie narażone na infekcję.

Edukacja najlepszą profilaktyką

Jeśli chodzi o wiedzę, że należy się zabezpieczać przed chorobami wenerycznymi, w każdej grupie wiekowej wygląda to inaczej. Co ciekawe, mądrość nie przychodzi z wiekiem, lecz jest związana ze świadomością, jaką mają różne pokolenia Polek i Polaków.

– Jeżeli chodzi o grupę w wieku 20-25 lat, to świadomość, że trzeba się badać, rośnie. Stąd rosnąca liczba robionych testów. Jednak sporo pozytywnych wyników świadczy o tym, że brakuje wiedzy, jak się zabezpieczać. W trudnym położeniu są osoby poniżej 18. roku życia, które się nie badają, ponieważ, aby niepełnoletnia osoba mogła pójść do lekarza, musi mieć zgodę rodziców. To w polskim społeczeństwie, które seks traktuje jako tabu, dość patowa sytuacja. Trudno zakomunikować rodzicom, że ich nastoletnie dziecko ma potrzebę przebadania się pod kątem infekcji przenoszonej drogą płciową – mówi Katarzyna Banasiak-Marszałek.

Problemem jest robienie z chorób wenerycznych tematu tabu, co zgodnie podkreśla większość specjalistów. – Jeśli chodzi o profilaktykę, to trzeba otwarcie mówić i nie wstydzić się tematu chorób wenerycznych. Edukacja powinna zaczynać się już w szkole i być prowadzona przez edukatorów seksualnych. Trzeba rozmawiać i odpowiadać na pytania młodych ludzi. Gdyby zdjąć z tego tematu otoczkę tabu, okaże się, że to choroby jak wiele innych, które często we wczesnym stadium można szybko wyleczyć. Brakuje też akcji społecznych widocznych w mediach i internecie. Należałoby także pomyśleć nad ogólnodostępnymi źródłami sprawdzonych informacji. Na koniec najważniejsze, czyli kontrola i badanie się – wylicza wiceprezes Okręgowej Rady Lekarskiej w Warszawie. – Ponieważ dla osób aktywnych seksualnie to najlepsza droga do tego, żeby pomóc sobie i innym.

Specjaliści jedno, a minister edukacji Przemysław Czarnek drugie. Szef MEiN walczy z edukacją seksualną, nazywając ją niemoralną, i zarzuca seksualizację dzieci. Jedyną „słuszną" alternatywą jest dla ministra przedmiot o nazwie wychowanie do życia w rodzinie. „Edukacja seksualna to jest edukacja na temat ciała człowieka, na temat organizmu człowieka, na temat narządów, również narządów rozrodczych człowieka. Ona jest w programie nauczania w polskich szkołach, w ramach wychowania do życia w rodzinie, którego nauczamy od IV klasy, czy w ramach lekcji biologii. Ona jest podawana tak, jak nam była podawana (...) od wielu, wielu lat w sposób absolutnie niedemoralizujący, w sposób odpowiedni dla odpowiedniego wieku", zapewniał w mediach.

Pewne choroby rozwijają się przez jakiś czas, nie dając objawów od razu.

Problem polega na tym, że Czarnek, mówiąc o „nas", myśli m.in. o sobie, a więc o pokoleniu obecnych 45-, 50-latków, u których z wiedzą z zakresu edukacji seksualnej jest słabo, co potwierdzają badania. – Grupą, która ma małą wiedzę z zakresu edukacji seksualnej, są osoby około pięćdziesiątki, które nie miały skąd wziąć w młodości wiedzy na ten temat. Niektóre osoby mające dziś ponad 50 lat nabywały pewną wiedzę, wychowując swoje dzieci. Na szarym końcu są seniorzy, u których nie istnieje nawet świadomość, że można taką chorobą się zarazić – wyjaśnia edukatorka z Grupy PONTON.

Można zatem założyć, że działania ministra Czarnka są szkodliwe, bo nie opierają się na aktualnej wiedzy. To działa na niekorzyść dzieci, które minister tak bardzo chce podobno chronić. Szczególnie gdy w grę wchodzą osoby nastoletnie. – Z wiedzą dzisiejszych nastolatków bywa bardzo różnie. Część ma bardzo dużą świadomość, część nie ma jej praktycznie w ogóle, a jest aktywna seksualnie. To niepokojące zjawisko. Z raportu PONTONU wynika, że młodzież oceniała swoją wiedzę dosyć wysoko. A to niebezpieczne, ponieważ jak się o sobie myśli, że się dużo wie, to często nigdzie nie weryfikuje się tej wiedzy – zwraca uwagę Katarzyna Banasiak-Marszałek.

Specjaliści podkreślają, że oprócz edukacji najważniejsze jest testowanie się. – Wiedzę trzeba pogłębiać systemowo już wśród młodzieży. Przede wszystkim trzeba kłaść nacisk na testowanie się wśród osób aktywnych seksualnie i promowanie wiedzy o tym, jak działają różne metody zabezpieczania się. Część osób nie wie, że prezerwatywa ma chronić nie tylko przed ciążą, ale również przed częścią zakażeń. Sprawdzanie się jest ważne. Nieleczona chlamydia może nawet wpływać na płodność u kobiet – zaznacza Katarzyna Banasiak-Marszałek.

Na Zachodzie coraz częściej stali partnerzy seksualni, będący już jakiś czas ze sobą, przestają korzystać z prezerwatyw, dopiero kiedy wspólnie się zbadają i potwierdzą, że obydwoje są zdrowi. – Ten przykład niektórym może się wydawać anegdotyczny, jednak pokazuje nowoczesny sposób patrzenia na związek. Myślę, że to rozsądny kierunek, zdecydowanie wart rozważenia – podsumowuje dr Olga Rostkowska.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3f03bcca17

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Złowieszcz

Jak dobrze, że Marcin Świetlicki wciąż pisze nowe wiersze; jak dobrze, że znalazł przed laty swojego wiernego fana i wydawcę w Jarosławie Borowcu; jak dobrze, że dzięki temu wydarzenie poetyckie wciąż jeszcze może stawać w szranki z innymi wydarzeniami albo i niewydarzeniami politycznymi, społecznymi, historycznymi i bóg raczy wiedzieć jakimi tam jeszcze – stawać w szranki i wygrywać uwagę, nie tylko ją zwracać. Na świecie bowiem dzieje się dużo złego, dzięki czemu w poezji Świetlickiego dzieje się wiele dobrego; zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, że im gorzej na zewnątrz, tym lepiej wewnątrz podmiotu lirycznego, albowiem nikt tak pięknie nie marudzi, nikt tak zręcznie nie zrzędzi, nikt się tak wysublimowanie nie użala, jak czyni to literacko poeta znad Sierotki. To rzeczułka zasilana rynsztoczkiem w podlubelskim miasteczku – stamtąd wywodzi się nasz wieszcz. Nie nazywam go tak ironicznie – jak się kto rodzi w Wigilię i przez kilka dekad utrzymuje pozycję poety wybitnego i ważkiego, w dodatku tak bardzo przejętego Polską, że napisał już kilkanaście wierszy, a nawet jeden cały tom pod tym tytułem – niech mi będzie wolno (zwłaszcza że Świetlickiego wydaje Wolno) użyć słowa wieszcz. Od lat bowiem Marcin Świetlicki nie tyle pisze, ile wieszczy – zło. Nawet kiedy przychodzi mu do głowy obrazek sielski, natychmiast czyni go diabelskim – kury u niego pieją o zmierzchu, w dodatku są to *koguty Apokalipsy*. Za młodu krążył po mieście królewskim i odgrażał się, że kiedyś będzie należało do niego, na starość wciąż krąży, choć już tylko złorzeczy znudzony krakowskością, polskością, ludzkością. Nad psią kością jedynie się rozczula, psu tylko oddaje honory, a nawet wiersze – jak w trenie „Pół". Z perspektywy psiego pana świat jest co prawda nadal nieładny, pozbawiony puenty, ale pies wprowadza ład, bezpieczny rytm spacerów, motywuje do ruchu i obserwacji, a także pilnowania, by nie ugryzł.

Na świecie dzieje się dużo złego,
dzięki czemu w poezji Świetlickiego dzieje się wiele dobrego.

Poeta Świetlicki jest z natury kąśliwy, ugryźć lubi, a teraz dożył czasu, w którym *Cokolwiek byś napisał, zawsze krzywdzisz lud*, zwłaszcza zaś niepożądana jest ironia, którą władał z biegłością fechmistrza – nie jest mu z tym swojo. Między młotem prawicowej tromtadracji a kowadłem lewicowej poprawności czuje się cokolwiek osierocony, nawet zdradzony przez czytelników – niegdyś bystrych i skłonnych do swobodnych kojarzeń, dziś otępiałych, lecz apodyktycznych, tak że *nic nie nadweręży ich ustaleń. Mówią do niego. Mają szereg uwag i pretensji*.

Świetlicki jako mianowany dziaders (jedną ze swoich formacji scenicznych nazwał nawet Dziaders in Arms) zdaje się przyjmować i tę nagą obelgę jako wróżbę zwycięstwa. Już 20 lat temu ogłosił się w tytule tomu „Nieczynnym" i odtąd konsekwentnie hołubi dystans, uprawia poezję intensywnie niezaangażowaną, rodzaj czynnego niebytu – jest, ale nie dla wszystkich, tylko wybranych zaprasza: *Nie byj ze mną*. Pobyć ze Świetlickim niebyciem to duża literacka frajda. Być dumnym z niebycia, choćby i Polakiem – *nie machać żadną flagą, jakiejkolwiek barwy, to trudne, lecz możliwe. Pozacierać ślady i wybudować arkę. Świat odesłać w arce*.

Świetlicki od zarania swojej popularności boi się zawłaszczenia, nieustannie celebruje nieprzysiadalność i wciąż żywo utyskuje, jak wielu złudnie wydaje się, że mają swojego poetę. W „Sierotce", najnowszym zbiorze wierszy, autor nawołuje, by nie otwierać nikomu, zwłaszcza światu, który *chce koniecznie coś ci zatrutego powiedzieć, chce czegoś zabronić, wcisnąć ulotkę i pogrzebać w twoim śmietniku ciebie*. Ja tę odmowę udziału rozumiem lepiej niż kiedykolwiek – Marcin złowieszczo przewidywał, że nadejdzie czas, gdy najlepiej będzie się zamknąć. I państwu radzę: zamknijcie się wreszcie, na długie godziny, a nawet dni – z gęstą, pożywną i wyśmienitą poezją naszego narodowego złowieszcza. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3f03bcca17

Jest tylko jedno wejście i tylko jedno wyjście

Pracownicy konsulatu przekonywali, że wina za zaginięcie leży po stronie rodzeństwa

Magda Mieśnik, Piotr Mieśnik

Danka odbiera SMS-a od kolegi – Marka S.

„Co słychać?"

Od razu oddzwania.

– Jestem w wąwozie Samaria. Zgubiliśmy się. Przewodnik poszedł sobie w cholerę. Jak go znajdę, skopię mu tyłek – mówi wściekła.

Jest sobota, około południa. Upał na Krecie sięga 40 st. Danka głośno, z trudem oddycha. Wyraźnie słychać, że jest zmachana. Rozmowa jest bardzo krótka. Kolega nie jest zaniepokojony. Kobieta jest energiczna, przebojowa. Potrafi sobie radzić. Na wyjeździe jest z bratem. Kilka godzin później znajomy dzwoni jednak do Danki, by sprawdzić, czy u niej wszystko w porządku. Telefon jest poza zasięgiem sieci. Do głowy mu jednak nie przychodzi, że dzieje się coś złego. 30 godzin później, w nocy z niedzieli na poniedziałek, wspólnik Danuty, Bronisław Wiśniewski, odbiera telefon od Anny D.

– Powiedziała, że poznała Danusię na wakacjach w Grecji. Dostała od niej wizytówkę, dlatego miała do mnie numer. Była zaniepokojona, bo pojechali na wycieczkę do wąwozu Samaria, ale Danusia nie wróciła z całą grupą i od tamtej pory nikt nie widział jej w hotelu, a pokój jest zamknięty – relacjonuje.

Razem z Danutą Sawicką prowadzi we Wrocławiu biuro obrotu nieruchomościami. Bardzo dobrze się znają. Jej telefon milczy, dlatego wie, że musiało stać się coś złego.

10 lipca 2007 r. 42-letnia Danuta Sawicka leci z bratem Markiem na dwutygodniowy urlop na Kretę. To była nauczycielka, która postanowiła zmienić zawód i wraz ze znajomym otworzyła biuro obrotu nieruchomościami. (…)

Rodzeństwo mieszka w jednym z hoteli w małym kurorcie Agia Pelagia. Danuta miała jechać na wakacje ze swoim partnerem Jackiem, ale ostatecznie zabiera o trzy lata młodszego brata, który od lat choruje na padaczkę. Bierze leki i od dłuższego czasu nie miał ataków.

21 lipca, w sobotę rano, wraz z 30-osobową grupą polskich turystów rodzeństwo rusza autokarem do oddalonego o ok. 160 km wąwozu Samaria. Grupą opiekuje się 21-letni pilot Piotr P., student z Krakowa. Ma znikome doświadczenie. To jego druga wycieczka. Dopiero od tygodnia przebywa na Krecie. Do Samarii docierają po niemal trzech godzinach, tuż przed 10.00. Danuta Sawicka dzwoni do swojego partnera Jacka i przekazuje mu, że idzie z bratem do wąwozu. Położony na zachodniej części wyspy w Górach Białych wąwóz Samaria to drugie najczęściej odwiedzane przez turystów miejsce na Krecie. Popularnością przewyższa go jedynie pałac Minosa w Knossos. (…)

Organizatorzy wycieczek namawiają do odwiedzenia tego najdłuższego w Europie wąwozu, nie zawsze informując o tym, że to trudna wyprawa. Długość trasy: 18 km. Czas marszu: ok. 6 godzin. Temperatura w ciągu dnia: do 45 st. Trasa: po kamieniach, wodzie, śliskich głazach, w ostrym słońcu, wąskimi dróżkami ograniczonymi z obu stron przez wysokie ściany skalne. Zaczyna się w Xyloskalo, a kończy w wiosce Agia Roumeli nad Morzem Libijskim. Do wąwozu jest tylko jedno wejście i prowadzi w dół. Po bokach są wysokie, pionowe klify, na które mogłaby się wspiąć tylko osoba ze specjalistycznym sprzętem. Jeśli idziesz w górę, to znaczy, że idziesz w złą stronę. Cena za zwiedzanie Samarii w 2007 r.: 25 euro od osoby plus bilet na miejscu dla dorosłego – 5 euro.

Autokar podwozi polską grupę do miejscowości Omalos, a konkretnie do Xyloskalo, gdzie zaczyna się szlak wiodący wąwozem. Pilot liczy turystów i informuje ich, że muszą kupić bilety wstępu do Parku Narodowego Samaria i zachować je do końca marszu. Są białe, kartonikowe, a każdy składa się z dwóch części. Na obu jest numer seryjny oraz data wejścia do wąwozu. Obok grafika kozy i wysokich klifów. Jeden fragment strażnik odrywa przy wejściu. Drugi – na końcu trasy. Dzięki temu wiadomo, czy ktoś nie został w wąwozie. W sezonie letnim trasa jest czynna do godziny 16.00.

Danuta i Marek zabierają ze sobą 2 litry wody. Ona ma na głowie chustkę, a na nogach buty sportowe. On – czapkę i sandały. Pilot informuje grupę, że po wyjściu z wąwozu mają się spotkać w tawernie Kri-Kri w wiosce Agia Roumeli. Nie mogą się spóźnić, ponieważ park narodowy jest czynny do 16.00, a o 18.00 odpływa prom, którym dopłyną do czekającego na parkingu w Chora Sfakion autokaru.

Po zamknięciu szlaku strażnicy przy wyjściu sprawdzają, czy suma biletów z wejścia zgadza się z tymi z wyjścia. Jeśli jakiegoś brakuje, zaczynają przeszukiwać wąwóz.

eprasa.pl 3f03bcca17

Grupa Polaków wysiada z autokaru na platformie, gdzie parkują samochody turystów. Widać z niej drewniany płotek. W jego wąskiej szczelinie jest zejście w dół, do kas, i dopiero tam zaczyna się trasa. Jeśli ktoś nie podąży za grupą, może mieć trudności ze znalezieniem wejścia. Nie jest ono w żaden sposób oznaczone. Za to po prawej stronie widać wyraźnie schodki, barierki i szlak prowadzący do kawiarni, która znajduje się ok. 150 m dalej.

Lokalizacja wskazała, że Polacy w ogóle nie weszli do wąwozu Samaria. Sygnał pochodził z wąwozu Tripiti.

Polacy kupują bilety i wchodzą do wąwozu. Przy wejściu jest malutki sklepik, w którym można kupić przekąski. Pilot nie liczy uczestników wyprawy. Każdy idzie swoim tempem. W mniejszych grupkach robią sobie przystanki. Uzupełniają zapasy wody w przeznaczonych do tego punktach. Zazwyczaj są to małe kraniki, z których płynie źródlana woda. Robią zdjęcia. Co jakiś czas mijają czerwone, metalowe apteczki wiszące na drzewach.

Między 16.00 a 17.00 docierają do tawerny, w której czeka na nich pilot wycieczki. Piotr P. rozdaje wszystkim bloczki obiadowe. Zostają mu dwa. To oznacza, że dwie osoby nie dotarły do tawerny. Jest po 17.00. Wąwóz jest już zamknięty. Pilot dzwoni do rezydenta, 24-letniego Jakuba S., który przebywa w hotelu, gdzie zakwaterowani byli Danuta i Marek Sawiccy. Jak wynika z akt sprawy, rezydent informuje pilota, że czasem turyści spóźniają się na prom i autokar. Muszą wtedy sami znaleźć nocleg i wrócić do hotelu na własną rękę. Władze parku narodowego mają procedury na wypadek zaginięcia turystów. Po zamknięciu szlaku strażnicy przy wyjściu sprawdzają, czy suma biletów z wejścia zgadza się z tymi z wyjścia. Jeśli jakiegoś brakuje, wchodzą do wąwozu i zaczynają go przeszukiwać. Tego dnia jednak suma biletów się zgadzała.

Grupa Polaków wraz z pilotem po obiedzie wchodzi na pokład promu. Po dopłynięciu do brzegu w sąsiedniej wiosce wsiadają do autokaru i odjeżdżają. Pilot nie zgłasza zaginięcia na policję, mimo że w pobliżu jest posterunek. Przy wyjściu z tawerny prosi jedynie jej właściciela, by przekazał strażnikom, że dwie osoby z jego grupy nie pojawiły się na posiłku. Grupa wraca do hotelu w sobotę późnym wieczorem. Bez Danuty i Marka. Od tamtej pory nikt ich nie widział. Dlatego wspomniana już Anna D., która poznała rodzeństwo w czasie wyjazdu, w niedzielę w nocy dzwoni do wspólnika Danuty.

– Przestraszyłem się. (…) Wziąłem od niej numer do rezydenta, rozłączyłem się i w środku nocy zacząłem działać – mówi Bogusław Wiśniewski.

Od razu dzwoni do rezydenta na Krecie. Jakub S. potwierdza, że Danuta i Marek do tej pory nie wrócili do hotelu i z nikim się nie skontaktowali. Zapewnia, że zgłosił ich zaginięcie policji. W poniedziałek rano wspólnik Danuty kontaktuje się z polską ambasadą w Atenach. Rozmawia z ówczesną sekretarz, ponieważ konsul przebywa na urlopie. Na odległość trudno jednak cokolwiek załatwić, zwłaszcza z policją i innymi służbami. Grecy nie mówią po angielsku.

Wiśniewski naradza się z żoną i razem postanawiają lecieć na Kretę. Danuta i Marek mają tylko rodziców w podeszłym wieku. Wiśniewscy zostawiają trzyletnie dziecko z babcią i szybko pakują najpotrzebniejsze rzeczy. Dołącza do nich partner Danuty. Jeszcze przed wylotem nawiązują kontakt z grecką Polonią, która pomaga im przetłumaczyć plakaty na język grecki. Drukują je w Polsce i zabierają do samolotu. Bogusław Wiśniewski próbuje także namierzyć telefon wspólniczki. Kontaktuje się z jej telefonią komórkową i prosi, by zlokalizowali numer. Słyszy, że można to zrobić tylko na wniosek właściciela telefonu lub policji. Jeśli sprawa dotyczy innego kraju, konsul musi wystąpić z odpowiednim wnioskiem do lokalnej policji. Wiśniewski dzwoni do konsulatu w Atenach. Słyszy obietnicę, że wniosek zostanie złożony.

– Na lotnisku na Krecie czeka na nas rezydent, który miał się opiekować Danusią i Markiem. Mówi, że dzwonił na policję w sprawie zaginięcia, ale nie zostało ono potraktowane poważnie. Nie potrafi powiedzieć, dlaczego nie udał się na posterunek i nie zgłosił tego osobiście. Dopiero w poniedziałek o godzinie 16.00 grecki właściciel biura podróży, które podstawiło autokar dla polskiej grupy, idzie na komisariat i zawiadamia policjantów, że dwoje Polaków nie wróciło z wąwozu. Dwie doby od ich zaginięcia. Policja od razu wzywa na przesłuchanie pilota wycieczki.

We wtorek grecka policja i służby parku narodowego rozpoczynają poszukiwania zaginionego rodzeństwa w wąwozie, mimo że wcześniej strażnicy pracujący w Samarii już trzy razy rutynowo przeczesywali szlak, na wypadek gdyby ktoś nie zdążył

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 3f03bcca17

wyjść przed zamknięciem trasy. W poszukiwaniach bierze udział pies tropiący, który dostał do powąchania ubrania zaginionych. Około stu osób przeczesuje wąwóz kilka razy. Nie znajdują żadnego śladu Danuty i Marka. Trudno się tam zgubić. Trasa jest prosta, cały czas trzeba iść dnem wąwozu. Pionowe ściany uniemożliwiają zboczenie ze szlaku.

Grek, który zawiadomił policję, lata nad tym obszarem własnym samolotem, ale dwojga Polaków nigdzie nie widać. Ratownicy przeszukują także przybrzeżne wody, a nawet sprawdzają wersję o uprowadzeniu. Zdjęcia Danuty i Marka Sawickich publikują greckie media. Miejscowa Polonia rozkleja plakaty z ich wizerunkami w najbardziej uczęszczanych miejscach. Rzecznik polskiego konsulatu w Grecji przekazuje mediom, że rodzeństwo zachowało się nieodpowiedzialnie i lekkomyślnie, bo samowolnie odłączyło się od grupy. Zrzuca na nich całą winę za zaginięcie. Jego wypowiedź cytują polskie media.

Grecka policja przekazuje Wiśniewskiemu, że nie ma numeru IMEI telefonu Danuty, który jest używany do międzynarodowej identyfikacji telefonów komórkowych. Wiśniewski pamięta, że jego wspólniczka niedawno zmieniała telefon. Dzwoni więc do jej rodziny i prosi, by pojechali do jej mieszkania i znaleźli opakowanie po telefonie, w którym może być właściwy numer. Udaje się go odnaleźć i przekazać funkcjonariuszom. W środę greckie służby ustalają, że ostatni sygnał z telefonu Danuty pochodzi z niedzieli. Lokalizacja wskazuje, że Polacy w ogóle nie weszli do wąwozu Samaria. Sygnał pochodzi z wąwozu Tripiti.

– Namawiałem policjantów do użycia kamer termowizyjnych. Prosiłem o ściągnięcie z Aten wojskowego helikoptera Puma, ale policja mówiła, że on nie może tu latać i nie ma gdzie wylądować. Sam przepytywałem Polaków, którzy pojechali do wąwozu z Danusią. Okazało się, że pilot nas okłamał, co wywołało lawinę złych decyzji. Cały czas powtarzał nam, jaka obowiązuje procedura: to on kupuje bilety do wąwozu, rozdaje każdemu do ręki, turyści schodzą schodkami, a on całą grupę ma przed sobą. Ludzie powiedzieli nam jednak, że pilot kazał wszystkim kupić sobie bilety i nawet ich nie policzył, gdy wchodzili na trasę. Dopiero ostatniego dnia przyznał się do kłamstwa – mówi Bogusław Wiśniewski.

Policja opiera akcję poszukiwawczą na zeznaniach pilota Piotra P., dlatego też ratownicy przeczesują trasę w wąwozie.

– Załamywałem ręce. Wiedziałem już, że Danusia i Marek nie weszli do wąwozu i trzeba ich szukać gdzie indziej. Tłumaczyłem policjantom, że skoro nie znaleziono ich w wąwozie, a przecież nie wspięli się na pionowe gołe skalne ściany, to trzeba szukać poza wąwozem. Tym bardziej że sprawdziliśmy zdjęcia, jakie zrobili turyści z ich grupy, i na żadnym nie było Danusi ani Marka – opowiada zrezygnowany wspólnik Danuty. (…)

W czwartek, o godzinie 14.00, pięć dni od zaginięcia rodzeństwa, trójka Polaków jest umówiona z policją, by omówić dalsze kroki dotyczące akcji poszukiwawczej. Grecy przekładają jednak spotkanie na 20.00, bo panuje straszny upał, a na komisariacie nie działa klimatyzacja. Przed 20.00 do Wiśniewskiego dzwoni rezydent Jakub. Przekazuje informację od greckiej policji, że rodzeństwo zostało odnalezione. (...)

Polskie rodzeństwo po opuszczeniu autokaru traci z oczu resztę grupy i zamiast pójść w dół do kasy, rusza o wiele bardziej widocznym szlakiem do kawiarni znajdującej się powyżej parkingu. Stamtąd wiedzie szlak pod Gigilos, jedną z wyższych gór w masywie Lefka Ori. Gdy wyznaczonym szlakiem docierają do przełęczy, widzą wąwóz, ale nie wiedzą, że nie jest to Samaria. Znajduje się tam ostatni punkt poboru wody z małego kraniku. Kończy się roślinność, a zaczynają same skały. Jeśli napełnili butelki do pełna, to zapas powinien wystarczyć na jeden dzień. W czasie wspinaczki w pewnym momencie Danuta zsuwa się ze skarpy ok. 5 m w dół i łamie trzy żebra. Nie może się ruszać. Marek nie widzi jej z góry, ponieważ przesłaniają ją wystające głazy.

W czwartek po południu, szóstego dnia od zaginięcia rodzeństwa, Anastasius Tassos podczas wspinaczki po zboczu wąwozu Tripiti trafia na wycieńczonego Marka, który siedzi nad skarpą. Miejsce jest oddalone od wejścia do wąwozu Samaria ok. 5 km i znajduje się na wysokości 1700 m n.p.m. W tak trudnym terenie dojście tu z parkingu, gdzie polscy turyści wysiedli z autokaru, mogło zająć mniej więcej pięć godzin.

Rodzeństwo, wbrew temu, co zeznał pilot Piotr P., nie weszło do wąwozu Samaria.

Polak jest odwodniony. Bardzo słaby. Nie jest w stanie nic powiedzieć. Bełkocze. Ma przy sobie plastikową butelkę z moczem. Grek próbuje go podnieść i prowadzić, ale Marek jest zbyt słaby. Dostaje wodę do picia. Wspinacz próbuje dodzwonić się do służb ratunkowych, ale nie ma zasięgu. Musi wspiąć się wyżej, by skorzystać z telefonu. Zostawia chłopaka i rusza w górę. Po dwóch godzinach wreszcie łapie zasięg i udaje mu się wezwać służby. Chwilę przed godziną 20.00 policja powiadamia Bogusława Wiśniewskiego, że odnaleziono Marka. Około 21.00 ratownicy jadą do Omalos. Stamtąd już pieszo żołnierze i ratownicy Czerwonego Krzyża ruszają w góry, by dotrzeć do Polaka. Znajdują go po ciężkim marszu ok. 2.30 nad ranem.

– Marek chorował na padaczkę, brał leki. Miał spowolnione reakcje. Pewnie dlatego nie wezwał pomocy. Nie był w stanie podjąć decyzji, potem wycieńczony już tylko leżał na skarpie. Gdy odnalazł go grecki alpinista, był w ciężkim stanie. Nie dożył przybycia ratowników… – mówi cicho Bogusław.

Przy ciele Marka leży but Danuty. Ratownicy zaczynają jej szukać w najbliższej okolicy. Nie mogą jej dostrzec, ponieważ leży przysłonięta wystającymi ze skarpy głazami. Trafiają na nią nad ranem.

– Zaprowadzili nas do niej. Leżała na stole. Odwodniona, wysuszona. Skóra wyglądała, jakby ją ktoś siłą naciągnął na czaszkę. Widok

eprasa.pl 3f03bcca17

był przerażający. Ten obraz zostanie już ze mną na zawsze. Lekarz, który przeprowadził sekcję zwłok, powiedział, że żyła, gdy ratownicy dotarli do ciała Marka. Zmarła jednak, zanim ją znaleźli – mówi Bogusław Wiśniewski.

Przyczyną śmierci rodzeństwa było odwodnienie i wycieńczenie organizmu. Ciała zostały zabrane z wąwozu helikopterem Puma, który przyleciał z Aten. Wcześniej policja twierdziła, że nie może go wykorzystać do poszukiwań, ponieważ maszyna nie może lądować w górach. Trójka Polaków identyfikuje ciała w kostnicy w stolicy Krety – Chanii. Rodzeństwo zostaje pochowane 9 sierpnia we wspólnym grobie na cmentarzu komunalnym w Kątach Wrocławskich.

Danuta Sawicka miała przy sobie aparat fotograficzny. Wywołane zdjęcia pokazują, że rodzeństwo, wbrew temu, co zeznał pilot Piotr P., nie weszło do wąwozu Samaria, tylko ruszyło znacznie trudniejszym szlakiem E4, przeznaczonym dla doświadczonych wspinaczy ze specjalistycznym sprzętem. Najprawdopodobniej w tłumie stracili swoją grupę z oczu i ruszyli w kierunku oznakowanego szlaku. Dopiero po śmierci polskich turystów władze Parku Narodowego Samaria zdecydowały się postawić duży znak przy słabo widocznym wejściu do wąwozu, znajdującym się poniżej poziomu drogi.

– Nie jestem w stanie zrozumieć, dlaczego pilot i rezydent przez dwa dni nie zrobili nic, by ratować Marka i Danusię. Okłamali wszystkich, przez co policja szukała w złym miejscu. Przecież oni byli do uratowania – mówi Wiśniewski.

Po powrocie do Polski składa zawiadomienie do prokuratury w sprawie możliwości popełnienia przestępstwa dotyczącego śmierci Danuty i Marka. Wysyła też listy z prośbą o wsparcie do ambasady, prokuratora generalnego, Ministerstwa Sprawiedliwości i prezydenta. Wszyscy odpisali, że znają sprawę i się nią zajmują. Ambasada twierdziła, że otoczyła opieką rodzinę zmarłych. – Oczywiście nikt z nich nic nie zrobił. Bardzo dobrze znam rodziców Danusi i wiem, że nikt się do nich nie odezwał. To kłamstwo. W tym samym czasie wydarzył się wypadek polskiego autokaru w Grenoble, w którym zginęło 26 osób. Media i politycy tylko tym się zajmowali. Nasza sprawa nie była tak ważna – opowiada rozżalony wspólnik Danuty Sawickiej.

Po śmierci Danuty i Marka Sawickich Piotr P. i Jakub S. nadal pracują w biurze podróży i opiekują się turystami. Biuro nie chce komentować śmierci turystów. Prokuratura wszczyna śledztwo w sprawie śmierci rodzeństwa. Ostatecznie, po pięciu latach, w listopadzie 2012 r. kieruje do sądu akt oskarżenia przeciwko pilotowi Piotrowi P. Zarzuty: narażenie Marka i Danuty Sawickich na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia i nieumyślne doprowadzenie do ich śmierci.

•

Prokuratura uważa, że Piotr P., jako rezydent i tłumacz zatrudniony przez biuro podroży, miał szczególny obowiązek opieki nad uczestnikami wycieczki. Gdy stwierdził, że brakuje dwóch osób, powinien był natychmiast zawiadomić policję. Nie zrobił tego, dlatego zdaniem śledczych doprowadził do ich śmierci. Grozi za to od trzech miesięcy do pięciu lat pozbawienia wolności. Piotr P. nie przyznał się do winy i odmówił składania wyjaśnień. Bogusław Wiśniewski chciał zostać oskarżycielem posiłkowym w procesie, ale jego wniosek został odrzucony, ponieważ nie należy do najbliższej rodziny Sawickich. Zostaje jednak przesłuchany jako świadek. Sąd orzeka, że Piotr P. nie jest winny śmierci rodzeństwa, i uniewinnia go, tłumacząc m.in. tym, że miał znikome doświadczenie. (…)

•

Danuta i Marek mogliby zostać szybko odnalezieni, gdyby:

- pilot i rezydent od razu zawiadomili służby, że rodzeństwo zaginęło. Pilot nie zrobił tego wcale, a rezydent zadzwonił na policję dzień po zaginięciu rodzeństwa. Oficjalne zawiadomienie złożył jednak dopiero w poniedziałek przed godziną 16.00.
- pilot sam kupił bilety i policzył uczestników wycieczki przy wchodzeniu do wąwozu. Piotr P. wbrew zasadom przekazał turystom, by sami kupili bilety. Policzył ich tylko w autokarze. Nie zrobił tego przy wejściu do wąwozu ani w trakcie krótkich przystanków na odpoczynek na szlaku.
- pilot od razu powiedział prawdę, że to nie on kupował bilety i że nie widział rodzeństwa w wąwozie. Piotr P. przekazał policji, że zgodnie z procedurą to on kupuje i rozdaje bilety turystom oraz że widział zaginione rodzeństwo na czwartym kilometrze trasy. Nie była to prawda.
- grecka policja kierowała się informacjami Bogusława Wiśniewskiego, że rodzeństwo nie weszło do wąwozu. Udało mu się to ustalić na podstawie rozmów z innymi turystami, którzy wbrew temu, co mówił pilot, twierdzili, że sami kupowali bilety i nikt ich nie liczył. (...)
- służby ratunkowe użyły do poszukiwań helikoptera Puma. Policja twierdziła, że maszyna nie może latać w rejonie wąwozu i nie ma tam lądowiska. Po zwłoki jednak przyleciała.
- polski konsulat zaangażował się w poszukiwania. Jego pracownicy przekonywali w mediach, że wina za zaginięcie leży po stronie rodzeństwa. Nikt z nich nie poleciał na Kretę, by wesprzeć poszukiwania i pomóc Polakom w kontaktach z Grekami. Wbrew zapewnieniom nikt z konsulatu nie otoczył opieką rodziców Danuty i Marka Sawickich.

Dopiero po śmierci Polaków władze Parku Narodowego Samaria zdecydowały się postawić duży znak przy słabo widocznym wejściu do wąwozu.

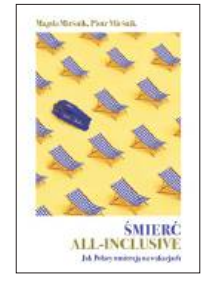

Fragmenty książki Magdy Mieśnik i Piotra Mieśnika *Śmierć all--inclusive. Jak Polacy umierają na wakacjach*, Znak Horyzont, Kraków 2023

eprasa.pl 3f03bcca17

JOLKA

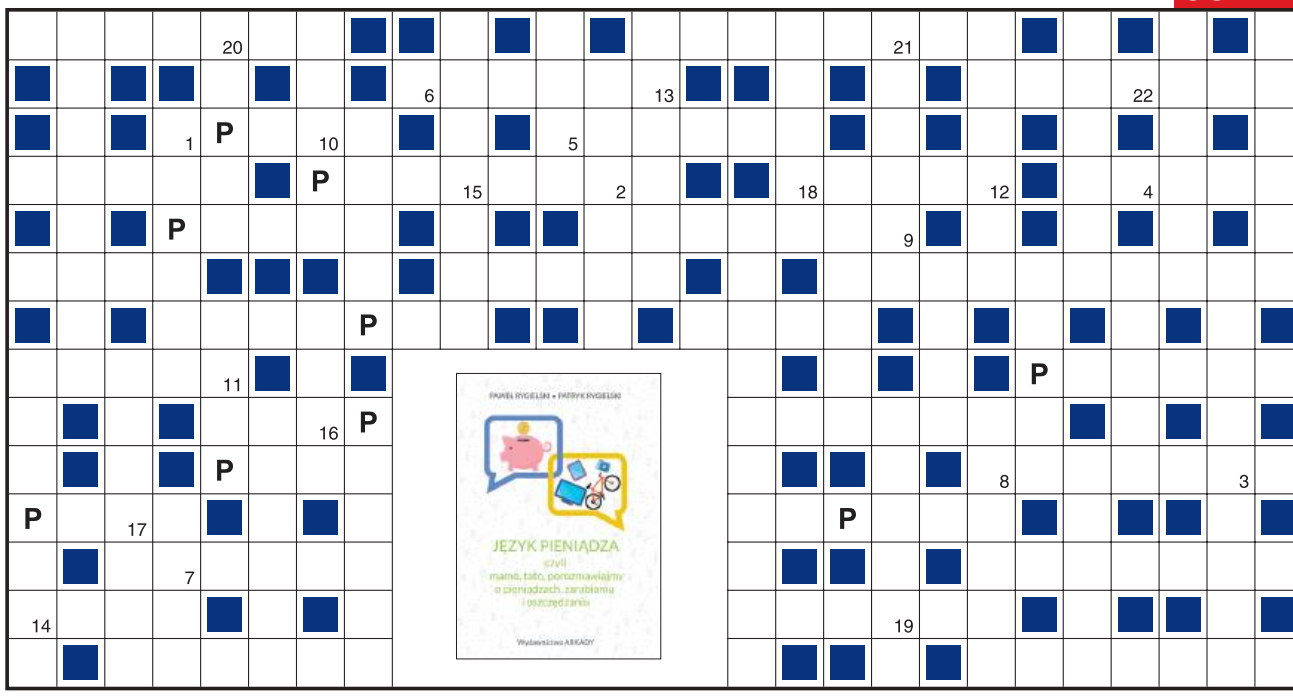

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery P ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- metalowa zapinka
- dziedzina sportu lub sztuki cyrkowej
- odpowiada za nagłośnienie
- posągowa podpora
- niejedna na spodzie kapelusza grzybów
- …szlachetny to prawdziwek
- imię pianistki i kompozytorki, żony Schumanna
- dwie nóżki do kreślenia kółek
- pojazd jak Rudy 102
- ptactwo domowe na mięso, jaja
- szczególne zdolności do czegoś
- biel z żółtawym odcieniem z francuska
- imię autorki powieści „Cham"
- proces niszczenia skał
- jej sąsiadem Senegal
- deseń w duże kropki
- pyszni się koralami na podwórzu
- mały chłopiec, smyk
- frywolny taniec kabaretowy
- pudełko z taśmą magnetyczną
- ogórek do beczki
- i fotograficzna, i coś szablonowego
- dawny żaglowiec używany na Bałtyku
- filmu lub nosem na coś
- łódź rzeczna do przewozu piasku, żwiru
- uzdrowisko lub wczasowisko
- nos na nią się spuszcza
- szachraj, krętacz
- specjalistka od relaksującego ugniatania
- „Już… zapada, nigdzie drogi ni kurhanu"
- co nią trąci, jest przestarzałe
- oficjalne upomnienie
- łajdak, szubrawiec
- dokonane epokowe
- rów ochronny na linii frontu
- futerał na pistolet kawalerzysty
- François, reżyser „Basenu"
- ciupa, koza, mamer
- dawniej nabój, gilza
- płaszcz na futrze
- pierwiastek o symbolu K
- odgłos silnika traktora
- gdy o suchym, to bez jedzenia, picia
- niezwykły okaz, rzadkość
- per… – w sumie
- kombinacja nart i roweru
- przybijany na dokumencie
- budka z towarem na sprzedaż
- owocowy, ziołowy lub chrust
- …jednego aktora to monodram
- pająki żyjące pod wodą
- pocisk w pełnym zanurzeniu
- do przyrumieniania kromek
- fałszywy służy odwróceniu uwagi
- Julian… Niemcewicz
- zdarzają się głupsi, niż ona przewiduje
- do białkowania ścian
- wynik rozumowania, konkluzja
- wywierany dobry lub zły
- pióro deski, występ skalny
- mnóstwo grzybów w lesie
- staropolski ubiór męski

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1132". Do rozlosowania książki „Język pieniądza" ufundowane przez Wydawnictwo Arkady. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 3 września 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1129" z nr. 32: *Czas stracony nie wraca*.
Nagrody otrzymują: Janusz Jędrasik z Kobyłki, Krzysztof Mauer z Mińska Mazowieckiego, Danuta Kawińska z Łodzierzy.

eprasa.pl 3f03bcca17

Żywoty panów usłużnych

Nieważne, jak jest, ważne, co ludzie mówią. To zdanie jak ulał pasuje do ambasadora RP przy Unii Europejskiej Andrzeja Sadosia. Polska za jego kadencji przegrywa w Unii wszystko. Także te sprawy, w których można by coś ugrać. Ale w PiS jego klęski są dobrze widziane. Bo odbierane są tak, że on walczy, stawia twardo sprawę, ulega jednak wrogom, których jest więcej… Znaczy się, prawie męczennik.

Innymi słowy, potrzebny jest w pisowskim teatrze. Polsce nie jest potrzebny w ogóle, bo na jego miejsce można wstawić byle kogo, pierwszą spotkaną na rogu osobę, i wynik będzie ten sam.

Rolę samotnego wojownika, który wszystko przegrywa, Sadoś odgrywa na różnych poziomach, również w sprawach mniejszej wagi. Na przykład w grze o odwołanie Jerzego Pomianowskiego.

Pomianowski to jest nabór z początku lat 90., kiedy do MSZ (i nie tylko tam) trafiali działacze Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Pomianowski został od razu wicedyrektorem Departamentu Afryki, Azji, Australii i Oceanii. Dlaczego akurat tam poszedł? Bo trenował aikido, więc uznano, że zna się na Japonii, a że grał na indyjskim bębenku, mógł roztaczać wokół siebie aurę znawcy Indii. Takie wtedy były czasy. Liczyła się przeszłość w NZS, dobre polityczne korzenie i chyba coś jeszcze, bo Pomianowski sam mówił, że jego pozycja w ministerstwie nie wynika tylko z jego stanowiska.

Jako znawca Azji skrzydeł w MSZ nie rozwinął, ale w innych sprawach okazał się zapobiegliwy. Był m.in. dyrektorem generalnym MSZ, jako bicz na komunę, koordynował program Polskiej Pomocy Zagranicznej, aż w końcu znalazł fuchę życia – w styczniu 2013 r. został powołany na stanowisko dyrektora wykonawczego Europejskiego Funduszu na rzecz Demokracji (EED).

Wymyślił ten fundusz ówczesny szef MSZ Radosław Sikorski, aby wspierać demokrację na terenach dawnego ZSRR i na Bliskim Wschodzie. Pomianowski koło tego pochodził i się udało! Fundusz ma siedzibę w dawnej polskiej ambasadzie w Brukseli, którą Polska na jego działalność przekazała, i jest zasilany pieniędzmi państw Unii oraz Kanady. Na początek to my daliśmy najwięcej, zaklepując sobie stanowisko dyrektora wykonawczego.

Gdy więc działalność EED inaugurowano, Sikorski mógł dumnie się prężyć, a szczęśliwy Pomianowski wręczył mu w podzięce egzemplarz książeczki, którą wydrukował na powielaczu w prowadzonym przez siebie w latach 80. podziemnym wydawnictwie. Ech, kolego, kim ty byś dzisiaj był, gdyby nie te książeczki…

Ale gdy przyszło PiS, wiadomo było, że będzie chciało człowieka Sikorskiego, i to z naboru wczesnych lat 90., odwołać. Tak jak chciało odwołać Tuska. No i się nie udało. Kraje europejskie dają na działanie funduszu pieniądze, mają większość w radzie zarządzającej, więc każda możliwość zagrania na nosie pisowskiej władzy jest im miła. Sadoś niczego tu nie wywalczył. Można nawet rzec, że swoimi zakusami pozycję Pomianowskiego wzmocnił.

W ten sposób Jerzy Pomianowski, rocznik 1960, dotrwa sobie na ciepłej posadzie do emerytury. W sumie ma prawo być zadowolony – nie przepracował się w życiu, a miło je spędził. Za nasze pieniądze.

Attaché

Kryzys klimatyczny i wojna zawsze najbardziej dotykają najbiedniejszych. Dzieci z prowizorycznego obozu dla uchodźców podczas poszukiwania wody. Prowincja Al-Hudajda w Jemenie, 22 sierpnia 2023 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 3f03bcca17

PENETRACJE

KRAKÓW

RYSZARD KRYNICKI,
POETA

Pism literackich jest mało, mają bardzo niskie nakłady i zasięg. Na dodatek są to albo miesięczniki, albo kwartalniki, więc ukazują się rzadko. To nie sprzyja temu, co się kiedyś nazywało życiem literackim. Więc tego życia literackiego właściwie nie ma albo się zaledwie tli. Również nakłady książek poetyckich straszliwie spadły. Kiedyś podstawowy nakład tomu poetyckiego liczył 800 egzemplarzy. Teraz zazwyczaj nie wiemy, w jakim nakładzie książka się ukazuje, bo wydawcy tego nie ujawniają.

TYGODNIK ANGORA

HENRYK MARTENKA,
PUBLICYSTA

Trudno uwierzyć w to, co się widzi, gdy wiceminister – nomen omen – Ozdoba bez finezji wcina się w briefing Koalicji Obywatelskiej, jak nie przymierzając Bąkiewicz w uroczystości powstańcze. Nieodrodny syn opolskich blokowisk Kowalski, oddany Ziobrze jak druga Patrycja, stał się już niemal jego alter ego. Zerem odbitym w lustrze. I nie chodzi o nienawiść do Tuska, ale o wartość Kowalskiego jako polityka, co widowiskowo wyszło niedawno, gdy ten groteskowy wiceminister rolnictwa (branża nie ma znaczenia, bo Kowalski w każdej reprezentuje zerowe kompetencje) stanął do debaty na korytarzu z szefem Agrounii Kołodziejczakiem. Obaj wyglądali jak koguty drące się nawzajem, przy czym Kowalski, jak mówią, opluł rozmówcę, choć nie był to akt świadomy.

PANI

KRYSTYNA DEMSKA-OLBRYCHSKA,
ŻONA DANIELA

Oświadczyny były z pompą. Pewnego dnia wracam do domu z zakupów, drzwi otwiera mi Daniel na bosaka i w płaszczu kąpielowym, do którego ma przypięte wszystkie swoje medale. „Wyglądasz jak ruski generał”, zaśmiałam się. A Daniel klęka i mówi: „Uważam, że powinnaś wyjść za mnie za mąż”. Cisza. Zatkało mnie. „Powiedziałaś, że wyglądam jak ruski generał, a ruskiemu generałowi się nie odmawia”. Miałam 39 lat. Byłam dojrzałą kobietą i wiedziałam, czego chcę. Poczułam, że to ten, o którym Agnieszka Osiecka pisała: „na całe życie”.

zwierciadło

MARTYNA WOJCIECHOWSKA,
DZIENNIKARKA, PODRÓŻNICZKA

Myślę, że ludzie czasem krytykują i atakują tych, którzy realizują ich marzenia, plany, bo sięgają po coś, po co oni nie mają odwagi sięgnąć. Jestem łagodna w życiu prywatnym, nigdy nie krzyczę. Ktoś na mnie trąbi na skrzyżowaniu i wydziera się przez okno: „Ty stara, głupia, gruba k.... jak jedziesz?!”. A ja myślę sobie: ojej, jakie to smutne, on chyba ma nieszczęśliwe życie, a może miał zły dzień i tak to manifestuje, że się na innych wyżywa? A może jest po prostu dupkiem? Ale w najmniejszym stopniu mnie to nie wzrusza.

FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA (2), PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ, SARKA FARKA

35-64-65_penetracje_aby_stopka.indd 64 eprasa.pl/003bcca17 25.08.2023 20:02:05

ANAGRAMY

Przestawiając litery, utwórz wyrazy z podanych słów.

Wyrazy z **sześciu** liter

1. PAS + ZAD = _____
2. NIL + ROK = _____

Wyrazy z **siedmiu** liter

3. LATO + ROK = _____
4. RZYM + PAT = _____

Wyrazy z **ośmiu** liter

5. LOKI + WAZA = _____
6. OGAR + GOLF = _____

ROZWIĄZANIA: SZPADA, ROLNIK, LOKATOR, PRYZMAT, WOKALIZA, GRAFOLOG

Aby język giętki…

PROF. ADAM STRZEMBOSZ
O SZUMOWINACH W SĄDOWNICTWIE

Są dwie kategorie. Pierwsza to nieudacznicy i karierowicze. Druga to ludzie, którzy uważają, że awans im się należy, i nie chcą dłużej czekać.

PROF. JAROSŁAW FLIS O WYBORACH

Od 22 lat, czyli od gabinetu Buzka, żaden rząd nie miał tak złych ocen przed wyborami.

RADOSŁAW SIKORSKI
O JACKU CZAPUTOWICZU

Nie przychodzi mi do głowy żadne osiągnięcie, które można by mu zapisać po stronie zasług.

MARIA ZAMACHOWSKA
O BURZACH MEDIALNYCH

Nie bardzo się nimi interesuję. Im mniej jadu wejdzie mi w uszy i w oczy, tym lepiej dla mnie.

TOMASZ RACZEK O NACISKACH

Nie ma na mnie sposobu – ani prośbą, ani groźbą, ani przysyłanymi w nocy SMS-ami od producentów filmowych.

MAGDALENA CIELECKA
O HEDONIZMIE

Nie wiem, ile czasu mi zostało, stąd pewnie mój hedonizm. Lubię życie w jego apetycznych kształtach.

EWA KASPRZYK O DOROSŁOŚCI

Gdy dostałam pierwszą wypłatę za film „Dziewczęta z Nowolipek" i kupiłam czapkę z lisa na Nowym Świecie.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA
IZBA WYDAWCÓW PRASY
RADA KONTROLNA ZWIĄZEK GMINNO DYSTRYBUCJA PRASY

35-64-65_penetracje_aby_stopka.indd 65 eprasa.pl/003bcca17 25.08.2023 20:02:17

Dorota Kuźnik **(ON)A/S(HE)** Malarstwo

Czerwona sukienka, czerwone kalie

Kalie

„Głównym tematem obrazów Doroty Kuźnik jest kobieta. Artystka podejmuje próbę zobrazowania tego, co składa się na kobiecość, definiuje ją, określa jej status, kondycję społeczną i kulturową. Nie zobaczymy na wystawie portretów konkretnych kobiet ani autoportretów, ale reprezentacje i manifestacje kobiecości oraz kobiecego uniwersum. U podstaw perspektywy, z jakiej Kuźnik maluje kobiety, leżą jej własne doświadczenia, które uniwersalizuje, nadając im ponadczasowy i ponadjednostkowy wymiar. Wykreowane przez nią postacie wykraczają daleko poza modelowe reprezentacje kobiecości. Artystka podważa obraz idealnej kobiety zakorzeniony w kulturze zmaskulinizowanej i patriarchalnej", pisze kuratorka Joanna Mielech.

Galeria BWA Jelenia Góra
ul. Długa 1
do 11 września

Derbys or heels. Derbys, derbys, derbys

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Hidden mothers

eprasa.pl 3f03bcca17

PONAD 50 NAGRÓD I 40 NOMINACJI
W TYM:
PREMIOS GOYA
9 NAGRÓD
9 NAGRÓD
CÉSAR ACADÉMIE DES ARTS ET TECHNIQUES DU CINÉMA
NAJLEPSZY FILM ZAGRANICZNY
FESTIVAL DE CANNES
CANNES PREMIERE
2022 OFFICIAL SELECTION
NAGRODY LUMIERE
NAJLEPSZY FILM ZAGRANICZNY
MFF MIAMI
3 NAGRODY
MFF TOKIO
3 NAGRODY
MFF ALMERÍA
3 NAGRODY
MFF SAN SEBASTIÁN
NAGRODA PUBLICZNOŚCI
W ROLI GŁÓWNEJ
DENIS MENOCHET
(„BĘKARTY WOJNY", „DZIĘKI BOGU", „TYLKO ZWIERZĘTA NIE BŁĄDZĄ")
BESTIE
REŻYSERIA
RODRIGO SOROGOYEN
STRZEŻ SIĘ SWOICH SĄSIADÓW
W KINACH OD 25 SIERPNIA
Kreatywna Europa MEDIA
AURORA

eprasa.pl 3f03bcca17

TEATR CAPITOL

PREMIERA
WRZESIEŃ 2023

DLA DZIECI
I MŁODZIEŻY

Legendy warszawskie

Adaptacja i reżyseria
WOJCIECH MALAJKAT

KUP BILET 2023 TEATR CAPITOL • www.teatrcapitol.pl

PREMIERA
PAŹDZIERNIK 2023

LUMBAGO

REŻYSERIA
OLAF LUBASZENKO

AUTOR
JOHN GRAHAM

PRZEKŁAD
ELŻBIETA WOŹNIAK

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano z budżetu państwa - na środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Patroni Medialni: RMF MAXX, onet, Rzeczpospolita, Tele Tydzień, Robiety, ams, Familie.pl, Pragiel

Partnerzy Teatru: kicket, O bag, mokosh, Aktywna Warszawa, Strefa Music, Fimzo, Recman

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 3f03bcca17